



WOLNY NARÓD W SILNYM PAŃSTWIE

Polityka Polska

MIESIĘCZNIK NR 8-9 (28-29)

Sierpień-Wrzesień/2017

Cena detaliczna 12 zł (VAT 5%)



DZIEDZICTWO PRYMASA WYSZYŃSKIEGO

W NUMERZE:

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI O PRYMASIE TYSIĄCLECIA / W OCZEKIWANIU NA „DO BRĄZMIANĘ” DLA POLONII / JEŻELI EUROPA NIENAWIDZI SIĘBIE / O SKUTKACH POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI / PRZYCZYNY I SKUTKI WSPÓŁCZESNEGO KRYZYSU EUROPY / POLITYKA RZĄDÓW PAŃSTWA POLSKIEGO WOBEC POLAKÓW NA WSCHODZIE / EUROPA DWÓCH PRĘDKOŚCI / SCITUM – CZASY PRZEDFILOZOFICZNE / EUROPA WOBEC UCHODźCÓW / PRYMAS TYSIĄCLECIA WOBEC REFORM SOBOROWYCH / PROJEKT POLSKIEGO SYSTEMU WŁASNOŚCI PRACOWNICZEJ / MEMORIAŁ DO POLSKICH POLITYKÓW / RECENZJE / I WIELE WIĘCEJ.../



ISSN 2449-6278
INDEKS 407917

Polityka Polska

Nr 8-9(28-29)/sierpień-wrzesień/2017

„Dziedzictwo Prymasa Tysiąclecia”

Miesięcznik „POLITYKA POLSKA”

Czasopismo popularno-naukowe
Artykuły zawarte w czasopiśmie są recenzowane.
www.politykapolska.eu

Adres redakcji:

ul. Podwale 11, lok. 131, 00-252 Warszawa
email: romuald.starosielec@politykapolska.eu, tel. (22) 416 92 92

zamówienia i prenumerata:

redakcja@politykapolska.eu tel (22) 416 92 92

Konto bankowe PKO BP, Nr:

97 1020 1185 0000 4102 0229 3983

Wydawca:

ETOS TV sp. z o.o.
ul. Podwale 11, lok. 131, 00-252 Warszawa

NIP::

525260965

ISSN:

2449-6278

Rada programowa:

Prof. Stanisław Bieleń, Prof. Włodzimierz Bojarski, Prof. Tadeusz Marczak,
Prof. Franciszek Marek, Prof. Artur Śliwiński.

Redakcja:

Tomasz Bartel – filozofia, Adam Domaradzki – ekonomia, Mirosław Jakubowski – obronność,
Jacek Kędzierski – prawo, Paweł Połanecki – polityka wewnętrzna,
Magorzata Sożewska-Wirkus, Leszek Sykulski – geopolityka,
Romuald Starosielec – redaktor naczelny,
Wojciech Turek – historia, Andrzej Wronka – religia,
Andrzej Zapałowski – bezpieczeństwo narodowe i polityka wschodnia.

Współpracownicy:

płk rez. Prof. Józef Marczak, Piotr Robert Jankowski, Jacek Kulikowski,
Rajmund Pollak, Michał Siekierka, Lesław Wilk, Maciej Wac-Włodarczyk.

Spis Treści

Od redakcji. -----	5
„Dziedzictwo Prymasa Tysiąclecia”. Dyskusja redakcyjna z dnia 17.07.2017. -----	7

Temat wiodący

Sl. B. Kardynał Stefan Wyszyński; Kazania Świętokrzyskie – MATKA, SYN, RODZINA. -----	19
„Skutecznie kształtował przyszłość – o znaczeniu nauczania kard. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia, mówi ks. prof. Waldemar Chrostowski. -----	23
Jacek Kędzierski; Prymas Tysiąclecia wobec reform soborowych. -----	29

Sprawy wewnętrzne

Waldemar Biniecki, Edward Jeśman, Katarzyna Murawska, Karolina Zatorska; Dlaczego nie kochamy tych, którzy nas kochają? W oczekiwaniu na „dobrą zmianę”. -----	33
Jan Szałowski; Sierpień i wrzesień i ich długie cienie. Za rok będziemy świętować stulecie odzyskania niepodległości. Czy na pewno mądrze? -----	37

Sprawy zagraniczne

Kard. Joseph Ratzinger; Jeżeli Europa nienawidzi siebie. -----	41
Prof. Stanisław Bieleń; O skutkach politycznej poprawności. -----	49
Doc. hab. Wojciech Turek, Przyczyny i skutki współczesnego kryzysu Europy. -----	55
Adam Chajewski; Polityka rządów państwa polskiego wobec Polaków na Wschodzie i wynikające stąd konsekwencje dla środowisk polonijnych. -----	59
Lech Jęczyżyk; Europa dwóch prędkości. -----	77
Romuald Starosielec; Europa wobec uchodźców – nowy wektor rozwoju. -----	81

Filozofia

Maciej Knuth; SCITUM – Wstęp oraz Czasy przedfilozoficzne. -----	87
--	----

Historia

Prof. Włodzimierz Bojarski; Zrozumieć i uczcić powstanie Warszawskie. -----	91
Plk. rez. Jan Stec; Polityka historyczna Rosji. cz. 3. Polsko-rosyjskie zapętlenie. -----	95
Michał Siekierka; Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej. -----	113

Prawo

Jacek Kędzierski; Deja vu, albo „ziobrowe” psucie Kodeksu karnego. -----	117
--	-----

Ekonomia

Jan Koziar; Projekt polskiego systemu własności pracowniczej. -----	122
---	-----

Piotr R. Jankowski; Memorial do polityków polskich. -----	139
---	-----

Ryszard Styczyński; Stratedzy czy pionki? Czyli o taktyce Rządu Polski w ochronie obywateli. -----	144
---	-----

Felietony

Bogusław Lustyk, Pride of Poland - zamordowana legenda. -----	155
---	-----

Recenzje

Georg May: „Kirchenkampf oder Katholikenverfolgung? Ein Beitrag zu dem gegenseitigen Verhältnis von Nationalsozialismus und christlichen Bekenntnissen“, Stein am Rhein, Christiana-Verlag 1991. -----	157
--	-----

Od Redakcji

Postać Prymasa Stefana Wyszyńskiego, tak mocno utrwalona w pamięci starszego pokolenia jest w niewystarczającym stopniu obecna w zbiorowej świadomości Polaków urodzonych po 1980 roku. Dlatego tematem przewodnim obecnego numeru naszego pisma jest; „Dziedzictwo Prymasa Wyszyńskiego”. Wynika to z naszego najgłębszego przekonania, że dorobek czynów, myśli i posługi duszpasterskiej Prymasa Tysiąclecia jest trwałym elementem naszej narodowej tożsamości, że z tego dorobku powinniśmy czerpać znacznie więcej niż dotychczas. *Dlaczego dzisiaj rozmawiamy o kardynale Stefanie Wyszyńskim?* – pyta w swoim wywiadzie Ks. Prof. Waldemar Chrostowski. I odpowiada; *Dlatego, że nie rozmawiamy jedynie o przeszłości, próbując zrozumieć to, co się wydarzyło, lecz także o tym, co pozostaje ważne na dziś i na jutro. Prymas Tysiąclecia był z pewnością człowiekiem Kościoła, ale jeszcze bardziej był człowiekiem Boga. Dzisiaj istnieje wielka potrzeba ludzi Boga, którzy umieją odważnie, w świetle wiary chrześcijańskiej i męstwa, jakiego ona potrzebuje, kształtować życie Kościoła i Ojczyzny. Nie nadążać za światem, czy odzwierciedlać to, co się w nim dzieje, lecz kształtować rzeczywistość. Właśnie na tym polega profetyczna funkcja Kościoła. Kardynał Wyszyński był prorokiem w biblijnym tego słowa znaczeniu. Nie dlatego, że zapowiadał przyszłość, ale dlatego, że ją współtworzył. Nie ma żadnej przesady w słowach Jana Pawła II, iż pontyfikat papieża z Polski byłby niemożliwy bez Prymasa Tysiąclecia. Można to samo powiedzieć odnosząc się do przyszłości. Jeżeli Kościół w Polsce i nasz naród ma rzeczywiście wypełnić swoje zadanie, to od strony ludzkiej musi stać na dwóch nogach: jedna to Jan Paweł II, a druga – kardynał Stefan Wyszyński. Dopiero z połączenia wierności dziedzictwu tych dwóch wielkich bohaterów wiary może wyrosnąć coś naprawdę cennego i trwałego.*

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski przywołuje również swoje osobiste wspomnienie z pamiętnej audiencji Jana Pawła II z października 1978 roku; *Z racji rozpoczęcia studiów w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie byłem obecny na tej audiencji i dzięki kardynałowi Wyszyńskiemu miałem możliwość być bardzo blisko, bo w drugim rzędzie. Dla nas wszystkich to, co się działo, to był jeden wielki szok. Patrzyłem na twarz Ojca Świętego i twarz Księdza Prymasa. Pamiętam jak ogromne wrażenie wywołały słowa Jana Pawła II: „Czcigodny i Umiłowany Księżu Prymasie. Pozwól, że powiem po prostu, co myślę, Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem”.*

Z kolei na pytanie; *dlaczego elity intelektualne i polityczne III Rzeczypospolitej odsunęły tę postać w cień, z wielką stratą dla naszej obecnej kondycji społecznej i duchowej?* Ks. Prof. Waldemar Chrostowski odpowiada; *Po pierwsze, kardynał Stefan Wyszyński był silnie kontestowany już za swojego życia, w okresie, gdy sprawował funkcję prymasa Polski i arcybiskupa metropolity gnieźnieńskiego i warszawskiego.*

Ponieważ angażował się w życie społeczne i polityczne – aczkolwiek to zaangażowanie miało swoje ramy i religijne ukierunkowanie – istniał paradoks polegający na tym, że szanowali go przeciwnicy, nawet ci po stronie „czerwonej”, natomiast rozmaite obiekcje podnosili ci, którzy przynależąc do Kościoła katolickiego, chcieli nim w Polsce grać oraz ustawiać po swojemu różne sprawy, także społeczne i polityczne. Gdy cofniemy się do początku lat pięćdziesiątych XX wieku, czyli okresu stalinowskiego, to kardynał Stefan Wyszyński wycierpiał wtedy wiele z rąk komunistów, ale z tego, co napisał i co mówił, widać, że prześladowcy go szanowali. Podchodzili do niego z należytym respektem i nie odważyli się wyrządzić mu takiej krzywdy, jaka stawała się udziałem ludzi Kościoła w innych państwach bloku komunistycznego. W okresie przygotowań do obchodów 1000-lecia Chrztu Polski, to jest w okresie tzw. Wielkiej Nowenny, Ksiądz Prymas opracował i wytyczył bardzo klarowny program społeczny, który kontrastował z programem partii i ówczesną ideologią. A chociaż różnych przeciwności nie brakowało, to jednak mimo wszystko mógł nie tylko o tym programie mówić, ale również go skutecznie realizować. Polska bez Wielkiej Nowenny i uroczystych obchodów milenijnych nie byłaby taka, jaką stała się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i to właśnie Prymas Wyszyński odegrał w tym procesie decydującą rolę. Ale zarazem już wtedy dawała o sobie znać zawoalowana i otwarta kontestacja. Dochodziła do głosu nie tyle w Polsce, ponieważ tutaj każda kontestacja kardynała Wyszyńskiego była odbierana jako atak na Kościół, lecz dawała o sobie znać np. w Rzymie. Udawały się tam z Polski osoby, występujące pod hasłem troski o Kościół, które próbowały wyrabiać Księdzu Prymasowi złą opinię. W kontekście zachodzących wówczas przemian soborowych przedstawiano go jako konserwatystę, człowieka, który tych zmian nie chce i rzekomo prowadzi własną politykę kościelną. Sugerowano, że należy go pozbawić przywilejów udzielonych przez Piusa XII i Jana XXIII oraz zastąpić nuncjuszem, tak, by papież miał bezpośrednie rozeznanie od kogoś „swojego” na temat sytuacji w Polsce. Ksiądz Prymas bardzo głęboko przeżywał tę kontestację. Nie mówił o niej głośno, ani nie użalał się nad sobą, doświadczył jednak skutków intryg i działań podejmowanych przeciwko niemu i za jego plecami. Ta podstępna kontestacja trwała również później, gdy na przełomie lat 70-tych i 80-tych zachodziły istotne przemiany społeczne, a może bardziej jeszcze po śmierci Prymasa Tysiąclecia. Kiedy go zabrakło, nie znalazło się zbyt wielu tych, którzy utrwalali jego dorobek, odważnie przypominali jego prawdziwe zamierzenia i osiągnięcia, a także koncepcje społeczne oraz ogromny wkład w utrzymanie ładu moralnego i społecznego w Polsce. Na tym etapie ta niewybredna kontestacja znalazła wyraz przede wszystkim w programowym przemilczaniu osoby i dzieła Prymasa Tysiąclecia. Tamte uwikłania i uwarunkowania w gruncie rzeczy trwają do dzisiaj i z różnym nasileniem wciąż dają o sobie znać.

Przypomnijmy jeszcze jeden ważny aspekt dotyczący dziedzictwa Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Jest nim Jego wizja państwa i rozumienie racji stanu. Widzimy, że obecne państwo polskie jest dalekie od ideałów które przyświecały wielu pokoleniom Polaków tworzących Rzeczpospolitą i walczących o Jej wolność. Rola państwa, jego służebność wobec narodu, treści moralne konstytuujące państwo, były stale obecne w nauczaniu Prymasa Wyszyńskiego. W czasach komunistycznej niewoli potrafił kreślić wizję państwa sprawiedliwego, czerpiącego swe siły ze świadomej, solidarnej i duchowej woli swych obywateli, państwa realizującego właściwie odczytaną wiarę w posłannictwo własnego narodu. Brakuje nam dzisiaj wizji takiego państwa.

Zespół redakcyjny „Polityki Polskiej”

„Dziedzictwo Prymasa Tysiąclecia”

Dyskusja redakcyjna.

Udział biorą: dr Tomasz Bartel, Adam Domaradzki, Jacek Kędziński, Romuald Starosielec, doc. hab. Wojciech Turek

Romuald Starosielec: Postać Sługi Bożego Stefana Kardynała Wyszyńskiego, tak obecna w świadomości starszych pokoleń jako duszpasterza narodu, męża stanu, interreksa jest jednocześnie tak mało znana najmłodszemu pokoleniu Polaków, a jego olbrzymi dorobek z zakresu społecznej nauki Kościoła nie był praktycznie brany pod uwagę w wielkiej transformacji ustrojowej lat 90-tych. Czym możemy to wytłumaczyć?

Jacek Kędziński: Myślę, że możemy mówić o takim odwróceniu ról, które nastąpiło nieoczekiwanie w Kościele Katolickim w Polsce w ostatniej ćwierci 20 wieku mieliśmy wówczas dwie wielkie postaci: Stefana Kardynała Wyszyńskiego Prymasa Polski i Karola Kardynała Wojtyły arcybiskupa krakowskiego. Początkowo mieliśmy taką sytuację że Karol Wojtyła kardynał krakowski, choć był już znaczącą postacią to jednak, chociażby z racji wieku, pozostawał nieco w cieniu Kardynała Wyszyńskiego, już wówczas ponad 75 letniego. Po „naszym” konklawe w październiku 1978 siłą rzeczy nastąpiło odwrócenie znaczeń tych dwóch osobistości. Od tej pory na pierwsze miejsce siłą tronu, który objął, wybiła się postać kardynała Wojtyły, teraz już Jana Pawła II, a kardynał Wyszyński z chwilą złożenia *homagium* troszeczkę odszedł w cień. Zatem, do 16 października 1978 Wojtyła pozostaje lekko w cieniu Wyszyńskiego, a po tej dacie nastąpiło odwrócenie ich znaczenia w kościele w Polsce, aczkolwiek Wojtyła przeniósł się z Polski do Watykanu. Skutkiem tego jest także i to, że współcześnie mniej znane jest nauczanie Kardynała Wyszyńskiego, a bardziej znane jest nauczanie Świętego Jana Pawła II, w tym również jego nauczanie społeczne. Ale, jeżeli sięgniemy do nauczania Prymasa Tysiąclecia, to oczywiście stwierdzimy jego ogromną doniosłość, jego ogromne znaczenie i ogromną aktualność także w dzisiejszych czasach.

Tomasz Bartel: W nawiązaniu do tej wypowiedzi, rzeczywiście zostało precyzyjnie określone to, co się stało, ale trzeba pójść dalej. W Kościele, w Polsce ważnym czynnikiem na tamte czasy była postać i rola księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego jako Prymasa Polski i mało było w mediach przekazów, które pokazywałyby na wspólną rolę obydwu tamtych polskich kardynałów. Przygotowując film i relacje z działalności tych dwóch wielkich postaci Kościoła katolickiego w Polsce i rozważając aspekt ich świętości, naprawdę warto

zwrócić uwagę na to, że ta ich współpraca była zawsze bardzo bliska. Natomiast w świetle mediów, w świetle propagandy, a nawet z postaw w samym Kościele, wynikało że jest to Kościół jakby dwubiegunowy i ta dwubiegunowość potem tak jakby została do tej świadomości wszczepiona. Natomiast bardzo wiele wskazuje na to, że wszystko odbywało się na zasadzie bardzo bliskiej współpracy i że jedność widzenia perspektyw i poglądów na dzieje Kościoła w Polsce cały czas była wspólna i spójna, aż do śmierci Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Natomiast rzeczą naturalną było to, co Opatrzność Boża sprawiła, że taka sukcesja, można powiedzieć sukcesja apostołska nastąpiła.

Ważne jest to, że Kościół w Polsce skorzystał na tym, że miał tę ważną instytucję Prymatu. Sama obecność i działalność św. Jana Pawła II była owocem tej Prymatu, a więc istnienia kogoś, kto przewodzi Kościołem w Polsce na zasadzie właśnie silnego Przewodnika zarazem religijnego, jak i społecznego, co jest rzeczą bardzo ważną, zwłaszcza w naszej Ojczyźnie. Okazuje się bowiem, że zasada kolegialności, która teraz wyraża się w funkcji Konferencji Episkopatu Polski tak dobrze nie owocuje we wszystkich aspektach życia społecznego, życia religijnego w Polsce i to się nie sprawdza. Potrzebna jest właśnie działalność Ducha Świętego, który wpływałby na jakąś wielką postać w Kościele w Polsce, bo zwykła kolegialność nawet wielu świątobliwych i wybitnych biskupów nadal nie owocuje tak dobrze dla tego wszystkiego co się dzieje w Kościele w Polsce.

Adam Domaradzki: Dla mnie postać Prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego kojarzy się z wielką godnością i dystynkcją tego, który nie dał się złamać w więzieniu. W czasie odchodzenia Prymasa z tego świata, ja akurat przystępowałem do I komunii świętej, więc siłą rzeczy jego postać i przesłanie odkrywam nieco głębiej dopiero w ostatnich latach. Pamiętajmy o słowach ojca św. Jana Pawła II w dniu inauguracji pontyfikatu: *„Nie byłoby na stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie było Twojej wiary, niecofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twojego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry – i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które jest związane z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.”* W ostatnim czasie dochodzą do nas informacje o niezłomności sekretarza Prymasa Tysiąclecia, późniejszego biskupa diecezji poznańskiej, księdza Antoniego Baraniaka, torturowanego w katowni przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, którego postać i historię przypomina wspomniała dziennikarka Jolanta Hajdasz w swoich filmach. A więc również nie byłoby tego Prymasa, gdyby nie niezłomność księdza Antoniego Baraniaka. Dziś wiemy, że w innych krajach komunistycznych, kościół praktycznie został zlikwidowany, a w Polsce jednak nie. Z tego wypływać powinna wielka wdzięczność nas wszystkich względem tego Prymasa i ludzi Kościoła, którzy nie dali się złamać. Wyzwaniem dla naszego społeczeństwa jest na pewno budowa jedności i pokoju między potomkami katów i ofiar z jednej strony, oraz budowa ustroju państwa opartego na zasadach sprawiedliwości, gdyż ustrój, który przyszedł wraz z kolonizacją ze strony Zachodu, ustrojem sprawiedliwym nie jest.

Romuald Starosielec: Zastanówmy się, jak by wyglądała Polska, gdyby po drugiej wojnie światowej zabrakło Osoby tej miary jak Prymas Stefan Wyszyński? Spotykamy się z takim określeniem; „przeprowadził nas przez Morze Czerwone”. W najtrudniejszym okresie dla Polski był wyrazicielem myśli i postaw Polaków wobec aparatu komunistycznego w Polsce i wobec wolnego świata. Reprezentował przy tym szkołę realistycznego myślenia o polityce, co w Polsce ostatnich dwóch wieków nie było częstym zjawiskiem. Jego rozumna polityka doprowadziła do tego, że komunistyczne ataki na Kościół i naszą narodową tożsamość nie przynosiły spodziewanych skutków lecz jeszcze bardziej utwierdzały szerokie rzesze Polaków w przekonaniu o potrzebie obrony narodowych imponderabiliów. Cały aparat totalitarnego państwa był bezradny wobec tej postawy! Jeżeli mamy określić z jakich okresów historii możemy być dumni, to w moim odczuciu ten właśnie okres zajmuje jedno z poczesnych miejsc. Komuniści pozbawili nas prawdziwych elit, wychowali swoje własne, lecz nie byli w stanie sięgnąć do zbiorowej świadomości Polaków. Tu decydującą rolę odegrał Prymas Tysiąclecia, był dla milionów Polaków tą latarnią morską na wzburzonym morzu, wskazującą w jakim miejscu są i dokąd mają płynąć. I działo się to bez mediów, bez pośrednictwa, czy raczej wbrew postawie, oficjalnych elit. Ten fenomen z pewnością zasługuje na naszą szczególną uwagę, zwłaszcza wobec sytuacji dzisiejszej, gdzie mamy dostęp do mediów, olbrzymie możliwości społecznego komunikowania, lecz brakuje nam tej latarni jaką był urząd interreksa.

Wojciech Turek: Prymas Wyszyński był nazywany *interrexem* i to określenie najcelniej oddaje faktyczną rolę, jaką pełnił w okresie Polski Ludowej. Był tymczasowym reprezentantem prawowitej władzy wywodzącej się z narodu – taką funkcję *interrex* pełnił w dawnej Rzeczypospolitej – do czasu ustanowienia nowego prawowitego władcy: w dawnych czasach był to monarcha czyli *rex*. Tę rolę Wyszyński pełnił nie tylko jako reprezentant Kościoła katolickiego, największej niezależnej instytucji funkcjonującej w skomunizowanej Polsce, ale co najmniej w równym stopniu jako wytrawny i wybitny polityk. Wyszyński zrealizował po 1945 roku to wszystko, co wcześniej głosił i do czego zmierzał Roman Dmowski. Pracował na rzecz Polski katolickiej, jednolitej narodowo i mocno osadzonej nad Odrą i Nysą. Rozumiał, że PRL nie jest suwerennym państwem, ale innej Polski po Jałcie mieć nie możemy, dlatego trzeba żyć i pracować w takiej Polsce jaka realnie istnieje i starać się, aby PRL w coraz większym stopniu spełniał funkcję suwerennego organizmu, wyrażającego i chroniącego polskie wartości i polską rację stanu. Wyszyński poprowadził Polaków drogą realizmu przeciwstawionego emocjonalnym porywom skutkującym różnymi powstaniem i wybuchami gniewu. Po wojnie przeciwstawił się modelowi nieustępliwego antykomunizmu, tak dzisiaj gloryfikowanym „żołnierzom wyklętym”, ponieważ wiedział, że jest to droga donikąd. Kto ośmielił się kwestionować antykomunizm Wyszyńskiego, niech najpierw poczyta, co Wyszyński pisał i jak działał przed wojną. Katolicka nauka

społeczna, którą konsekwentnie głosił i usiłował realizować w praktyce, była alternatywą dla komunizmu. A klęska powstania warszawskiego, czego byśmy dzisiaj o powstaniu nie powiedzieli, w 1945 roku skutkowałą powszechnym zniechęceniem społeczeństwa do polityki i do oporu przeciw zniewoleniu. Wyszyński wskazał Polakom drogę i Polaków tą drogą poprowadził: to droga pokojowych, stopniowych zmian, etapowego wydobywania Polski z bagna komunizmu i odzyskiwania suwerenności. Dopiero w tym świetle zrozumiałe stają się – jakże często przemilczane – słowa Wyszyńskiego wypowiedziane w czasie strajków sierpniowych 1980 roku, gdy nawoływał nie do buntu i walki, ale do umiarkowania i spokoju. Jego polityka była klarowna i konsekwentna: w okresach odpływu energii społecznej, wzywał Polaków do przewycięzania marazmu, natomiast w okresach kryzysów i napięć społecznych, odwoływał się do rozsądku i poczucia odpowiedzialności.

Romuald Starosielec: Dzisiaj powszechnie jest znana sprawa procesu pojednania polsko-niemieckiego, zapoczątkowana listem biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku i rolę jaką odegrał w tym Prymas Wyszyński. Lecz nadal pozostaje otwarta sprawa podobnego pojednania polsko-rosyjskiego. Jestem przekonany, że gdyby żył Prymas Wyszyński, to po 1991 roku, gdy rozpadł się system komunistyczny, podjąłby taką próbę pojednania nas z narodem rosyjskim.

Wojciech Turek: W latach 60. Prymas Wyszyński dokonał niezwykłych rzeczy. Pozbawiony władzy i możliwości skutecznego wpływania na nią, stoczył z komunistami i ich poplecznikami „katolikami postępowymi”, wieloletnią walkę o „rząd dusz”: obchody *Millennium* były polem tej wielkiej bitwy; po jednej stronie masy manifestujące swoje przywiązanie do Kościoła i katolicko-narodowej syntezy (Dmowski!), po przeciwnej stronie państwo, które wprawdzie pod rządami Władysława Gomułki było bardziej polskie niż w okresie stalinowskim, jednak zawzięcie zwalczało wartości chrześcijańskie. Tę walkę Wyszyński wygrał. Wygrał również drugie wielkie starcie. W 1965 roku jeden jedyny raz wkroczył na teren realnej polityki i wystąpił na teren międzynarodowy w imieniu polskiej racji stanu na rzecz pojednania polsko-niemieckiego. To było genialne zagranie w imieniu Polski a przeciwko wszystkim potęgom (Stanom Zjednoczonym również!). Sowietci szantażowali nas tym, że tylko oni są zdolni do obrony naszej granicy zachodniej. Amerykanie grali kartą niemiecką i w latach 60. nie wypowiadali się jednoznacznie w obronie granicy na Odrze i Nysie. Niemcy zachodni nie uznawali granicy na Odrze i Nysie. W takich okolicznościach Wyszyński odwołał się do Kościoła katolickiego w Niemczech, składając ofertę współpracy i pojednania. Zgadzam się, że w obecnych czasach, idąc za wskazaniem Wyszyńskiego, należałoby analogicznie wystąpić na rzecz pojednania polsko-rosyjskiego, wbrew interesom mocarstw, które instrumentalnie grają polską kartą, albo wciąż traktują Polaków przedmiotowo. Politycy realistyczni przed 1989 rokiem mówili, że warunkiem pojednania polsko-rosyjskiego jest: nie mieszanie się przez Rosjan do spraw polskich oraz rozwiązanie

konfliktu granicznego. Oba warunki zostały spełnione, ponieważ po 1991 roku ewentualne problemy graniczne możemy mieć z Litwą, Białorusią lub Ukrainą, a nie z Rosją.

Romuald Starosielec: W samym okresie przełomu roku 1989 w Polsce Kościół formalnie uczestniczył, wprawdzie przedstawiciele Kościoła byli przy „okrągłym stole”, jednak nie mieli praktycznie wpływu na zawarte tam decyzje. Transformacja ustrojowa, jaka potem nastąpiła, nie miała w sobie nic z ducha Nauki Społecznej Kościoła, a tym bardziej dorobku społecznego ks. Prymasa Wyszyńskiego, który od wczesnych lat swojego kapłaństwa intensywnie zajmował się tą problematyką. Przypomnę tylko jego dzieło z tego okresu „Duch pracy ludzkiej”. Można powiedzieć, że jego dorobek na tym polu wyprzedzał epokę i wielkim grzechem zaniechania było to, że do tego dziedzictwa elity polskiej nie nawiązywały. Czy nie sądzicie Państwo, że czas najwyższy, aby w polskich wysiłkach do stworzenia bardziej dojrzałego systemu ekonomiczno-społecznego dorobek księdza prymasa Stanisława Wyszyńskiego powinien zostać na nowo odkryty?

Adam Domaradzki: Muszę przyznać, że po odzyskaniu tzw. wolności, czyli w latach 90-tych, jako młody człowiek w ogóle nie interesowałem się, co Kościół ma do powiedzenia na tematy społeczne czy ekonomiczne. Ale, po latach, jak zrozumiałem, na czym polega zniewolenie oraz ateizacja w społeczeństwach Zachodu, która i do nas zawitała, to zaaplikowałem sobie kurs eksternistyczny w szczególności w zakresie Społecznej Nauki Kościoła i doszedłem do wniosku, że rzeczywistość, która nas otacza, jest systemem opartym na wykorzystywaniu człowieka i rodzin, a nie ich wspieraniu. Krótko mówiąc, mamy wiele zadań do wykonania. Zadania te postrzegam głównie w sferze edukowania społeczeństwa na temat wad obecnego systemu, jak również proponowania rozwiązań nowych, które są oparte o zdrowe fundamenty.

Tomasz Bartel: Jeśli myślimy o tej działalności Księdza Prymasa Wyszyńskiego, która była związana jeszcze z jego posługą biskupią w Lublinie i na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie ta działalność intelektualna i te tygodnie społeczne funkcjonowały, więc elity wychodzące z tej podstawowej uczelni katolickiej, autentycznej uczelni katolickiej, bo oczywiście istniały wówczas jeszcze wydziały teologii na innych uniwersytetach, ale KUL był zdecydowanie na czele ich wszystkich. Istotą działalności była nie tylko działalność intelektualna, ale praktyczne organizowanie się i uczestniczenie w kursach, zakładanie stowarzyszeń robotników chrześcijańskich. Mało znamy tę działalność społeczną, ale wiemy, że Kardynał Stefan Wyszyński opracował właściwie pierwszy skrypt dotyczący zagadnień społecznych i to nie tylko jakies przetworzenie encyklik Leona XIII „*Aeterni Patris*”, czy „*Rerum Novarum*”, tylko własne rozważania, można powiedzieć teologię praktyczną, dotyczącą zagadnień społecznych: kim jest człowiek? jakie są jego wspólnoty podstawowe? Pisał i mówił o wspólnocie narodowej i to wszystko było nauczane w środo-

wiskach duszpasterskich. Wychował wielu kapłanów i ludzi świeckich, którzy dalej mogli prowadzić działalność popularyzatorską myśli społecznej Kościoła, która do tej pory była nieobecna, a sprawy społeczne były w sieci politycznej związanej z komunistami i socjalistami, czy innymi ugrupowaniami, nazwijmy je delikatnie: „zorganizowanymi grupami katolików świeckich”. Przeszło ono również dzięki kościelnym inicjatywom, co jest bardzo ważne, do szkół ludowych, tak że myśl społeczna Kościoła była znana z kazań, ale także z nauczania w tych szkółkach. W tamtych czasach, nawet prości chłopci bardzo dobrze byli zorientowani w tym jakie są propozycje społeczne Kościoła i oni byli odporni na propozycje socjalistyczne, propozycje ruchów rewolucyjnych, nakłaniający ich do jakichś buntów czy protestów i tym podobnych zachowań, więc to jest bardzo ważna rola Prymasa Tysiąclecia. Druga rzecz bardzo ważna to taka, że w tym procesie nauczania społecznego obecny był oczywiście „*Duch pracy ludzkiej*”. To jest wspomniała książka, która powinna być spopularyzowana i wznowiona współcześnie. W tamtych czasach to była książka, która łączyła właściwie teologię z praktyką w działaniach społecznych, z jakimiś rozważaniami socjologicznymi. społecznymi nauk społecznych ale to wszystko było zakotwiczone bardzo dobrze w rzeczywistości, w sytuacji która wówczas była.

Jeśli chodzi o nauczanie społeczne kontynuatora tej myśli Karola Wojtyły, to Encyklika *Laborem Exercens* – „O pracy ludzkiej” z 1981 roku, która była trzecią z encyklik Jana Pawła II, ukazała się stosunkowo późno, kiedy w Polsce Solidarność już dołowała w stanie wojennym, więc nie oddziaływała tak mocno jak mogła i powinna oddziaływać, co było spowodowane także zamachem na Jana Pawła II i jego rekonwalescencją, natomiast późniejsze encykliki już tak nie oddziaływały, jak na przykład „*Sollicitudo Rei Socialis* z 1987 roku”, już były bardziej ogólne, ogólnościowe, ale wiadomo także, że ruch robotniczy został w Polsce w tym czasie praktycznie spacyfikowany.

Jacek Kędzierski: O aktualności myśli społecznej Prymasa Tysiąclecia świadczy chociażby takie zagadnienia jak zakaz pracy w niedzielę i jego egzekwowanie. To jest mój ulubiony temat i wiele na ten temat znalazłem w kazaniach Prymasa Tysiąclecia, jak również w homiliach Kardynała Wojtyły, np. w jego kazaniu Piekarach Śląskich, podczas pielgrzymki mężczyzn. Prymas Wyszyński zabierał głos na ten temat, wspominając swoją pracę przedwojenną, duszpasterską we Włocławku. Szczególnie zabawna jest opowieść o pewnym starozakonnym przedsiębiorcy, który o dziwo także wsłuchiwał się w słowa, wówczas księdza Wyszyńskiego, i słysząc jego wypowiedzi na temat konieczności poszanowania trzeciego nakazu Dekalogu i pierwszego przykazania kościelnego stwierdził tak: „*No dobrze czcigodny księżo, ale co ja mam zrobić, kiedy to sami katolicy pchają mi się do pracy w niedzielę. Niech ksiądz zwraca się do nich o to, by tego zaniechali*”. Samo to zagadnienie zostało zbagatelizowane w Polsce już po przełomie 1989 roku, no i odnosiło się wrażenie, że także w Kościele w Polsce powstało takie przekonanie, że niestety trzeba pogodzić się z tym, że w niedzielę będzie czynny handel. Główne wypowiedzi kardynała

Wyszyńskiego na ten temat pochodzą z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to Gierek wprowadzał system czterobrygadowy pracy ciągłej w kopalniach, co wymuszało pracę także i w niedziele. Kościół z tym walczył. To był bardzo silny głos także Kardynała Wyszyńskiego i Kardynała Wojtyły i to wołanie jest aktualne w czasach współczesnych. Trzeba zrozumieć, że w interesie przedsiębiorcy jest to, by niedziela była dniem wolnym od pracy i także w interesie pracownika jest to, że ma on ten jeden dzień w tygodniu wolny od pracy i nie może tego dnia oddawać, porzucać wolnej niedzieli, kierując się chęcią zysku, bo to często jest tak, że to nie tyle przedsiębiorca, kierując się chęcią zysku narzuca obowiązek przychodzenia do pracy w niedzielę ale często też pracownicy nieświadomi swych praw i znaczenia tego dnia wolnego od pracy goniąc za pieniądzem pchają się do pracy w niedziele. Myślę że podejście do tego zagadnienia przez Prymasa Tysiąclecia jest bardzo ważne i niezmiernie aktualne także w dzisiejszych czasach.

Wojciech Turek: O potrzebie renesansu myśli ekonomiczno-społecznej Prymasa Wyszyńskiego powiedzieli moi przedmówcy, ja odniosę się do sfery *stricte* politycznej. W 1981 roku, na kilka tygodni przed śmiercią Wyszyński apelował do działaczy „Solidarności” o rozwałkę i skupienie się na pracy organicznej dla Polski. Jego wezwanie nie zostało wzięte pod uwagę jesienią tegoż roku, Prymas Tysiąclecia już nie żył, a radykalizacja „Solidarności” doprowadziła do frontального zwania w postaci stanu wojennego a potem kilkuletniej stagnacji. Nie usprawiedliwiam komunistów, chcę natomiast powiedzieć, że przywódcy „Solidarności” porzucili realistyczną politykę sprzyjającą stopniowej ewolucji Polski Ludowej w kierunku Polski Niepodległej. W 1989 roku komuniści dobrali sobie współpracowników i podzielili się z nimi władzą. Niestety, Kościół dał się wykorzystać i wmanewrować w taką konstrukcję, otrzymując na osłodę znaczące rekompensaty finansowe. Na mocy takiego porozumienia „ponad podziałami”, nie tylko dorobek myśli ekonomiczno-społecznej Wyszyńskiego, ale w ogóle republikańskie (jak je określa prof. Zdzisław Krasnodębski) dziedzictwo „Solidarności” zostało wyrzucone „na śmietnik historii” i Polskę wychodzącą z komunizmu skierowano na demoliberalne tory. Powtórzę: po 1989 roku porzucono nie tylko katolicką naukę społeczną ale wcześniej porzucono również realistyczną szkołę uprawiania polityki w interesie narodowym. Dlatego mamy obecnie nie tylko kapitalizm w wersji XIX wiecznej, ale również kult powstań i walk zbrojnych skierowanych przede wszystkim przeciwko Rosji.

Romuald Starosielec: Wydaje mi się że powinniśmy podkreślić jeszcze jeden bardzo istotny fakt. Otóż uległa znacznej zmianie sama pozycja Prymasa Polski w strukturach Kościoła w Polsce. Niewyobrażalne było w latach siedemdziesiątych XX, wieku w okresie panowania Kardynała Wyszyńskiego, by biskupi diecezjalni mogli nie tylko na tematy teologiczne ale także społeczne mieć głos odrębny od Księdza Prymasa. Teraz, jak wiemy, bardzo często różni hierarchowie na tematy społeczne a zwłaszcza polityczne wypowiadają

się w całkiem różny i odległy od siebie sposób i myślę, że to wprowadza duży zamęt wśród wiernych i godzi w autorytet Kościoła. Możemy zrozumieć, że trudno dzisiaj o osobowość na miarę Księdza Prymasa Wyszyńskiego, ale czy kościół nie powinien zadbać o to, żeby ta, historycznie sprawdzona, polska tradycja prymasostwa jednak oddziaływała na współczesne życie?

Jacek Kędzierski: No tak, wtedy była sprawa jasna, był wydany list pasterski prymasa lub konferencji episkopatu Polski pod przewodnictwem Prymasa, i on wytyczał jedną linię. Natomiast dziś jest nieco inaczej, bo współcześnie Kościół w Polsce się zdemokratyzował. Po reformach przeprowadzonych przez Jana Pawła II w Kościele, w Polsce nastąpiła demokratyzacja, to znaczy zmianie uległa pozycja Prymasa. To już nie jest urząd dożywotni ale obieralny, kadencyjny, a konkurentem Prymasa stał się przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, co rzecz jasna pozycję Prymasa osłabiło. Czy następstwa reformy były korzystne czy nie to już jest inna sprawa.

Tomasz Bartel: Ja bym jeszcze chciał wyróżnić kilka kwestii w działalności księdza Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Otóż, znakomite wyczucie Polskiej religijności ludowej, przede wszystkim tego, że w tym czasie ta religijność musiała się hartować, kiedy nie było możliwości jawnego kultu. Wiemy, że za sprawą nieugiętości Prymasa Wyszyńskiego zdołano wyprowadzić ten kult religijny na zewnątrz i sprawować go publicznie – te wszystkie pielgrzymki, wszystkie uroczystości religijne i nawet w czasach komunistycznych można było przynajmniej w procesji Bożego Ciała wychodzić na ulice, gdzie porządek zabezpieczała komunistyczna Milicja Obywatelska. Nie mówię tu o czasach odosobnienia księdza prymasa w Komańczy, ale nawet tamten okres to był też czas pracy nad programem polskiej maryjności, który do dziś jest realizowany i powtarza się peregrynacja Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. W krańcowych momentach, kiedy obraz był internowany wędrowała przez ulicę miast i wsie sama rama obrazu, ale to też był akt religijny i jednocześnie polityczny, akt sprzeciwu wobec władzy komunistycznej. Powstawały znakomite programy duszpasterskie, które były realizowane. To jest pierwsza rzecz. Druga rzecz, to jeśli chodzi o sferę także polityczną, bo Kościół zawsze był siłą polityczną, to była kwestia interwencji, czy nawet przypominania pewnych zasad życia społecznego. Dla mnie w „*Duchu Pracy Ludzkiej*” ważna jest *przypowieść o winnicy*, powołanie się na nią; gdzie jest przypomnienie, że praca musi być godziwie wynagradzana, gdyż jest podstawą utrzymania gospodarstw domowych. To może być bardziej podstawą tego, żeby nie pracować w niedzielę, bo w pozostałe dni, zwane roboczymi płaca za pracę powinna zapewnić godziwe utrzymanie w rodzinie. Była też kwestia tego, że Prymas prawidłowo i realnie identyfikował te byty społeczne, to jest rodzinę. Całe jego nauczanie o rodzinie było niezmiernie ważne i druga sprawa że pokazał, czym jest naród i to realnie substancjalnie, on mówił o substancji narodu, a nie jedynie o jego przypadłościach takich jak kultura, język

czy historia, o rzeczach które są dodatkami do istoty narodu. Naród był dla niego żywym organizmem porównywalnym do żywego organizmu, którego życiodajnym Ojcem jest Bóg, który decyduje o losach i zbawieniu ludów i Narodów.

Jacek Kędziński: To, co charakterystyczne dla nauczania Stefana Kardynała Wyszyńskiego to ludowość, postawienie w nauczaniu na ludowość, maryjność, co również jest związane z ludowością i silny nacjonalizm u Wyszyńskiego, który bym nazwał nacjonalizmem katolickim, nacjonalizmem maryjnym. To, co usłyszeliśmy głośno i wyraźnie w 1972 roku w Radomiu, kiedy kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w niesamowity, cudowny sposób wróciła na swój peregrynacyjny szlak. Myśl, że: „*naród potrzebuje mieć matkę*” bardzo silnie precyzuje nam ten nacjonalizm maryjny, nacjonalizm katolicki Prymasa Tysiąclecia. Mam taki książkowy zbiór listów pasterskich Księdza Prymasa Wyszyńskiego. Otwieram go na pierwszym z dokumentów i dalej widzę wielokrotnie użyte słowo „*naród*”; otwieram ostatni dokument i znów widzę słowo „*naród*”. Zatem „*naród*” przewijał się przez całe nauczanie Stefana Kardynała Wyszyńskiego i stąd możemy mówić o jego postawie narodowej, nacjonalistycznej. To trzeba przypomnieć, bo dzisiaj niesłusznie dokonano przewartościowania i przeciwstawienia postawie narodowej, nacjonalistycznej patriotyzmu. Otóż, patriotyzm również obecny był w kazaniach Prymasa Tysiąclecia i ujmowany był jako stosunek, że tak powiem do materii, bowiem ojczyzna to ziemia i to co na niej jest, to kraj w którym naród żyje. Patriotyzm to pozytywny stosunek do kraju – możemy powiedzieć. To rozróżnienie na naród /nacjonalizm/ i ojczyznę /patriotyzm/ można dostrzec w nauczaniu Stefana Kardynała Wyszyńskiego Patriotyzm to umiłowanie ojczyzny, nacjonalizm zaś to pozytywne odnoszenie się do narodu, który tę ojczyznę zamieszkuje, w dążeniu do zapewnienia narodowi dobra, pomyślności, rozwoju, a co za tym idzie, także do zapewnienia pomyślności rodzinom i poszczególnym jednostkom. To jest charakterystyczne u kard. Wyszyńskiego, że stawiał on na pierwiastek ludzki, bo naród jest takim zbiorowym pierwiastkiem ludzkim. Jest to bardzo widoczne w nauczaniu Stefana Kardynała Wyszyńskiego ten taki głęboki, podstawowy humanizm.

Romuald Starosielec: Rodzą się także pytania dotyczące procesu beatyfikacyjnego Księdza Prymasa. Czy nie sądzicie, że jest on prowadzony zupełnie obok głównego nurtu życia Polaków? Jeżeli przypomnimy sobie proces beatyfikacyjny Jana Pawła II czy Księdza Popiełuszki, to były one takie niezwykle żywe w mediach, obecne w życiu Kościoła, stale obecne w świadomości Polaków, to przeciwnie, proces beatyfikacyjny Prymasa Wyszyńskiego przebiega głównie w ciszy kościelnych kancelarii. Jak to zjawisko możemy wytłumaczyć?

Tomasz Bartel: To jest trudne do wytłumaczenia, tym bardziej że jeszcze żyją osoby z bezpośredniego otoczenia księdza Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Natomiast, to jest trudniejszy proces, bo nie chodzi tu o świadomość społeczną, ale też kwestię kultu. Ktoś

musi ten Kult przeżyć, doznać go, tu są trudności; no i w Kościele są osoby mające do beatyfikacji księdza Wyszyńskiego chłodne podejście.

Jacek Kędzierski: No faktycznie, nie było tu okrzyków „Santo Subito!”. Ale wróćmy do początku, do tego co powiedziałem na wstępie, do tego odwrócenia znaczeń i pozycji w Kościele w Polsce. Postać świętego Jana Pawła II siłą rzeczy nieco przyćmiła postać Sługi Bożego księdza Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia. Musimy pamiętać, że w pewnym okresie były to postacie równorzędne i również powinno nam zależeć na pozytywnym zakończeniu procesu beatyfikacyjnego Sługi Bożego Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski jak na wspomnianych procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnym świętego Jana Pawła II czy św. ks. Jerzego Popiełuszki.

Adam Domaradzki: Czy istnieje program społeczny, ekonomiczny, polityczny Prymasa Tysiąclecia dla Polski? Na pewno spuścizna jego tekstów, homilii, przemówień jest ogromna. Niezwykle aktualne treści zawierają np. kazania świętokrzyskie z lat 1974-1976 czy homilia z Uroczystości Objawienia Pańskiego (6 stycznia 1981 roku) na temat sumienia osoby ludzkiej w wymiarze rodzinnym, narodowym i obywatelsko-politycznym. Wiekopomnym dziełem była wielka nowenna przed millenium chrztu 1966 roku (9 lat ??). Myślę, że Prymas rozumiał swoją misję adekwatnie do czasu, w którym żył, czyli aby przeprowadzić polski kościół i naród przez hekatombę komunizmu, przez „morze czerwone”. Jego poprzednik, pochodzący ze Śląska kard. August Hlond powiedział, że zwycięstwo, jeśli przyjdzie, będzie to zwycięstwo Maryi. Prymas Wyszyński „przejął pałeczkę” i poprowadził nas, pod płaszczem Maryi, bez większych strat, co pozwoliło zachować naszą tkankę społeczną i substancję narodową. Ojciec Święty, realizując osobiste i społeczne Totus Tuus, rozniósł naukę Chrystusa na cały świat. Ale nauka społeczna, rozwiązania od *Rerum Novarum* Leona XIII, poprzez encykliki społeczne Jana Pawła II, aż po *Caritas in Veritate* Benedykta XVI, wciąż czekają na realizację. I to są właśnie te zadania, które powinniśmy, adekwatnie do czasów w których żyjemy, pod płaszczem Maryi, zrealizować. Nauka społeczna kościoła jest tą nauką, w której centrum troski znajduje się człowiek i rodzina, jako najmniejsza komórka społeczna. Jest to realizacja tego, co Arystoteles nazywał dobrem *oikos*, dobrem rodzinnym. Na pewno beatyfikacja tego, który doniósł żywą wiarę w tkance tego narodu w czasie dominacji totalitarnego, ateistycznego ustroju, Stefana kard. Wyszyńskiego, w 100-ą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, bardzo by nam to zadanie ułatwiła.

Romuald Starosielec: Na zakończenie chciałbym podnieść jeszcze jeden ważny aspekt dotyczący dziedzictwa Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Jest nim Jego wizja państwa i rozumienie racji stanu. Widzimy, że obecne państwo polskie jest dalekie od ideałów które przyświecały wielu pokoleniom Polaków tworzących Rzeczpospolitą i walczących o Jej wolność. Rola państwa, jego służebność wobec narodu, treści moralne konstytuujące pań-

stwo, były stale obecne w nauczaniu Prymasa Wyszyńskiego. W czasach komunistycznej niewoli potrafił kreślić wizję państwa sprawiedliwego, czerpiącego swe siły ze świadomej, solidarnej i duchowej woli swych obywateli, państwa realizującego właściwie odczytaną wiarę w posłannictwo własnego narodu. Brakuje nam dzisiaj wizji takiego państwa.

Ks. kard. Stefan Wyszyński

Druga myśl, którą warto tu rozwinąć, wiąże również przeszłość z teraźniejszością i sprawia, że mistrz Wincenty żyje swoją duchowością w naszym pokoleniu. Można powiedzieć, że za swoich czasów Wincenty Kadłubek był wychowawcą narodu. Właściwie to on zaczął formować cnoty społeczne i poczucie wspólnoty narodowej, chociażby przez to, że sięgnąwszy do przeszłości historycznej Polski wieku XII i początków XIII, wszystkie fragmenty naszych dziejów starannie zebrał, zapisał w Kronice – pierwszej historii Polski, zostawił swemu pokoleniu i naszym czasom. Jest to księga ciekawa, niezwykła, pełna przedziwnego optymizmu i głębokiego szacunku dla dziejów narodu.

Jak wy w domu waszym znajdujecie pamiątki po matce, ojcu, dziadkach, szanujecie je i przechowujecie, tak na przykład pukiel włosów zmarłej matki, czy zdartą szatę ojca, tak dla was droga, tak dla błogosławionego Wincentego droгим było wszystko, co stanowiło przeszłość dziejową narodu. W przedziwnym świetle, ze szlachetnym entuzjazmem i niezwykłym uwielbieniem ukazywał ją tak, że można go nazwać nie tylko kaznodzieją, ale i wychowawcą. A jego Kronikę, która ma charakter wybitnie nauczycielski, można nazwać pedagogiką katolicką i narodową.

W swym trudzie pisarskim błogosławiony Wincenty czuwał nad tym, aby wszystkich swoich czytelników uczyć przede wszystkim miłości ojczyzny. To jest znamienne! Czegoś równie gorącego i żarliwego nie znajdziemy łatwo w piśmiennictwie polskim, chyba dopiero w Kazaniach sejmowych Piotra Skargi, dla którego Wincenty Kadłubek był wzorem. Nie tylko walczy on o praworządność kraju, nie tylko zwalcza i odważnie piętnuje nadużycie prawa – jak czynił to później Piotr Skarga – ale w sposób pozytywny uczy miłości ojczyzny i wyzbywania się prywaty dla dobra publicznego. Swojej Kronice stawia bardzo ciekawy i świetlany cel: uczyć cnoty, zwłaszcza miłości ojczyzny, własnego kraju i ziemi ojczystej, zachęcać do czynów rycerskich i wzniosłych.

Dawne to czasy, ale wyraziście przemawiają do nas dziś, gdy stojąc na progu tysiąclecia chrztu Polski, zachęcamy się wzajemnie do wyniszczania wszystkich wad narodowych, tych “nabytków” dziejowych, i do wypracowywania w sobie cnót, potrzebnych do dalszego spokojnego życia i współżycia wszystkich warstw społecznych naszej ojczyzny w sprawiedliwości i miłości.

Kronika błogosławionego Wincentego jest wstępem do nieustannego trudu uczenia cnoty. Zachęcał on usilnie do czynów rycerskich i wzniosłych. Pozwólcie, że z jego pism przytoczę kilka wyjątków, w których przemawia do młodzieży. Między innymi tak mówi: Ktokolwiek występuje przeciwko męstwu, świadczy tchórzostwem, przeciwko siwiźnie – jest szaleństwem, a przeciwko gnuśności trzeba zawsze przeciwstawić młodość. [...] Trzeba szukać sposobności okazania odwagi, jeżeli sama się nie nawinie. [...] – Kto kiedy uchylał się przed okazją sławy, chyba tylko ten, kto całkiem zatracił poczucie sławy. – Obrona lub ocalenie szczęścia współobywateli, największym jest ze wszystkich triumfów. – Nie godzi się myśleć o własnym bezpieczeństwie, gdy dobro ogółu na niebezpieczeństwo jest narażone.

Widzimy z tego, jak bardzo mistrz z Jędrzejowa uczy nas troski o społeczne życie narodu, jak ostrzega przed prywatą, samolubstwem, kręceniem się wokół siebie i wokół własnych spraw. Czyż te słowa nie są dziś na czasie? Czyż nie należałoby ich wypisać na wszystkich sztandarach, transparentach i na ulicach w czasie uroczystości narodowych?

Dzisiaj często spotykamy się ze zjawiskiem “opluwania własnego gniazda”. Ludzie; zwłaszcza niezbyt wykształceni, natrzęsają się z naszej przeszłości historycznej, nie doceniając wielkiej ofiary, każdej kropli krwi wylanej za naród, czy każdej kropli potu z czoła rolnika, która wsiąkła w ziemię ojczystą. To wszystko wskazuje na wielką potrzebę wołania o szacunek dla dziejów narodowych, dla trudu pokoleń, które minęły, dla ich ofiarnej krwi wylanej w powstaniach, w walce o wolność ojczyzny, na wszystkich kontynentach, czy w ostatnim powstaniu warszawskim. Chociaż wiele z tych zrywów było nieudanych, jednak zawdzięczamy im to, że sumieniu międzynarodowemu przypomniały o naszym narodzie. Ich praca, trud i ofiarne poświęcenie dało taki rezultat: że obecnie jesteśmy i istniejemy w granicach własnego państwa i narodu.

Błogosławiony Wincenty występował otwarcie przeciwko wszystkim kpiarzom, którzy wyśmiewali przeszłość i oceniali ją niesprawiedliwie, jak to niekiedy i dziś się zdarza. Można powiedzieć, że Kronika, którą napisał Wincenty Kadłubek, jest księgą miłości ojczyzny. Jest to wołanie o miłość ojczyzny!

Przypomnę z niej jeszcze jedno zdanie: Co się z miłości ku ojczyźnie podejmuje, miłością jest, nie szalem, walecznością a nie zuchwalstwem; waleczną bowiem ni by śmierć jest miłość. I daje nam przykład zdawałoby się tragiczny. Oto opis oblężenia Głogowa. Wspominając widok polskich dzieci przywiązanych przez najeźdźców do oblężniczych machin, które szły na mury Głogowa, pisze: Lecz wszystko na próżno, nieugięcie trwa ojców postanowienie... że lepiej, by rodzice utracili dzieci, niżby obywatelom wydarto ojczyznę, i że raczej o wolności, niż o dzieciach myśleć należy!

W imię takiego założenia ojczyzna nasza wiele razy wzywała waszych synów i córki; aby poświęcili wszystko, byleby tylko ocalał naród, i to, co jest obok miłości najwspanialszym darem – wolność.

Wychowawca Narodu Polskiego -Ku czci błogosławionego Wincentego Kadłubka w Jędrzejowie 30 VIII 1964r.

Kardynał Stefan Wyszyński – Prymas Tysiąclecia
Kazania Świętokrzyskie, styczeń 1976 (40 lat temu).

KAZANIE I: MATKA, SYN, RODZINA

Umiłowane dzieci Boże, dzieci moje!

Osobowość własna każdego człowieka jest odziedziczona od Boga. Mędracy, którzy przybyli ze Wschodu – jak mówi nam historyk ewangeliczny – upadli na twarz, aby oddać pokłon Dziecięciu, i złożyć Mu dary. Nie był to tylko obrzęd, ceremoniał towarzyski. To była głęboka, programowa symbolika dla rozwoju całej rodziny ludzkiej i wskazanie dla wszystkich dzieci Bożych. Wszyscy mędracy tego świata, skądkolwiek by przyszli, ze Wschodu czy z Zachodu, mają obowiązek uczcić człowieka, choćby był dziecięciem.

Dlatego też w naszym myśleniu społeczno-publicznym zawsze musimy zachować prymat człowieka oraz świadomość, że bytowo, istotowo, osobowo – powiedzmy ontologicznie jako *ens* – człowiek pochodzi od Boga. Chociażby urodził się w XX czy w następnym wieku, to jednak w myśli i w planie Bożym istnieje już od wieków. Wcześniejszy jest więc od każdej społeczności, rodzinnej, narodowej czy państwowej, które człowiek powołał do bytu.

I tylko człowiek jest nieśmiertelny. Ani rodzina, ani naród, ani państwo tej właściwości nie posiadają. Pomimo jednak tak wielkiej godności człowieka nie może on sam sobie poradzić. Dlatego też Kodeks Społeczny w swoich sformułowaniach podkreśla, iż *jednostka nie wystarcza sama sobie*.

Wychowanie człowieka powinno zmierzać przede wszystkim w kierunku uszanowania jego osobowości i prawa poszanowania jego zadań życiowych i obowiązków, choćby jeszcze nie kształtowały się konkretnie. Wychowanie musi więc iść po tej linii, aby jak najlepiej uzdolnić człowieka do wypełnienia jego zadań i obowiązków na ziemi, zgodnie z jego charakterem, godnością i posłannictwem. Obowiązkom tym odpowiadają prawa, które rozwijającemu się człowiekowi musi zapewnić rodzina, naród i państwo, całe społeczeństwo, ze wszystkimi swoimi instytucjami.

..

Życie to własność człowieka, choćby najmniejszego. Dlatego też nikt nie ma prawa dysponowania tym życiem według własnego upodobania, czy programu. Raz poczęte życie pod sercem matki – chociażby człowiek nie miał jeszcze wymiaru większego nad ziarnko fasoli – należy do Boga, do człowieka, do rodziny, do narodu.

..

Prawa człowieka nie są więc przez nikogo nadane. Nie są nadane przez rodziców, którzy działają wprawdzie na rzecz nowego życia, lecz nie mają prawa kłaść mu kresu. Wszelkie działanie przeciwko rozpoczętemu życiu jest zwykłą zbrodnią przeciwko prawom natury! Powstające pod sercem matki nowe życie nie należy do niej. Jest ono własnością nowego człowieka! Nikt nie może bezkarnie pozbawić życia kształtującej się dopiero istoty ludzkiej, zwłaszcza, że jest ona bezbronna. Musi więc mieć swoich obrońców. Obrońcą jest sam Bóg, który się upomni o to życie, gdy przed Nim staną ci, którymi posłużył się, aby je przekazać.

Nie są to prawa przez nikogo nadane – ani przez naród, ani przez państwo, chociażby totalistyczne. Nie ma takiej siły, która mogłaby je człowiekowi odebrać. To są prawa własne osoby ludzkiej do tego stopnia, że i człowiek nie może z nich zrezygnować. Człowiek nie ma prawa porywać się na swoje życie, bo nie jest on jego dawcą i życie nie stanowi jego wyłącznej własności. Jest własnością Boga, który przekazał to życie tak, iż jest ono nierozłączne z naszym istnieniem.

Prawa człowieka nie mogą być też przejęte ani przez rodzinę, ani przez naród, ani przez państwo! I przez Kościół są one uszanowane.

Można w takim razie zapytać: a rodzina, jej prawa? Rodzina jest terenem, na którym dobry Bóg przez działanie rodziców ze swojej niewyczerpalnej twórczości w określonym czasie przekazuje życie nowemu bytowi. Rodzina to teren ochrony życia, „rezerwat ochronny” dla dziecka – syna – człowieka. Dlatego też rodzina nie może dysponować jego życiem. Nie może być uchwały męża i żony: rozstaniemy się z nowym życiem. Byłoby to naruszenie prawa przyrodzonego, naruszenie podstawowych praw kształtującej się osoby ludzkiej. Do zboczeń i schorzeń społecznych należy zaliczyć najrozmaitsze wskazania i ustawy przeciwko poczętemu już życiu.

..

Rodzina jest najmniejszą komórką społeczną, ale zarazem jest komórką najbardziej trwałą, mającą niejako uzasadnienie swej trwałości w nieśmiertelności człowieka. Chociaż konkretna rodzina zanika, jednak jako społeczność trwa. I nie znaleziono dotychczas innej formy, doskonalszej, dla zabezpieczenia osoby ludzkiej, nad rodzinę! Rodzina Przewyższa inne formy życia społecznego. **Stąd na rzecz rodziny działać musi i naród, i państwo, o czym będę mówił w następnej konferencji.**

Nie lękajmy się wielkości człowieka

..

Tak! Nie ma po Bogu większej wartości jak człowiek! Jest on osobą, bytem samym w sobie bez względu na taki lub inny ustrój polityczny. Wszystkie bowiem ustroje – demokratyczne, totalistyczne czy monarchiczne – muszą pamiętać o wielkości człowieka. Nie wolno się lękać, że człowiek przerośnie o głowę rodzinę, naród i państwo. Wiemy, że na tę wielkość człowieka czeka rodzina, chlubiąc się swoimi synami. Na tę wielkość czeka naród i dumny jest ze swoich sławnych synów, takich jak Kochanowski, Rej, Mickiewicz,

Słowacki, Krasiński czy Norwid. Naród czeka na wielkich ludzi, którzy by wielkością swoją wybili się ponad całą społeczność narodową. Od tego bowiem zależy postępowanie narodu i dalszy jego rozwój. Co więcej, również społeczność polityczna, państwo, nie może się lękać człowieka, aby przypadkiem człowiek nie przerósł wielkością swoją tych, którzy są u władzy. I państwo potrzebuje wielkich ludzi, i musi na nich czekać.

Wszyscy bowiem – i rodzina, i naród, i państwo – mają obowiązek wychowywać człowieka, obywatela, do wielkości. Stąd wynika wskazanie: nauczyć człowieka wykorzystywać swą wielkość – dla dobra osobistego, narodowo-społecznego i państwowego. A więc przede wszystkim – **przewycięzać deflację psychiczną i społeczną** w naszym życiu rodzinnym, narodowym i państwowym, szczególnie zaś wśród młodzieży.

Obowiązkiem nas wszystkich jest uczyć młode pokolenie uznania dla wielkości człowieka – osoby, dziecka – powiem ogólnie – syna, syna Bożego, syna rodziny i narodu – i wykorzystania tej wielkości dla dobra osobistego, dla społeczności narodowej, dla dobra państwa.

Wszyscy, zwłaszcza ludzie utalentowani, pisarze, dramaturdzy, artyści występujący na scenach teatralnych mają obowiązek pomagać człowiekowi do wielkości. Nie spychać go w błoto, lecz przeciwnie – samemu się rehabilitować. Poprawiać swoją twórczość, nieustannie czyniąc rachunek sumienia, czy dobrze służę mojemu narodowi i ojczyźnie talentami, które posiadam? Czy – przeciwnie – nie pluję w twarz narodowi, ojczyźnie, czy nie zozydnam jej w obliczu innych narodów – jak to się przytrafiło i przytrafia jeszcze jednemu z wybitnych twórców scenicznych, który wychwalany jest na scenach zagranicznych. Spotkałem się z recenzjami jego twórczości w prasie włoskiej i francuskiej, jakkolwiek wstydzić się trzeba, że posiada nazwisko polskie i roznosi po świecie złą sławę syna swojej ojczyzny.

Trzeba zmobilizować wszystkie wartości osobiste, narodowe i państwowe do obrony wielkości człowieka, do obrony wielkości Polaka, by przewycięzać deflację psychiczną, społeczną i moralną, jakiej może się poddać młodzież, jeśli naród wielkości tej bronić nie będzie.

...

Pamiętajmy, że Chrystus chociaż był Bogiem, jako człowiek przyszedł na świat w konkretnej rodzinie. Nawet Bóg dla umiejscowienia swojego Bożego Syna na ziemi uznał za najdoskonalszą formę – rodzinę nazaretańską. Co więcej, Bóg związał swojego Syna z konkretnym narodem, z narodem izraelskim, zgodnie z zapowiedzią zwiastuna w Nazarecie: *Da Mu Bóg tron ojca Jego, Dawida* (Łk 1,32).

...

Kończąc nasze pierwsze rozważanie, przypomnijmy sobie, dzieci Boże, zdanie Mickiewicza, które znajdujemy w II części *Dziadów*.

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem, Sprawiedliwe zrządzenie Boże! Bo kto nie był ni razu człowiekiem Temu człowiek nic nie pomoże.

Wyprowadzamy stąd wniosek, że najpierw trzeba uczynić człowiekiem syna rodziny, ojczyzny, narodu. Pamiętamy też słowa Sienkiewicza z *Rodziny Połanieckich*: – *O człowieku*

nie wolno wątpić, póki żyje. Bo w nim zawsze odezwą się Boże źródła jego pochodzenia. Chrystus nie zwątpił w Iotra na Kalwarii, dlatego powiedział z krzyża: *Dziś ze Mną będziesz w raju* (Łk 23,43). I naród nie może wątpić nawet w taką młodzież, której postępowanie może nam się nie podobać. Trzeba jej podać pomocną dłoń, mobilizując w jej obronie wszystkie siły: rodzinne, narodowe i państwowe. Dlatego też we wszystkich projektach zmian Konstytucji trzeba zachować i uwzględnić prymat rodziny i narodu, trzeba uznać ich prawa, aby korzystając z nich i rodzina, i naród mogły wychować młode pokolenie do wielkości.

Ks. kard. Stefan Wyszyński o narodzie i ojczyźnie.

Kościół każe nam modlić się do Tej, która jest dana do obrony narodu polskiego. Zdawałoby się, że to są w liturgii słowa nie do przyjęcia, boć przecież to „niemal już polityka”! Pamiętajcie jednak, że gdy Chrystus wysyłał uczniów swoich, powiedział im: Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je... (Mt 28,19). W psalmach modlimy się często: Niechaj wyznają Cię, Boże, narody. Niechaj wyznawają Cię wszystkie ludy. Chwalcie pana wszystkie narody! (Ps 117). – Nie tylko człowiek ma być Boży, nie tylko rodzina ma być Bożą, Boży ma być także naród! Naród musi mieć taką siłę, która go łączy. Taką siłą jest duch chrześcijański, światło Ewangelii i życie Boże umacniane przez Kościół w rodzinach polskich i w całej ojczyźnie. Przez Kościół umacniany jest duch jedności narodu.

Jesteśmy przekonani, że jednocząc naród przez Kościół i religię, a więc przez najważniejsze motywy, my biskupi, kapłani i wszyscy wierni oddajemy najważniejszą, zasadniczą przysługę naszemu narodowi i ojczyźnie ochrzczonej. Jesteśmy o tym głęboko przekonani, a przekonania tego nikt nie wybije nam z głowy. Doświadczenie bowiem dziejowe każe nam być wiernym temu przekonaniu.

A więc i naród ma być Boży! Kościół dobrze czyni jednocząc naród przez krzyż i Ewangelię. Natomiast każdy, kto w jakiegokolwiek formie przyczynia się do odchrześcijanienia narodu, do popierania sekciarstwa i finansowania jego poczynań rozbijających naród, sprzeciwia się jedności narodu i wyrządza mu najgorszą przysługę.

Gdy Chrystus modlił się: Spraw, Ojcze, aby byli jedno, miał na myśli nie tylko naszą jedność z Trójcą Świętą, ale jedność rodzin i narodów. Chrystus modlił się psalmami: Niech Cię wyznają, Boże, wszystkie narody. A uczniom swoim polecił: Idźcie i nauczajcie wszystkie narody.

Tak ochrzczeni i oświeceni od tysiąca lat jest również naród polski, który przez religię nie stracił nic na jedności. W czasie wojny czytaliśmy w prasie zaborczej, że nieszczęściem narodu niemieckiego jest jego religijne rozbicie. Tworzyli więc u siebie nową, narodową religię, a w rzeczywistości dalej rozbijali naród. Wszystko to się zawałiło. Jest to straszny przykład i zarazem ostrzeżenie, aby być mądrym. Jeżeli naród jest zwarty religijnie, jeżeli jego przeważająca, znakomita część jest zjednoczona przez jedną wiarę, jeden chrzest, jeden krzyż i Ewangelię, cenić trzeba to wielkie dobro i jednoczącą siłę. Jest ona bowiem ważna i doniosła nie tylko w spokojnej chwili, ale i w czasach straszliwych doświadczeń.

Gdy dzisiaj modlimy się do Boga, który dał nam Maryję do obrony narodu polskiego, gdy obraz Jej obchodzi granice całej Polski, aby wejść do serca narodu, to z Jej pomocą umacniamy nie tylko duchową jedność poszczególnych Polaków i rodzin, ale duchową jedność całego narodu.

Maryja Jasnogórska apostołką jedności Narodu – Podczas uroczystości maryjnych w Gdańsku 23 X 1960r.

„Skutecznie kształtował przyszłość”

– o znaczeniu nauczania kard. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia, mówi ks. prof. Waldemar Chrostowski

Romuald Starosielec: Księżo Profesorze, czy uprawniona jest teza, że po 1989 roku, w niepodległej Polsce, nauczanie społeczne Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego zostało zapomniane? Czy, biorąc pod uwagę wyzwania, przed jakimi stał nasz naród i wielkie zmiany, jakie w Polsce zachodziły, nie zubożyliśmy naszej myśli narodowej i państwowej, nie wykorzystując w należyтым stopniu cennego dorobku Prymasa Tysiąclecia? Czy nie wydaje się Księdzu Profesorowi, że elity intelektualne i polityczne III Rzeczypospolitej odsunęły tę postać w cień, z wielką stratą dla naszej obecnej kondycji społecznej i duchowej?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Ta diagnoza jest, niestety, prawdziwa. Kardynał Stefan Wyszyński nie doczekał się takiego miejsca w naszej najnowszej historii i świadomości, nie tylko w Polsce, lecz również w Kościele katolickim, na jakie na pewno zasługuje. Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele, lecz na pierwszy plan wysuwa się kilka czynników. Po pierwsze, kardynał Stefan Wyszyński był silnie kontestowany już za swojego życia, w okresie, gdy sprawował funkcję prymasa Polski i arcybiskupa metropolity gnieźnieńskiego i warszawskiego. Ponieważ angażował się w życie społeczne i polityczne – aczkolwiek to zaangażowanie miało swoje ramy i religijne ukierunkowanie – istniał paradoks polegający na tym, że szanowali go przeciwnicy, nawet ci po stronie „czerwonej”, natomiast rozmaite obiekcje podnosili ci, którzy przynależąc do Kościoła katolickiego, chcieli nim w Polsce grać oraz ustawiać po swojemu różne sprawy, także społeczne i polityczne. Gdy cofniemy się do początku lat pięćdziesiątych XX wieku, czyli okresu stalinowskiego, to kardynał Stefan Wyszyński wycierpiał wtedy wiele z rąk komunistów, ale z tego, co napisał i co mówił, widać, że prześladowcy go szanowali. Podchodzili do niego z należyтым respektem i nie odważyli się wyrządzić mu takiej krzywdy, jaka stawała się udziałem ludzi Kościoła w innych państwach bloku komunistycznego. W okresie przygotowań do obchodów 1000-lecia Chrztu Polski, to jest w okresie tzw. Wielkiej Nowenny, Ksiądz Prymas opracował i wytyczył bardzo klarowny program społeczny, który kontrastował z programem partii i ówczesną ideologią. A chociaż różnych przeciwności nie brakowało, to jednak mimo wszystko mógł nie tylko o tym programie mówić, ale również go skutecznie realizować. Polska bez Wielkiej Nowenny i uroczystych obchodów milenijnych nie byłaby taka, jaką stała się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i to właśnie Prymas Wyszyński odegrał w tym procesie decydującą rolę. Ale zarazem już wtedy dawała o sobie znać zawołowana i otwarta kontestacja. Dochodziła do głosu nie tyle w Polsce, ponieważ tutaj każda kontestacja kardynała Wyszyńskiego była odbierana jako atak na Kościół, lecz dawała o sobie znać np. w Rzymie. Udawały się tam z Polski osoby, występujące pod hasłem troski o Kościół, które próbowały wyrabiać Księdzu Prymasowi złą opinię. W kontekście zachodzących wówczas przemian soborowych przedstawiano go jako konserwatystę, człowieka, który tych zmian nie chce i rzekomo prowadzi własną politykę kościelną. Sugerowano, że należy go pozbawić przywilejów udzielonych przez Piusa XII i Jana XXIII oraz zastąpić nuncjuszem, tak, by papież miał bezpośrednie rozeznanie od kogoś „swojego” na temat sytuacji w Polsce. Ksiądz Prymas bardzo głęboko przeżywał tę kontestację. Nie mówił o niej

głośno, ani nie użalał się nad sobą, doświadczył jednak skutków intryg i działań podejmowanych przeciwko niemu i za jego plecami. Ta podstępna kontestacja trwała również później, gdy na przełomie lat 70-tych i 80-tych zachodziły istotne przemiany społeczne, a może bardziej jeszcze po śmierci Prymasa Tysiąclecia. Kiedy go zabrakło, nie znalazło się zbyt wielu tych, którzy utrwalali jego dorobek, odważnie przypominali jego prawdziwe zamierzenia i osiągnięcia, a także koncepcje społeczne oraz ogromny wkład w utrzymanie ładu moralnego i społecznego w Polsce. Na tym etapie ta niewybredna kontestacja znalazła wyraz przede wszystkim w programowym przemilczaniu osoby i dzieła Prymasa Tysiąclecia. Tamte uwikłania i uwarunkowania w gruncie rzeczy trwają do dzisiaj i z rozmaitym nasileniem wciąż dają o sobie znać.

Po drugie, zakończenie życia i misji kardynała Wyszyńskiego oraz jego śmierć przypadły na okres absolutnie wyjątkowy w całej historii Polski. W październiku 1978 roku Karol Wojtyła został papieżem i nie ma nic szczególnie dziwnego w tym, że oczy wszystkich Polaków skierowały się na Rzym. W centrum życia kościelnego, a także społecznego i politycznego oraz najważniejszych wydarzeń, znalazł się Jan Paweł II. To najzupełniej zrozumiałe. Nie jest natomiast zrozumiałe, że nie została podjęta i rozwinięta, a nawet właściwie uszanowana myśl, którą wypowiedział Jan Paweł II, podczas spotkania z Polakami w tydzień po pamiętnym konklawe. Z racji rozpoczęcia studiów w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie byłem obecny na tej audyencji i dzięki kardynałowi Wyszyńskiemu miałem możliwość być bardzo blisko, bo w drugim rzędzie. Dla nas wszystkich to, co się działo, to był jeden wielki szok. Patrzyłem na twarz Ojca Świętego i twarz Księdza Prymasa. Pamiętam jak ogromne wrażenie wywołały słowa Jana Pawła II: „Czcigodny i Umiłowany Księżu Prymasie. Pozwól, że powiem po prostu, co myślę, Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem”. W tydzień po konklawe Jan Paweł II oddał sprawiedliwość i hołd Prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Od tego dnia należało tę myśl podjąć, rozwijać i powtarzać, bo taka jest prawda. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej papieża-Polaka bez kardynała Stefana Wyszyńskiego! Wszyscy, którzy nie chcą o tym pamiętać, albo przeinaczają tę prawdę, czynią to z określonych pobudek. Ale już wtedy głos Jana Pawła II został zagłuszony, a później powracano do tych zdań, również w Kościele, nader rzadko. Świadomość przygotowania wyboru i pontyfikatu Jana Pawła II przez długie i niezwykle owocne lata biskupiej i prymasowskiej posługi kardynała Wyszyńskiego zesłała na daleki plan, a następnie jakby wypłowiwała.

Po trzecie, a jest to sprawa najbardziej krępująca i najtrudniej o niej mówić, chodzi o pamięć o kardynale Wyszyńskim w Kościele warszawskim i gnieźnieńskim, a także w całym Kościele katolickim. Oddziaływanie Księdza Prymasa, tak długo, jak długo żył oraz w pierwszym okresie pontyfikatu Jana Pawła II, wykraczało daleko poza Polskę. Dam przykład, który dobrze to ilustruje. Gdy w sierpniu 1978 roku jechałem z Paryża do Rzymu, by podjąć studia biblijne i zatrzymywałem się po drodze w różnych miejscach we Francji i Włoszech, egzotyczne dla moich rozmówców było to, że polski ksiądz się tam pojawia, ale dla mnie najbardziej wymowne było, że na słowo *Pologne* lub *Polonia*, reakcja była zawsze jedna – „Wyszynski, Wyszynski”. W każdym miejscu Polska kojarzyła się z Wyszyńskim! Gdy przybyłem do Rzymu i zamieszkałem najpierw w Kolegium św. Karola, w środowisku wyłącznie włoskim – był to czas pontyfikatu Jana Pawła I – Polskę kojarzono tylko z kardynałem Wyszyńskim. Takie były nastroje w zachodniej Europie, a także w Stanach Zjednoczonych – Polska, to Wyszyński. Do wyboru Jana Pawła II to spojrzenie dominowało również w Polsce. Wydaje mi się, że następca Prymasa Tysiąclecia, kardynał Józef Glemp, którego bardzo cenię, nie zrobił wszystkiego, co mógł, by pamięć o jego poprzedniku była prawdziwie żywa. Jest to trudny temat, bo łatwo o nadinterpretację nieprzychylną czy kardynałowi Wyszyńskiemu, czy kardynałowi Glempowi. Jednak jest faktem, że pamięć

o kardynale Stefanie Wyszyńskim w Kościele warszawskim z upływem lat w gruncie rzeczy coraz bardziej płowiała, a tak być nie powinno.

Po czwarte, na krótko przed śmiercią kardynał Wyszyński zebrał wokół siebie prominentnych biskupów polskich i powiedział z naciskiem, że jeżeli w przyszłości będą jakiegokolwiek zmiany, stolica prymasowska musi pozostać w Gnieźnie. I tak się stało. W 1992 r. stolica prymasowska została związana wyłącznie z Gniezmem. Nowy podział administracyjny Kościoła katolickiego w Polsce sprawił, że funkcja i rola prymasa Polski radykalnie się zmieniła. Nowa teraźniejszość nie pozostała bez wpływu na postrzeganie przeszłości.

Po piąte, a wyrażam tu osobistą, lecz przemyślaną opinię, doczekaliśmy się – i to jest wielka radość – dwóch ważnych beatyfikacji i jednej kanonizacji: ks. Jerzego Popiełuszki oraz Jana Pawła II. Obie odbyły się, jak na procedury watykańskie, bardzo szybko. Dla mnie świętość kardynała Stefana Wyszyńskiego nie ulega żadnej wątpliwości. Była to świętość szczególnego rodzaju, naznaczona mądrością, pokorą, odwagą, męstwem i cierpieniem. Lecz sądzę, że zaistniała pewna asymetria. Widziałbym taką kolejność: kardynał Stefan Wyszyński, ksiądz Jerzy Popiełuszko i Jan Paweł II. To jest również najbardziej właściwy klucz do najnowszej historii Polski, który pozwala ją prawidłowo zrozumieć i poprawnie przedstawiać. Myślę, że ponieważ nie doszło do beatyfikacji kardynała Wyszyńskiego, to obecnie przesuwa się ona w czasie, a wraz z tym zaciera się on w pamięci ludzi, zwłaszcza młodych pokoleń.

Romuald Starosielec: Nie wszyscy w Polsce zdają się wiedzieć jak wielka pracowitość cechowała Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Będąc na studiach chciałem odnaleźć jedną z wypowiedzi Prymasa z 1973 roku, którą przytoczono w gazecie bez podania źródła. Udałem się do Instytutu Prymasowskiego, gdzie ku mojemu zdumieniu, przedstawiono mi kilkadziesiąt teczek z jego wypowiedziami i kazaniami, obejmującymi tylko ten jeden rok Jego życia. Utknąłem w czytelni na wiele tygodni, nie odnalazłem interesującego mnie cytatu, lecz odkryłem wielkie bogactwo życia społecznego, religijnego i patriotycznego Księdza Prymasa. Czy nie sądzi Ksiądz Profesor, że mamy jeszcze wiele do odkrycia z dziedzictwa, jakie pozostawił nam Prymas Tysiąclecia?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Działalność Kardynała Stefana Wyszyńskiego wyrastała z jego ogromnego duszpasterskiego zaangażowania. To był duszpasterz w pełnym tego słowa znaczeniu, kochał ludzi i kontakty z ludźmi. Potrafił w ciągu jednego dnia odbywać dwa, trzy, cztery, pięć ważnych spotkań w zupełnie różnych miejscach. Jego działalność była szczególnie intensywna w okresie Wielkiej Nowenny i podczas obchodów 1000-lecia Chrztu Polski. Natomiast, co się tyczy tekstów jego wystąpień, trzeba pamiętać, że Ksiądz Prymas miał do stałej pomocy zaufane osoby z Instytutu Prymasowskiego. Panie, które go wspomagały, nagrywały wszystkie wystąpienia, opracowywały teksty i dawały je do zatwierdzenia, a wtedy stawały się one autoryzowane. Gdy nie starczało czasu, bo wystąpień było więcej niż możliwości sczytania tego, co Ksiądz Prymas powiedział, zapisy pozostały nieautoryzowane, ale wiernie oddają jego słowa oraz to, co się wtedy działo.

Nie jest tak, że cały ten dorobek istnieje tylko w rękopisach. Instytut Prymasowski zadbał o to, że jest sukcesywnie opracowywany i publikowany. Wydane dotąd „Dzieła zebrane”, łącznie 13 obszernych tomów, obejmują teksty wystąpień do 1965 roku. Pozostałe kilkanaście lat pozostaje do opracowania. W grę wchodzi dwa czynniki. Potrzebne są kompetentne osoby, a pań z Instytutu Prymasowskiego, których ambicją jest to, by kolejne tomy ukazywały się jak najszybciej, jest niewiele. Także możliwości wydawnicze są ograniczone, bo tak wielkie przedsięwzięcie wymaga nie tylko dużego nakładu sił, lecz i znacznych środków finansowych. To, co się do tej pory ukazało, jest bardzo cenne i zostało opatrzone dużą liczbą niezbędnych objaśnień. Poznanie i rozpowszechnianie tego materiału jest niezwykle pożytecznym źródłem do poznania najnowszej historii Polski. Przegląd działalności i wystąpień Prymasa Tysiąclecia wnosi wiele bardzo ważnych akcentów i ukazuje jedną z jego cech, a mianowicie – to słowo należy rozumieć poprawnie – jego chrześcijański pacyfizm, który znajduje wyraz w przebaczeniu. Ksiądz Prymas miał za sobą trzy lata przeżyte w czterech miejscach odosobnienia,

gdzie na pewno nie był dobrze traktowany, miał więc za sobą bardzo bolesne doświadczenia, a mimo to nie żywił w sercu żadnych urazów. W jego postawie i nauczaniu nie było śladów martyrologii, skarżenia się ani narzekania, przeciwnie – jest w niej bardzo dużo chrześcijańskiego optymizmu.

Romuald Starosielec: Chciałby w tym momencie zapytać o nauczanie społeczne Księdza Prymasa. Ostatniemu ćwierćwieczu w dziejach Polski towarzyszyły duże zmiany społeczne i ekonomiczne, często bardzo bolesne. Wiemy, że Ksiądz Prymas miał olbrzymie dokonania również na polu myśli społecznej. Zajmował się nią już w okresie swojego wczesnego kapłaństwa i ta problematyka była obecna w jego nauczaniu przez całe jego długie życie. Dlaczego dziś nie sięga się do tej nauki?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Moja osobista ocena nauczania społecznego Kościoła, czy katolickiej nauki społecznej, jest dosyć surowa. Sądzę, że problem polega na tym, iż jej przedstawiciele i rzecznicy nie tyle kształtowali rzeczywistość życia społecznego w Polsce, ile z różnym skutkiem próbowali za nią nadążać. Próbowali doganiać i – rzadziej – odważnie oceniać to, co się stało, natomiast nie wytyczali kierunków ani nie stymulowali tego, jak być powinno. Rzetelna ocena wielu zjawisk, które dotkliwie wpłynęły na życie Polaków, przychodziła z opóźnieniem i zastrzeżeniami, które mogły wywoływać, i rzeczywiście wywoływały, niemałe zamieszanie. Nauczanie kardynała Wyszyńskiego, bardzo wyraziste, było dla tego typu ostrożnej strategii po prostu niewygodne. Trzeba podkreślić, że jego nauczanie społeczne nie zaczęło się z chwilą, gdy został Prymasem Polski, lecz już w okresie przedwojennym.

Ksiądz Prymas został wyświęcony na kapłana mając 23 lata, a więc rok przed tzw. wiekiem kanonicznym. Pochodził z prostej rodziny i zapewne dlatego miał wielkie wyczucie społeczne. Wiem od księży diecezji wrocławskiej, którzy pamiętali księdza Stefana Wyszyńskiego jeszcze z okresu międzywojennego, że przez niektórych był postrzegany jako ksiądz komunizujący. Przed wojną na terenie Wrocławka istniało duże środowisko robotnicze, a na terenie całej diecezji istniało wielkie rozwarstwienie społeczne. Los robotników i chłopów był naprawdę opłakany. Ksiądz Stefan Wyszyński stawał po stronie tych, którym nie tylko współczuł, lecz też wychodził naprzeciw ich potrzebom. A oto jeden, mało znany, szczegół z tamtego okresu. Odbывała się jakaś parafialna uroczystość, zapewne tzw. odpust, podczas której przy stole zbierali się księża, miejscowe zamożniejsze osoby i właściciele ziemscy. Podczas obiadu rozpoczęło się narzekanie na chłopów i robotników, że mają wygórowane roszczenia i nie można im ustępować. Ksiądz Wyszyński powiedział: „Jeżeli im nie ustąpicie, to przyjdzie dzień, że sami upomną się o to, co im się należy”. Reakcją znacznej części zebranych było oburzenie: „Jak ksiądz może być tak lewicowy?” Ten szczegół dobrze oddaje dylematy tamtego czasu, a także sedno poglądów późniejszego prymasa Polski. Zajmował się on także sprawą szkolnictwa i w okresie wojny napisał dzieło, którego tytuł daje wiele do zastanowienia: „Duch pracy ludzkiej”. Ksiądz Wyszyński zajmował się w nim tematem pracy i godności człowieka pracującego. Wytyczał program, który i dzisiaj brzmi bardzo odważnie: „Człowiek nie jest przeznaczony wyłącznie do modlitwy, ale człowiek też nie jest przeznaczony wyłącznie do pracy. Te dwa wymiary trzeba ze sobą umiejętnie łączyć”. Okres powojenny przyniósł radykalne zmiany społeczne, gospodarcze, ekonomiczne i polityczne i trzeba było do tych zmian dostosować również tamto spojrzenie. Rzeczywiście, po wojnie przyszli ci, którzy upomnieli się o swoje, a przy okazji również o to, co im się nie należało. Kardynał Wyszyński musiał doprecyzować swoje poglądy, lecz zawsze stawał po stronie sprawiedliwości. Powtarzał, że sprawiedliwość to oddanie każdemu tego, co mu się słusznie należy. I w tej definicji sprawiedliwości każde słowo jest bardzo ważne. Przenosząc na grunt społeczny nauczanie Ewangelii, własnym życiem i postępowaniem świadczył, że nie ma sprawiedliwości bez miłosierdzia i nie ma miłosierdzia bez przebaczenia.

Romuald Starosielec: Dostrzegamy dzisiaj swego rodzaju dewaluację urzędu prymasa Polski. Znika z naszej świadomości prymas jako *interrex* a przecież jeszcze trzydzieści kilka lat temu tak właśnie Polacy postrzegali

Prymasa Wyszyńskiego. Myślę, że gdyby dzisiaj zrobić sondę uliczną i zapytać przechodniów, kto jest aktualnie prymasem Polski, to wielu by nie znało odpowiedzi. Taka sytuacja w czasach komunistycznych byłaby nie do pomyślenia.

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Zapewne jest to sprawa nie tylko do refleksji historycznej, lecz i do rachunku sumienia. Mamy obecnie nie jednego, lecz trzech prymasów – dwóch prymasów emerytów, czyli Księdza Arcybiskupa Henryka J. Muszyńskiego i Księdza Arcybiskupa Józefa Kowalczyka, oraz prymasa, który pełni swą funkcję – Księdza Arcybiskupa Wojciecha Polaka. Rzeczywiście, gdyby zrobić uliczną ankietę, to w różnych diecezjach odpowiedzi wyglądałyby różnie. W Gnieźnie jest zapewne najwięcej takich, którzy potrafią wymienić wszystkich aktualnych prymasów. Natomiast im dalej od Gniezna, sytuacja staje się coraz trudniejsza. Jednak, zwłaszcza w środowisku osób starszych, gdy mówi się „prymas”, dopowiedzenie brzmi „Wyszyński”.

Romuald Starosielec: Żyjemy jednak w dość burzliwych czasach. Czy nie sądzi Ksiądz Profesor, że głos Kościoła w Polsce powinien być bardziej słyszalny wobec tych problemów społecznych, moralnych i cywilizacyjnych, z jakimi ma dziś do czynienia Polska i Europa?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Od marca 1992 roku, czyli od czasu reformy administracyjnej Kościoła katolickiego w Polsce, funkcja i rola prymasa jest inna niż wcześniej. Zwornikiem, który integruje biskupów i Kościół w Polsce, jest wybierany przez nich przewodniczący Konferencji Episkopatu. Konsekwentnie, sprawy które dotyczą życia Kościoła, koordynuje wybrany na określony czas ów przewodniczący. W tych okolicznościach tytuł prymasa Polski nabrał charakteru historycznego i przypomina tytuł prymasa Belgii, bo tam też on istnieje, czy na Węgrzech. Szanuje się go, wiedząc, że jest to tytuł uwarunkowany historycznie, ale nie ma on urzędowego i normatywnego wpływu na kształt i kierunki życia kościelnego. Druga sprawa jest ogólniejsza i myślę, że poważniejsza. Po śmierci Jana Pawła II Kościół katolicki w Polsce w dużym stopniu wycofał się z wyrazistego udziału w życiu społecznym i politycznym. Nie znaczy to, że w nim w ogóle nie uczestniczy, ale – tak jak społeczna nauka Kościoła – nie zawsze za nim nadąża, a raczej stara się interpretować to, co się już wydarzyło. Jest to uwarunkowanie, które nie pozostaje bez wpływu na recepcję wypowiedzi Kościoła.

Romuald Starosielec: Gdy zmarł Ksiądz Prymas Stefan Wyszyński miałem dwadzieścia dwa lata. Doskonale pamiętam atmosferę tamtego okresu, wielki, niekwestionowany autorytet Prymasa wśród duchowieństwa, odczuwany także przez funkcjonariuszy aparatu komunistycznego. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby w tym czasie wypowiedzi polskich biskupów w jakichkolwiek sprawach mogły być rozbieżne, z czym niejednokrotnie mamy dzisiaj do czynienia. Czy nie sądzi Ksiądz Profesor, że brakuje nam dzisiaj autorytetu na miarę Prymasa Stefana Wyszyńskiego?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – To nie jest tylko kwestia prymasa, bo znowu sprawa jest znacznie głębsza. Po pierwsze nastąpiła erozja autorytetów i dotyczy ona również ludzi Kościoła. Poza Kościołem i w konfrontacji z nim zrobiono bardzo dużo, by obniżyć autorytet duchowieństwa, zarówno wyższego stopnia, jak i zwyczajnych księży. Dzisiaj szacunek wobec kapłana czy biskupa nie jest już taki, jaki był kilkadziesiąt lat temu. Jest to w znacznym stopniu skutek zmasowanej polityki i ideologii, czego nie wolno nie dostrzegać ani lekceważyć. Zjawisko to nadal trwa i, niestety, będzie powodowało coraz bardziej katastrofalne skutki. Po drugie, sytuacja w Polsce, jeżeli chodzi o wypowiedzi hierarchów, odzwierciedla sytuację w całym Kościele. Nie jesteśmy wyspą, w której dwóch czy trzech biskupów, wypowiadając się w jakiejś sprawie, ma różne zdania. Tak dzieje się niemal w całym Kościele. Dokumenty kościelne poddawane są sprzecznym uszczegółowieniom oraz odmiennym, a nawet skrajnie rozbieżnym interpretacjom i dopowiedzeniom. Na ich kanwie mnożą się rozmaite dywagacje, polemiki i kontrowersje. Ta atmosfera przenosi się też na polski grunt. Oczywiście, chcielibyśmy, aby w Polsce i w Kościele istniał autorytet, do którego powagi moglibyśmy się zawsze odwołać.

Do 1978 roku, a nawet dłużej, takim autorytetem był niewątpliwie kardynał Wyszyński, słusznie nazwany Prymasem Tysiąclecia. Do 2005 roku takim autorytetem był na pewno Jan Paweł II. We wszystkich sprawach odwoływano się do papieża, powielając jego poglądy albo przypisując mu swoje zapatrywania, poglądy lub opinie. Ale natychmiast po śmierci Jana Pawła II rozpoczęła się kontestacja jego osoby i nauczania. Również jej korzenie były znacznie głębsze. W książce „Przekroczyć próg nadziei”, Jan Paweł II, odnosząc się do swej pielgrzymki do Polski w 1991 roku, powiedział: „Kiedy podczas ostatnich odwiedzin w Polsce wybrałem jako temat Dekalog oraz przykazanie miłości, wszyscy polscy zwolennicy „programu oświeceniowego” przeczytali mi to za złe. Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*”. To są słowa, które nie zostały na dobre podjęte ani głęboko przemyślane. Dlatego w ciągu ostatniej dekady głos Kościoła nie tylko jest rozmiękczony, ale i słabiej słyszalny.

Po trzecie, od ponad ćwierćwiecza upowszechniają się nowe środki i sposoby komunikowania się, których nigdy nie było. Wśród nich szczególne znaczenie ma Internet, do którego wrzuca się absolutnie wszystko i na każdy temat. Te treści powodują najpierw konsternację, potem zamieszanie, a następnie zniechęcenie i konkluzję, że każdy ma swoją prawdę, bo prawda obiektywna rzekomo nie istnieje. Wskutek tego nawet najbardziej rozsądne wypowiedzi podzielają ten sam los, co niedorzeczności i głupoty szerzone na tej samej internetowej stronie.

Romuald Starosielec: Czy proces beatyfikacyjny Księdza Prymasa Wyszyńskiego przebiega tak, jak byśmy sobie tego życzyli, jak lud wierny by sobie życzył?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Proces beatyfikacji ma to do siebie, że nie jest prowadzony tak otwarcie i publicznie, aby można było nadzorować każdy jego etap. Kilka miesięcy temu dokonano zmiany na stanowisku postulatora tego procesu, co być może ma również swoją drugą stronę. Mocny atak na ks. prof. Tomasza Kaczmarka na łamach „Tygodnika Powszechnego” przypuścił Piotr Litka, po czym sprawa – jak wiele podobnych – ucichła. Nie można wykluczyć, że był to również element gry w celu osłabienia tempa procesu beatyfikacyjnego kardynała Wyszyńskiego. W ubiegłym roku słyszałem, że istnieje realne prawdopodobieństwo, iż beatyfikacja może się odbyć na stulecie odzyskania niepodległości, a może wcześniej. Obecnie nie mówi się o terminie, ale wiele wskazuje na to, że sprawa beatyfikacji zbliża się wreszcie do szczęśliwego i radosnego finału. Pozostała wnikliwa ocena cudu wymaganego do beatyfikacji, ale i ona jest na dobrej drodze.

Romuald Starosielec: Czy dziedzictwo Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego będzie miało wpływ na nasze życie duchowe w przyszłości?

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski – Dlaczego dzisiaj rozmawiamy o kardynale Stefanie Wyszyńskim? Dlatego, że nie rozmawiamy jedynie o przeszłości, próbując zrozumieć to, co się wydarzyło, lecz także o tym, co pozostaje ważne na dziś i na jutro. Prymas Tysiąclecia był z pewnością człowiekiem Kościoła, ale jeszcze bardziej był człowiekiem Boga. Dzisiaj istnieje wielka potrzeba ludzi Boga, którzy umieją odważnie, w świetle wiary chrześcijańskiej i męstwa, jakiego ona potrzebuje, kształtować życie Kościoła i Ojczyzny. Nie nadążać za światem, czy odzwierciedlać to, co się w nim dzieje, lecz kształtować rzeczywistość. Właśnie na tym polega profetyczna funkcja Kościoła. Kardynał Wyszyński był prorokiem w biblijnym tego słowa znaczeniu. Nie dlatego, że zapowiadał przyszłość, ale dlatego, że ją współtworzył. Nie ma żadnej przesady w słowach Jana Pawła II, iż pontyfikat papieża z Polski byłby niemożliwy bez Prymasa Tysiąclecia. Można to samo powiedzieć odnosząc się do przyszłości. Jeżeli Kościół w Polsce i nasz naród ma rzeczywiście wypełnić swoje zadanie, to od strony ludzkiej musi stać na dwóch nogach: jedna to Jan Paweł II, a druga – kardynał Stefan Wyszyński. Dopiero z połączenia wierności dziedzictwu tych dwóch wielkich bohaterów wiary może wyrosnąć coś naprawdę cennego i trwałego.

Romuald Starosielec: Dziękuję Księdzu Profesorowi za rozmowę.

Jacek Kędzierski

Prymas Tysiąclecia wobec reform soborowych

Przystępując do nakreślenia zaledwie szkicu do portretu Sługi Bożego ks. Stefana kardynała Wyszyńskiego określiłem ramy czasowe, w których postrzegam tę postać. Biorę ostatnie dwanaście z trzydziestu trzech lat jego posługi na urzędzie Prymasa Polski, lata Kościoła już współczesnego, posoborowego, który reformy Soboru Watykańskiego II / dalej: *SV II* / zaakceptował i wcielił w życie, co dobrze się składa, lata na początku których już w miarę świadomie zacząłem dostrzegać i postrzegać sprawy religijne. Pomocą źródłową jest książkowy zbiór dokumentów „*Listy Pasterskie Prymasa Polski oraz Episkopatu 1975*” oraz homilie, przemówienia i inne dokumenty opublikowane na portalu internetowym poświęconym postaci Stefana kardynała Wyszyńskiego.

Były to lata oddechu dla Kościoła w Polsce, po latach w których powstawały Prymasowskie „Zapiski wiezienne”, czy też latach utarczek z Gomułą, lata gierkowskiej normalizacji, o których Prymas wyrażał się dość korzystnie: „... *Lepsze czasy nadchodzą...*”.

Wszystko, co można o tamtym Prymasie napisać zmieścić można w siedmiu punktach: ***Bóg-Matka Boża-Kościół-Człowiek-Rodzina-Naród-Ojczyzna-Świat***. Truizmem jest twierdzenie, że ani jedno słowo wypowiedziane przez Niego nie straciło na aktualności. Z tego oceanu myśli, który pozostawiła nam mądrość Prymasa Tysiąclecia wybiorę w pierwszej kolejności przedstawię sprawę stosunku Prymasa Wyszyńskiego do reform Soboru Watykańskiego II, jego udział w tym zgromadzeniu, a wreszcie pełnej akceptacji reform *SV II*.

Wiele słyszy się dziś głosów krytycznych pod adresem reform liturgicznych przeprowadzonych przez *SV II*. Funkcjonują w Kościele osoby fanatycznie przywiązane albo też hołdujące płytkiej *modzie* liturgii mszy św. przedsoborowej, tj. z kapłanem zwróconym tyłem do ludu, odprawianej w niezrozumiałym dla zdecydowanej większości języku łacińskim. Pojawiają się nieodpowiedzialne głosy o konieczności powszechnego przywrócenia starego rytu Mszy św. co nazwałbym jazdą Kościoła na wstecznym biegu. Ci *wsteczni rajdowcy* Kościoła artykułują jednocześnie swoje przywiązanie do nauczania Prymasa Tysiąclecia. Usiłują skontrastować go z innym polskim kardynałem, obecnie świętym Kościoła, wówczas aktywnym uczestnikiem *SV II*. Miał on być ponoć bardziej rewolucyjny, w przeciwieństwie do starszego wiekiem Prymasa, postrzeganego rzekomo jako konserwatysta. Pora przybliżyć im jego słowa w tej kwestii. Kard. Wyszyński akceptował reformy soborowe i nie był antagonistą żadnej z nich.

Prymas wysoko oceniał sam fakt zwołania SV II. Dostrzegał nadprzyrodzony jego charakter. „/.../ Sobór to dzieło wybitnie nadprzyrodzone – samego Ducha Świętego. On będzie działał na biskupów w Bazylice Piotrowej jak ongiś w Wieczerniku na Apostołów. Biskupi bowiem są następcami apostołów, tych którzy na pierwszym Soborze Jerozolimskim postanawiali z mocą wziętą z samego Boga: „Zdało się Duchowi Świętemu i nam...” Jest ścisły związek między Duchem Świętym a Apostołami i ich następcami biskupami – w Kościele Katolickim. Duch Święty który zstąpił na apostołów, zstępuje z nich na następców apostoelskich, na wszystkich biskupów, a przez nich na kapłanów i na wszystkie dzieci rodziny chrystusowej w kościele Bożym. Przelewa się on swoją osobowością miłujący i swoimi darami, które przekazuje nieustannie – jako rosłą poranną i deszcz wieczorny – spragnionym sercom, myślom, wolom dzieci Bożych./.../” -pisał Prymas do wiernych przed wyjazdem na pierwszą sesję SV II w październiku 1962r.

Ta akceptacja wynikała nie tylko z poczucia więzi ze Stolicą Apostolską, z soborowymi papieżami, zarówno ze św. Janem XXIII, jak i z Pawłem VI. Wynikała ona z odczytania i ze zrozumienia potrzeb ludu bożego. W Słowie Pasterskim na XXXII Tydzień Miłosierdzia z 15 sierpnia 1976r. Prymas zawarł rozważania na temat znaczenia liturgii Mszy św. czytamy: „/.../Każde zgromadzenie eucharystyczne ma się stać nie tylko spełnionym obowiązkiem wysłuchania Mszy świętej, nie tylko obrzędem liturgicznym, ale przeszkoleniem zjednoczenia ludzi z Ojcem, przez Syna Bożego, w duchu miłości społecznej, ofiary i służby. Te elementy odsłania wyraziście odnowiona liturgia. Każę ona kapłanowi stanąć twarzą do Ludu Bożego, by widział dzieci nabyte Krwią Chrystusa; każę zespolić ich jak najbliższej ołtarza i uwydatnić wspólnotowość ofiary; każę uczestniczyć w tej Ofierze przez dar ołtarza; każę wynieść ze służby eucharystycznej wolę służenia braciom cierpiącym, chorym, głodnym, samotnym, opuszczonym, aby wszyscy poczuli się jedna owczarnią, idącą do Ojca za jednym Pasterzem./.../”

Z tego samego roku, ze Słowa pasterskiego na Boże Narodzenie pochodzi wyjaśnienie kolejnej liturgicznej zmiany soborowej – odpowiadania Mszy św. w języku ojczystym, z pozostawieniem łaciny jedynie do sporadycznych, szczególnych przypadków. Prymas podkreślał doniosłość wprowadzonych zmian. Mamy tu też wypowiedź podsumowującą tryb wprowadzanych zmian. „/.../ Podobnie jak w dziedzinie teologicznej, w której praca w Polsce jest wielka – jest i w dziedzinie odnowy liturgicznej. Świadomi jej wielkich wartości duszpasterskich weszliśmy na pole tej odnowy z uległością, ale i roztropnością, z poszanowaniem religijnej kultury narodowej i naszej duchowości. Uchroniliśmy się “rewolucji liturgicznej”, prowadząc naszą pracę ewolucyjnie./.../”. Nie były one wprowadzane w pośpiechu, pochopnie, w trybie doraźnym, rewolucyjny ale rozważnie, roztropnie, poprzez pracę ewolucyjną. Co było celem tych ewolucyjnych zmian? Ich celem była lepsza służba Bogu i człowiekowi, by lud boży mógł osiągnąć zbawienie. „/.../A chociaż jesteśmy bardzo przywiązani do kultury łacińskorzymskiej, która żyje w naszej kulturze narodowej, wiemy, że „zbawienie dusz jest najwyższym prawem”. Dlatego w mowie ojczystej modlimy się i wielbimy Boga, nie odchodząc od dorobku kultury łacińskiej. Korzystamy z zachęty Stolicy Apostolskiej, która poleca, by w świątyniach od czasu do czasu odprawiać liturgię po łacinie. Ale też pamiętajmy, że większą

korzyść duchową czerpie Lud Boży z liturgii w mowie ojczystej. /.../Wiemy, jak zróżnicowane są potrzeby religijne wiernych i czuwamy, by każdy otrzymywał strawę Bożą w strawnej dla siebie przyprawie./.../” Ta większa korzyść wynika rzecz jasna ze zrozumienia słów liturgii, czego nie było /poza liturgią słowa/ w przypadku Mszy św. odprawianej po łacinie.

Prymas zwracał uwagę na jeszcze jeden detal różniący polski model wprowadzania liturgicznych reform soborowych od zachodnioeuropejskiego. Było to zachowanie ładu i odgórne kierowanie ewolucyjnymi zmianami, tak by nie dać pola do swawoli. „/.../ W okresie posoborowym wielu ludziom zdawało się, że Kościół nie musi być *acies bene ordinata* – nie musi być w ładzie, odgórnie kierowanym. Rozpoczął się okres samowoli w każdej niemal daedzinie, zwłaszcza liturgicznej i teologicznej. Dziś już wiemy, że doprowadziło to w niektórych krajach do takiego rozkładu, iż niemal trudno tam już dostrzec posłuszeństwo i uległość Kościołowi, Ojcu świętemu, biskupom – a co za tym idzie – Ewangelii i nauce Bożej./.../” W Polsce było inaczej, Kościół w Polsce przeprowadził reformy, a raczej Prymas je przeprowadził twardą ręką, bacząc, by nie wykoślawiony został jego charakter, by zapanował chaos, nieład, samowolka, a w konsekwencji upadek autorytetu i zerwanie więzi z Ojcem świętym.

Symbolem wprowadzania zmian posoborowych przez Kościół w Polsce było poszanowanie tradycji. Kościół, wczuwał się w psychikę człowieka nowoczesnego i upraszczał liturgię, a jednocześnie nie rozstawał się z przeszłością. „/.../Kościół święty w Polsce, wprowadzając odnowę liturgiczną, czuwał nad tym, aby nic nie zniszczyć z bogatej przeszłości kultury religijnej narodu. Nie rozstaliśmy się z przeszłością. Minęły już na Zachodzie zapędy „obrazoburcze” ludzi, którzy zbyt jednostronnie pojęli odnowę liturgii i niszczyli stare zabytkowe ołtarze. My uchroniliśmy się przed tym skutecznie. Zachowaliśmy to, co było cenne, a idąc za wskazaniem Soboru, przybliżyliśmy ołtarze do ludu Bożego. W porę przyszły również ostrzeżenia Stolicy Świętej. Dostrzeżono, co dzieje się na Zachodzie, zwłaszcza we Francji i w Niemczech, gdzie jak ongiś za czasów obrazoburców, modernizując kościoły, zniszczono wielkie dzieła sztuki. Stolica Święta wydała więc specjalną instrukcję, aby nic nie zmieniać w starych, zabytkowych świątyniach, ale budując nowe, urządzić je zgodnie z duchem wskazań Soboru Watykańskiego II./.../”

Odnosząc się pozytywnie do całokształtu reform SV II, za szczególnie istotną Prymas uznał decyzję Pawła VI, podjętą w czasie trwania SV II o ustanowieniu Maryi Matką Kościoła.

Ks. kard. Stefan Wyszyński – Myśli

„Nie oglądajmy się na wszystkie strony. Nie chcemy żywić całego świata, nie chcemy ratować wszystkich. Chcemy patrzeć w ziemię ojczystą, na której wspierając się, patrzemy ku niebu. Chcemy pomagać naszym braciom, żywić polskie dzieci, służyć im i tutaj przede wszystkim wypełniać swoje zadanie – aby nie ulec pokusie „zbawiania świata” kosztem własnej ojczyzny”

* * *

„Naród, w którym rozłożona została rodzina – zanika. Istnieje bowiem biologiczna zależność i więź między rodziną a narodem (...) Naród stanowi ochronę dla rodziny i odwrotnie. W ciężkich czasach bytu narodowego, gdy nie mieliśmy wolności politycznej naród ze wszystkimi swoimi wartościami chronił się w zaciszu i dyskrekcji życia rodzinnego. Pamiętam, jak będąc małym chłopcem uczyłem się w domu historii Polski na 24 obrazkach, które ojciec mój wyciągnął gdzieś z ukrycia. Czytaliśmy tę książkę podczas długich zimowych wieczorów. Jakże wiele z tamtych czasów zapadło mi w duszę do dziś dnia. Naród musi uznać prawa rodziny, a zwłaszcza prawo do jej trwałości. I nic z tego przeciwko temu podejmować nie może, bo szkodziłby sam sobie. Na służbie rodziny musi być cały dorobek narodu – jego język, dzieje, obyczaj i tradycje.”

* * *

„Zły to taternik czy alpinista, który zaczyna wspinaczkę w góry od zrywu i wielkiego wysiłku. Dobry – idzie krok za krokiem, powoli, spokojnie. Możemy się tutaj uczyć jak kierować sobą, rodziną swoją, narodem i państwem. To musi być cierpliwy, spokojny krok za krokiem. Wypadnie niejednego się wyrzec, niejednego sobie odmówić, niejedno w sobie opanować. Trzeba będzie zdobyć się na cierpliwość i umiejętność koordynowania wszystkich swoich porywów. Za tę cenę przeprowadza się spokojnie łódź wśród burzy, aby uratować wszystko, co w niej jest. Wymaga to wiele cierpliwości, spokoju i umiejętności władania sobą. Każdy, kto chce włączyć państwem, narodem, Kościołem czy rodziną musi naprzód nauczyć się włączyć się w władanie sobą.”

* * *

„Naród, który nie wierzy w wielkość i nie chce ludzi wielkich, kończy się. Trzeba wierzyć w swą wielkość i pragnąć jej.”

* * *

„Naród, który walczy o najszlachetniejsze ideały, musi być trzeźwy!”

* * *

„Nie to jest ważne, by krytykować przeszłość, lecz aby swój własny wysiłek włożyć w lepszą przyszłość.”

* * *

„Sztuką jest umierać dla ojczyzny, ale największą sztuką jest dobrze żyć dla niej.”

Dlaczego nie kochamy tych, którzy nas kochają?

W oczekiwaniu na „dobrą zmianę”.

Żyjąc i pracując na emigracji, czasem ma się wrażenie, że Polacy na obczyźnie żyją od święta narodowego do święta, od rocznicy do rocznicy. Jeszcze mamy w pamięci obchody 73 rocznicy Powstania Warszawskiego. Żarliwy dalszy ciąg dyskusji, czy było ono potrzebne i obrazki z życia ostatnich bohaterów tego narodowego aktu. Jednych „dzika prywatyzacja” wyrzuca z zajmowanych mieszkań, innym (stuletnim weteranom) odmawia się pomocy, bo przecież udział w powstaniu to ich prywatna sprawa, ich wybór. O żyjących na emigracji bohaterach walk o najszerzej pojętą wolność Polski, pamiętają tylko najbliżsi przyjaciele. Oficjalni przedstawiciele władz polskich za granicą mają słabszą pamięć, choć tych bohaterów jest już teraz naprawdę garstka. Za rok przypada 100 rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Polonia wniosła w to dzieło znaczący udział. Stawia się pomniki Józefowi Piłsudskiemu, ale bez udziału wybitnych działaczy społecznych i dowódców wojskowych, nie dokonał by tego dzieła. Dwaj wybitni działacze emigracyjni zasługują na to, aby przypomnieć ich udział w kształtowaniu NIEPODLEGŁEJ – Józef Haller i Ignacy Jan Paderewski.

Polonia przyjmuje z wielkim zadowoleniem fakt popularyzacji tematu „naszego Generała i Błękitnej Armii”. Dobrze, że wreszcie, w setną rocznicę powstania Błękitnej Armii, zaczynają się pojawiać albumy, książki i artykuły na ten temat. Może Polacy w końcu dowiedzą się o ogromnym wkładzie Polonii w odbudowę państwa polskiego, który odbywa się do dziś. Dr. Teofil Lachowicz tak pisze o tym wkładzie: **„Jeżeli mówimy o odzyskaniu przez Polskę niepodległości, to koniecznie trzeba wspomnieć o ogromnym wysiłku wychodźstwa polskiego w Ameryce w czasie I wojny światowej, które dostarczyło ponad 20 000 ochotników do Armii Polskiej we Francji, tzw. Błękitnej Armii, dowodzonej przez gen. Józefa Hallera. Żadna inna diaspora na świecie nie zdobyła się na tak niesamowity wysiłek.”** To niezwykle fakt w historii Polski, USA i świata, choć i ta historia ma swoje bolesne strony, o których mało albo wcale się nie mówi. Wokół tej zaprawionej w bojach i najlepiej uzbrojonej formacji, rozgrywało się wiele gier politycznych. Kierując się polską racją stanu i zapobiegając podziałom politycznym pomiędzy obozem Piłsudskiego a obozem narodowym, legenda gen. Hallera została poświęcona. Błękitna Armia została przymusowo rozwiązana, a historia powrotu amerykańskich Polaków do Ameryki nie należy do moralnych sukcesów II Rzeczypospolitej. Pisał o tym New York Times z 23 lipca

1920 oraz Tomasz Zawistowski w „Polskie orły do czapek w latach 1917–1945”: *„Przymusowa, błyskawiczna demobilizacja, przeprowadzona częściowo jeszcze w 1919 roku, a dokończona zaraz po zakończeniu wojny bolszewickiej, a także sposób wywiązania się Rzeczypospolitej ze zobowiązań wobec jej żołnierzy, były gorzkimi doświadczeniami dla weteranów z USA. Na amerykańskich statkach powróciło do Nowego Jorku 12,5 tys. byłych ochotników. Powojenne losy i ówczesna sytuacja ekonomiczna wielu z nich nie były godne pozazdroszczenia.”* Ochotników byłej Błękitnej Armii skoszarowano w obozach przejściowych w oczekiwaniu na amerykańskie statki. Dopiero na ich pokładach okazało się, że byli oni wycieńczeni z powodu małych racji żywnościowych lub ich braku. Część z nich zapadła na tyfus. W USA przez długi okres czasu nie posiadali żadnych świadczeń i środków do życia zwłaszcza inwalidzi wojenni. Wszyscy Polacy z Ameryki dostali tylko medal **„SWOIM ŻOŁNIERZOM Z AMERYKI – OSWOBODZONA POLSKA.”**

Amerykańscy hallerczycy sami zorganizowali Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej i wzajemnie sobie pomagali. Wielkim wsparciem dla nich była dotacja Jana Ignacego Paderewskiego wynosząca 10.000 dolarów. W 1926 była to bardzo okazała suma. Dopiero znacznie później hallerczycy nabyli w USA prawa kombatanckie.

Historia lubi się jednak powtarzać. W marcu 1941 roku do sąsiadującej ze Stanami Zjednoczonymi Kanady, przybyła kolejna polska misja werbunkowa. Misja rekrutacyjna Polskich Sił Zbrojnych w USA i Kanadzie miała miejsce w latach 1941-1942 i została przeprowadzona na zlecenie Wodza Naczelnego, generała Władysława Sikorskiego, po jego wizycie w Ameryce, gdzie był gorąco witany przez środowiska polonijne i na tej podstawie zakładał, że rekrutacja w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych zaowocuje napływem tysięcy ochotników do Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Misja ta zakończyła się fiaskiem. Dlaczego? Polonia amerykańska pamiętała jak się II Rzeczpospolita obeszła z ochotnikami z Ameryki i wyciągnęła wnioski, a obraz chorych i wygłodniałych ochotników Błękitnej Armii z Ameryki długo pozostał w pamięci Polonii.

Polonia była, jest i będzie częścią narodu polskiego, wnoszącą do dziś ogromny potencjał intelektualny i materialny w rozwój suwerennej i wolnej Polski. Polonia zdecydowanie zagłosowała na „dobrą zmianę”. Poparła Donalda Trumpa w historycznych wyborach.

Na konferencji „Polonia a Państwo Polskie”, która odbyła się w listopadzie 2016 w Warszawie Pan Adam Bąk z Fundacji Bąk Family z Nowego Yorku, przedstawił wyliczenia, z których wynika, że Polonia amerykańska wysyła rocznie z USA do Polski średnio 900 milionów dolarów. Nasza Fundacja Pax Polonica potwierdziła ten fakt przedstawiając wiarygodne źródła z World Bank, opracowane przez Migration Policy Institute. Pan Bąk wtedy jako pierwszy zadał pytanie: dlaczego nowo wybrane w demokratycznych wyborach władze nie podejmą współpracy z Polonią? Przedstawiciele Rządu RP jednak zabrakło na tej konferencji. Temat ten podjęła obecna na tej konferencji Pani Poseł Pawłowicz, która w niedawnym wywiadzie dla „W polityce” pt. „Polacy w Ameryce mówią, że dobra zmiana do nich nie dotarła, a polskie władze porzuciły ich na kolejne 4 lata” celnie wypunktowała polonijne problemy, którymi od

lat nikt się nie zajmuje. Mamy za to liczne „odwiedziny” polskich urzędników z rozmaitych instytucji zajmujących się Polonią oczywiście na koszt polskiego podatnika. Nie brakuje też indywidualnych wojaży poszczególnych posłanek i posłów, którzy też „chcą pomagać” Polonii. Robi się więc kolejne selfie, klepie nas po ramieniu i sprawa Polonii jest załatwiona.

Profesor Marek Chodakiewicz w wywiadzie dla prawnicowego portalu „Wolność24.pl” mówi wprost: **„W ambasadzie RP w Waszyngtonie są albo ubecy, albo ich dzieci”**, **„Obecnie w Warszawie i podległych jej placówkach nie ma żadnego planu strategicznego i planu komunikacji, nie mówiąc już o lobbingu na rzecz Polski. Od lat nic się nie zmienia i sprawa Polska, chociażby w Waszyngtonie, nie jest podejmowana, bo „nikt nie lobbuje za naszym krajem”**

Szałę goryczy przelał Max Kolonko w swoim ostatnim felietonie, obarczając całością winy za obecny stan relacji Prezesa Kaczyńskiego – **„Nikt nie współpracuje z Polonią ani jej za nic nie dziękuje”**.

Osobiście nie jesteśmy członkami PiS-u, ani żadnej innej partii w Polsce, ale rozumiemy fakt, że obecna władza jest od 1989 jest rządem najbliższym idei naprawy Rzeczypospolitej.

Z wielkim niepokojem przyjmujemy fakt jej zahamowania. W obecnej sytuacji niezbędne jest konsolidowanie i poszerzanie zwolenników „dobrej zmiany” a nie jej zawężanie. Ma rację Max Kolonko w kwestii: **„potrzeby jasnej i klarownej wizji oraz stworzenia profesjonalnego systemu strategicznej komunikacji”**. Mówią o tym wszyscy analitycy i publicyści.

Jeśli chcemy budować i obronić projekt Trójmorza przed Niemcami i Rosją, nie możemy się dzielić! Musimy się jednoczyć! Jeśli przez partykularne interesy i wybujałe ega liderów prawicy nie będziemy się jednoczyć, przegramy na długo tę historyczną możliwość odbudowania suwerennej i wolnej Polski. Możliwość budowy Międzymorza przy poparciu Stanów Zjednoczonych jest prezentem danym nam przez historię. Musimy także rozumieć fakt, tam nad Wisłą, że Polonia wzięła w tym historycznym momencie aktywny udział głosując na „dobrą zmianę” i Donalda Trumpa. Alienowanie nas i powtarzanie, że jesteśmy niezorganizowani jest poważnym błędem. To państwo komunistyczne i rządy po 1989 rozbijały Polonię przez dekady i ktoś musi wziąć odpowiedzialność za ten fakt.

Polonia powoli zaczyna odbudowywać swoje struktury. Nikt i nic nie powstrzyma tego procesu. W lipcu odbyła się w Konstancinie kolejna konferencja polonijna, gdzie (bez udziału czynników rządowych) nakreślono konkretny program. Udział w niej wzięli przedstawiciele wielu krajów. Tym razem działania te uzyskały poparcie biznesu i niektórych prawniczych mediów, co zwiastuje powodzenie tych działań. Polonia jest patriotyczna, ofiarna, wykształcona i zamożna. Pozostawiamy do odpowiedzi pytanie, może nie całkiem retoryczne, dlaczego Polska nie odwzajemnia uczuć Polonii?

Waldemar Biniecki, *Pax Polonica, Kansas*, Katarzyna Murawska, *Pax Polonica, Wisconsin*, Karolina Zatorska, *Pax Polonica, Kalifornia*, Edward Jeśman, *Pax Polonica, Kalifornia*,

Fundacja Pax Polonica, poszukuje fachowców z zakresu fundraisingu, marketingu, budowania i obsługi platform medialnych oraz ekspertów. Misją Fundacji jest min. budowanie wspólnoty polskiej na emigracji i łączenie jej potencjału z Polakami w kraju oraz promowanie biznesu. email:biniecki@gmail.com

Jan Szałowski

Sierpnie i wrzesnie, i ich długie cienie

Za rok będziemy świętować stulecie odzyskania niepodległości. Czy na pewno mądrze?

O tym kim jesteśmy, a dokładniej, kim nie jesteśmy zdecydowała pierwsza wojna światowa. Zakończyła ona bowiem nie tylko nadmierne optymistyczny czas *fin de siecle*, ale w większym jeszcze wymiarze – sięgający wielu stuleci – chrześcijański etos Europy.

Obawiam się, że za rok we wrzasku rocznicowej radości w niepamięć zupełną pójdzie nasze trwanie przy polskości przed wybuchem wielkiej wojny. Co więcej, także nasze sukcesy na wielu polach, nim europejskie potęgi w 1914 roku zagrały w rosyjską ruletkę, której następstwa trwają do dzisiaj.

Czas do roku 1914 miał swój smak. Dla mieszkańców Galicji sąsiedni Wołyń, czy też leżące za Zbruczem Podole rosyjskie to były obce światy. Do wojny światowej, nikt nie wpadł na pomysł, aby Skała nazywała się Podolską, bo nie było innej Skały, a ta obok Ojcowa leżała w Kongresówce. Gdy nocowałem kiedyś w Ojcowie, to wówczas starsza kobieta opowiadała nam, że przyjeżdżali tam ludzie z Warszawy, ale nigdy z Krakowa. Ci drudzy zaś udawali się do bardziej odległego Zakopanego. Gdy współprowadziłem kiedyś obóz wędrowny, którego szlak wiódł m. in. przez tereny Kujaw i Ziemi Chełmińskiej, to pamiętam, że przemieszczając się autobusem zbliżyliśmy się do dawnej granicy między zaborem pruskim a rosyjskim. Zapytałem siedzącego obok młodzieńca, czy pamięta, że tutaj właśnie przebiegała granica między zaborami. Wiedział, chociaż stwierdził, że już niewiele pamięta. I dodał, że jego babcia opowiadała, że w jej młodości Królewiaczy przechodzili latem granicę i zbierali grzyby w lesie. No proszę. Na grzyby bez paszportu. Czyżby już wtedy obowiązywał układ z Schengen? Wątpliwe. Po prostu, aż do wojny światowej kiepsko granic broniono. Przypomina się też anegdotka zamieszczona przez Lidię Winniczuk w jej wspomnieniach z lat 1905–1927. Otóż rodzina mieszkała w galicyjskich Podwołoczyskach, ale ojciec Lidii często bywał w Wołoczyskach na kartach, śledziku i wódeczce. Gdy wracając mówił, iż było śmiesznie, to oznaczało to niezawodnie, iż znowu wyciąć musiał numer na moście granicznym. Chadzał bowiem na drugą stronę bez dokumentów i nie miał z tym problemów, gdyż oficerowie rosyjscy go znali. Ale żołnierze, niestety, nie. A owa śmieszność polegać miała na tym, że wracając wieczorem do domu, pytany przez żołnierza rosyjskiego na moście, oświadczał, iż wszystko już wyjaśnił oficerowi w budce granicznej, i że jeżeli nie wierzy, to może go zapytać. I o ile

żołnierz próbował to zrobić, to rozbawiony ojciec Lidii już maszerował po moście na stronę austriacką, zupełnie nie przejmując się tym, co robi aktualnie rosyjski żołnierz. Niestety, wkrótce wybuchła wojna światowa, która dała Polsce wolność, ale na zawsze zniknęły stare zwyczaje. Ziemie Pierwszej Rzeczypospolitej pocięte zostały okopami i złane obficie krwią, także polską.

Polska do wojny powszechnej, pomimo granic, była jedna, bo pozostała wspólna elita, wspólna kultura i literatura a także wspólna świadomość, że jesteśmy jednym, chociaż czasowo podzielonym Narodem. Bo istniały pojęcia określające naszą tożsamość. Doskonale rozumiano słowa: Ojczyzna i Obczyzna, swój i obcy. Opuszczenie Ojczyzny, bez wyraźnego powodu, uchodziło za zdradę. Szukanie kariery na obczyźnie nie traktowano jako wyróżnienia. Nawet udanie się w głąb Rosji nie uchodziło za rzecz chwalebna. A przecież pamiętać należy, iż Polacy porobili wielkie kariery – także finansowe – na terenie państw zaborczych a także poza ich granicami. Zyskali sławę i wpisali się w ścisłe grono europejskiej kultury, by tylko wymienić postaci Fryderyka Chopina, czy też Józefa Korzeniowskiego. Ignacy Jan Paderewski, czy też Henryk Sienkiewicz przemierzali świat, by go poznawać i zyskiwać sławę, chociaż nigdy nie oderwali się od Polski. Zawsze do niej wracali, gdyż nie byli kosmopolitami. Znana jest głęboka niechęć Elizy Orzeszkowej do Józefa Korzeniowskiego, gdyż ten nie tylko Polskę opuścił, ale też porzucił język polski, by stać się wielkim pisarzem języka angielskiego. W rzeczywistości nigdy nie przestał być Polakiem, myślał jak Polak – żyjąc w polskich i szlacheckich wartościach – i nie da się zrozumieć jego twórczości o nich zapominając.

Polska się odrodziła mimo wielu lat niewoli, ale sądzę że było to gorzkie odrodzenie, albowiem twórcy niepodległości zdradzili miliony potomków Pierwszej Rzeczypospolitej. Dzisiaj to temat niezwykle niezręczny w rozmowach, ale ta zdrada przecież się dokonała w latach 1919-1921, kiedy z własnej woli zrezygnowano z pasa ziemi na wschodzie, pozostawiając tam wiernych synów Ojczyzny. Ta rezygnacja położyła się krwawym cieniem na naszych losach. Granica wschodnia była naruszana przez sowieckie bandy, co już w 1924 roku zmusiło Drugą Rzeczpospolitą do utworzenia Korpusu Ochrony Pogranicza. Owa wyspecjalizowana formacja policyjno-wojskowa, która liczyła 25 tys. członków, w 1939 roku spłynęła obficie krwią, broniąc bohatercko Polski. Tymczasem, po traktacie ryskim, po stronie sowieckiej – na terenach uznanych za niegodne bycia w granicach odrodzonego państwa – działy się rzeczy straszne. Przez lata ukrywane apokaliptyczne zbrodnie dokonane przez NKWD, doprowadziły do wymordowania 80 lat temu około 111 tys. Polaków. Ich majątek został skonfiskowany, kobiety i dzieci wyrzucone z domów i skazane na poniewierkę a nawet śmierć głodową. Tysiące Polaków, z terenów podarowanych w 1920 roku Leninowi, wywieziono w latach 1937-1938 do Kazachstanu, gdzie wielu z nich nadal przebywa. Także ich potomkowie. A tych jest wielu.

Odrodzona po wojnie powszechnej Rzeczypospolita nie została odpowiednio przygotowana do konfliktu, który miał wybuchnąć w końcu lat trzydziestych. I rzecz nie

polega na tym, iż Polska militarnie nie była odpowiednio potężna, lecz na tym, iż dała się wmanewrować w wojnę światową. Temat niezwykle omijany i powszechnie zmanipulowany. Nawet przez osoby z tytułami naukowymi, które w swoich rozważaniach nie biorą najistotniejszego aspektu, jakim jest zachowanie siły biologicznej Narodu. W tej dziedzinie politycy Drugiej Rzeczypospolitej nie sprawdzili się i to bez względu na opcję polityczną. Przez kilka lat Polska była polem bitewnym dla zwalczających się stron, zaś Polacy byli bici przez wszystkich okupantów. Nagminne jest obliczanie strat w aspekcie tylko tych, którzy zginęli lub zostali zamordowani w czasie działań wojennych i okupacji. Tymczasem straty ludzkie, to także rozproszenie Polaków po świecie, i to nie tylko w czasie samej wojny, ale również w latach późniejszych. A te straty Polska nadal cały czas ponosi. Dlaczego ukrywa się to, iż za Gierka wyjechało do Niemiec blisko milion Polaków, że w okresie represji po zawieszeniu stanu wojennego wypchnięto z Polski niemal drugi milion Polaków, że po wejściu Polski do UE wypchnięto z Polski kolejne dwa miliony Polaków.

Haniebna jest polityka rządów w stosunku do Polaków i obywateli polskich pozostawionych za wschodnią granicą. Od transformacji 1989 roku niewiele zrobiono, by umożliwić Polakom i osobom z polskością związanym repatriację do Państwa Polskiego. Stanowione ustawy były raczej zręczną blokadą, by nikt tutaj nie przyjeżdżał. W efekcie doszło za zadziwiającej ‚repatriacji‘ Polaków ze wschodnich terenów byłego Związku Sowieckiego. Otóż więcej Polaków osiedliło się w Niemczech, Rosji europejskiej i na Białorusi, niż na terenie Rzeczypospolitej. Tak to Polska po transformacji roku 1989 położyła tamę przed powracającymi do Ojczyzny w jej współczesnych państwowych granicach. I zdaje się, że nadal nie widać istotnych zmian w tej dziedzinie.

I wreszcie język, jeden z filarów trwania przy polskości. Co przez ponad ćwierć wieku zrobiło państwo polskie, by w rzeczywisty sposób bronić Polaków na wschodzie przed wynarodowieniem? Czy były to działania racjonalne i konsekwentne, działania przemyślane? Czy też były to działania chaotyczne, a do tego występowało instrumentalne traktowanie Polaków na Białorusi, bez brania pod uwagę konsekwencji takiej polityki. Bardzo to przypomina zdradę przećwiczoną już w latach 1919-1921. W całej tej nieklarownej polityce Karta Polaka stała się niepoważnym dokumentem, serwowanym z ostrożnością dla Polaków a obficie dla tych, którzy nie mieli polskich korzeni. Wystąpiło to w szczególności na Ukrainie. Tymczasem Węgry i Rumunia bez żadnych ograniczeń wydają już od lat normalne paszporty tym, którzy zachowali swoją węgierskość lub też rumuńskość. Strach pomyśleć, jak dzisiaj Stefan Żeromski musiałby opisać te procesy w powieści podobnej do ‚Przedwiośnia‘.

Mam obawy, czy za rok, gdy będziemy hucznie świętować stulecie odzyskania niepodległości, zrobimy to w sposób w pełni uczciwy. I czy jest to możliwe bez dogłębnej oceny wszystkich błędów, które popełniliśmy, bo przecież nie można usprawiedliwiać wszystkich naszych nieszczęść złą wolą sąsiadów bliższych i dalszych a zapominać o własnych

zaniedbaniach, także po roku 1989. I czy czasem nie są nam potrzebne wielkie narodowe rekolekcje, a może i narodowa pokuta, by uczciwie wejść w kolejne stulecie biegnące od roku 1918.

Jan Szałowski – Łodzianin, urodzony 14 lipca 1952 roku w czasie wakacji w Słupsku. Historyk, dziennikarz i niezależny publicysta, przez szereg lat nauczyciel dyplomowany w XXXI LO w Łodzi. Absolwent VI LO w Łodzi i Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. W czerwcu 1977 roku po przedstawieniu pracy *„Śląsk i Łużyce w opinii Polaków w latach 1795 – 1815’* i złożeniu egzaminu magisterskiego, uzyskał dyplom magistra historii. W latach 1987 – 1988 odbył dodatkowe studia podyplomowe w UŁ z zakresu historii. Inicjator i współorganizator realizowanego od 1979 roku cyklu konferencji na UŁ na temat międzynarodowej komunikacji językowej. Autor publikacji z zakresu tejże tematyki. W okresie pracy w XXXI LO m.in. inicjator i w latach 2001 – 2010 organizator wojewódzkich konkursów dla młodzieży szkół średnich i gimnazjalnych *„Wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej’*. Współpracował w przeszłości z dziennikami *„Nowy Świat z Piotrkowskiej’* i *„Świat z Piotrkowskiej’*, zaś obecnie z miesięcznikami *„Aspekt Polski’*, *„Głos Łodzi’* oraz z internetowym miesięcznikiem *„Chrobry Szlak’*. Podróżnik i krajoznawca, miłośnik ziem Polski historycznej. Wcześniej zwiedzał Europę Zachodnią. Od ponad ćwierćwiecza podróżuje głównie na ziemię Drugiej a także Pierwszej Rzeczypospolitej. Autor wykładów, odczytów i prelekcji o różnorodnej tematyce prezentowanych głównie w instytucjach kultury.

Poeta, związany nieformalnie z Grupa Literacką *„Centaur’* w Łodzi. Katolik, konserwatysta, realista, umiarkowany monarchista i krytyk demokracji. Członek wielu stowarzyszeń, m. in. Klubu Konserwatywnego, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, czy też Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Członek oddziału łódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy

Jeżeli Europa nienawidzi siebie

Kard. Joseph Ratzinger, 2004

Optymizm dotyczący zwycięstwa europejskiego żywiołu, który Arnold Toynbee był w stanie jeszcze utrzymywać na początku lat sześćdziesiątych XX wieku, wygląda dziś na dziwnie przestarzały. „Z 28 kultur, które zidentyfikowaliśmy... 18 jest martwych, a dziewięć, z dziesięciu pozostałych – w zasadzie wszystkie z wyjątkiem naszej – pokazują, że już zostały śmiertelnie poranione.” Kto powtórzyłby te słowa dzisiaj? A w zasadzie jaka jest nasza kultura, co z niej pozostało? Czy cywilizacja techniki i handlu, rozprzestrzeniona zwycięsko na cały świat jest rzeczywiście europejską kulturą? Czy raczej nie narodziła się ona w sposób post-europejski, wraz z końcem starożytnych kultur europejskich? Widzę tutaj paradoksalną współbieżność.

Zwycięstwo techno-świeckiego post-europejskiego świata: z upowszechnieniem swojego modelu życia i swojego sposobu myślenia, związał się cały świat, a szczególnie zupełnie nieeuropejskie światy Azji i Afryki. Pozostaje wrażenie, że świat wartości Europy, jej kultury i wiary, na których opiera się jej tożsamość, dobiegł końca i w zasadzie zszedł już ze sceny, gdyż nadeszła teraz godzina wartości innych światów, Ameryki sprzed Kolumba, Islamu, azjatyckiego mistycyzmu.

Europa, dokładnie w tej swojej godzinie maksymalnego sukcesu, zdaje się być opustoszałą wewnątrz, sparaliżowaną w pewnym sensie przez kryzys w swoim układzie krążenia, kryzys, który naraża jej życie na niebezpieczeństwo, szukającą ratunku w przeszczepach, które nie pomagają, lecz niszczą jej tożsamość. Do tego wewnętrznego braku swoich podstawowych sił duchowych przystaje fakt, że – nawet etnicznie – Europa wydaje się zmierzać ku końcowi.

Istnieje zadziwiający brak pragnienia przyszłości. Dzieci, które są przyszłością, postrzegane są jako zagrożenie dla teraźniejszości; Myśli się, że zabierają one coś z naszego życia. Nie są one odczuwane jako nadzieja, lecz raczej jako ograniczanie teraźniejszości. Jesteśmy zmuszeni do dokonywania porównań z Imperium Rzymskim w czasach jego upadku: ciągle jeszcze trwało jako wspaniała historyczna struktura, ale w praktyce było to egzystowanie tych, którzy je rozwiązali, ponieważ nie miało już więcej życiowej energii.

W tym momencie doszliśmy do problemów dnia dzisiejszego. Jeśli chodzi o możliwą przyszłość Europy, istnieją dwie przeciwstawne diagnozy. Z jednej strony jest teza Oswalda Spenglera, który wierzył, że można określić pewien rodzaj prawa naturalnego dla wielkich zwrotów kulturowych: jest moment narodzin, stopniowego wzrostu, rozkwitu kultury, następnie nadejście zmęczenia, starość i śmierć. Spengler upiększa swoją tezę imponują-

co, wraz z dokumentacją zaczerpniętą z historii kultur, w których można spostrzec prawo naturalnej ewolucji.

Głosił on tezę, że Zachód osiągnął już swoją finalną epokę, która prowadzi nieubłaganie do śmierci tego kulturowego kontynentu, mimo wszelkich starań, aby ją oddalić. Teza ta, oznaczona jako biologistyczna, znalazła gorliwych przeciwników, w okresie między I a II wojną światową, szczególnie w kręgach katolickich. Przeciwno niej zareagował także, w uderzający sposób, Arnold Toynbee, z postulatami, które, oczywiście, dzisiaj znajdują mały posłuch. Toynbee podkreśla różnicę między postępowaniem materialno-technicznym z jednej strony, a realnym postępowaniem z drugiej, który on definiuje jako uduchowienie. Przyznaje on, że Zachód – świat zachodni – jest w kryzysie i widzi on przyczynę tego w upadku religii na rzecz ubóstwienia techniki, narodu, militaryzmu. Ostatecznie, dla niego, kryzys oznacza sekularyzm.

Jeżeli znamy przyczyny kryzysu, to wtedy możemy znaleźć sposób jego uleczenia: czynnik religijny musi zostać przywrócony. Jego zdaniem częścią tego jest „dziedzictwo religijne wszystkich kultur, ale zwłaszcza to, co pozostało z zachodniego chrześcijaństwa”. Biologistycznej wizji przeciwstawia on wizję woluntarystyczną, która spoczywa na sile twórczych mniejszości oraz na wyjątkowych indywidualnych osobowościach.

A więc pytanie brzmi: Czy ta diagnoza jest poprawna? A jeśli tak, to czy jest w naszej mocy przywrócenie religijnego znaczenia syntezy pozostałego Chrześcijaństwa i dziedzictwa religijnego ludzkości? W końcu spór pomiędzy Spenglerem i Toynbeem pozostaje otwarty, ponieważ nie możemy przewidzieć przyszłości. Ale niezależnie od tego, musimy zmierzyć się z zadaniem sobie pytania, co może nam zagwarantować przyszłość i co jest w stanie utrzymać przy życiu wewnętrzną tożsamość Europy poprzez wszystkie historyczne metamorfozy. Albo nawet jeszcze prościej, co zapewni, na dzisiaj i na jutro, przekazywanie ludzkiej godności i egzystencję odpowiadającą takiej godności?

W ten sposób stajemy przed pytaniem: Czego potrzeba, aby iść dalej? Czy, w gwałtownych zawieruchach naszego czasu, istnieje tożsamość europejska, która ma przyszłość i w którą możemy się zaangażować całym swoim jestestwem? Nie jestem przygotowany, aby wejść w szczegółową dyskusję na temat przyszłej Konstytucji Europejskiej. Chciałbym jedynie krótko wskazać podstawowe moralne zasady, których, moim zdaniem, nie powinno zabraknąć.

Pierwszą zasadą jest „bezwaryunkowość”, z jaką godność i prawa człowieka muszą być przedstawiane jako wartości, które poprzedzają jakąkolwiek jurysdykcję ze strony państwa. Te podstawowe prawa nie są stworzone przez prawodawcę, ani przyznawane obywatelom, „ale raczej istnieją same w sobie, zawsze mają być przestrzegane przez prawodawcę, zostały mu uprzednio dane jako wartości nadrzędnego porządku.” Ta ważność godności człowieka, poprzedzająca każde działanie i decyzję polityczną, odsyła ostatecznie do Stwórcy: tylko On może ustalić wartości oparte na istocie człowieka, i to takie, które są nienaruszalne. Aby istniały wartości, które nie mogą być przez nikogo manipulowane,

stanowi rzeczywistą i prawdziwą gwarancję naszej wolności i wielkości człowieka. Wiara chrześcijańska widzi w tym tajemnicę Stwórcy i przesłankę dla obrazu Boga, na którego podobieństwo zostaliśmy uczynieni.

Obecnie, prawie nikt w dzisiejszych czasach nie zaprzeczyłby bezpośrednio pierwszeństwu ludzkiej godności i podstawowych praw człowieka nad wszystkimi politycznymi decyzjami: Okropności nazizmu i jego rasistowskie teorie są wciąż zbyt świeże. Ale w konkretnym obszarze tzw. postępu medycyny, istnieją bardzo realne zagrożenia dla tych wartości: czy to pomyślimy o klonowaniu, czy o konserwacji ludzkich płodów dla transplantacji, czy o całej dziedzinie manipulacji genetycznej – nikt nie może ignorować stopniowej erozji ludzkiej godności, która nam tu zagraża. Dodać do tego należy wzrost migracji ludności, nowych form niewolnictwa, handlu ludzkimi organami dla przeszczepów. Dobre cele są zawsze obierane, aby usprawiedliwić to, co jest nie do usprawiedliwienia. W tych dziedzinach istnieje kilka stałych i trwałych zasad w Karcie Praw Podstawowych, z których możemy być zadowoleni, ale kilka spraw zostało ujętych zbyt ogólnikowo. I to właśnie narażamy na niebezpieczeństwo powagę zasady, o której mówimy.

Drugim elementem, w którym pojawia się tożsamość europejska jest małżeństwo i rodzina. Monogamiczne małżeństwo jako podstawowa struktura relacji między mężczyzną a kobietą i, jednocześnie, jako komórka tworząca wspólnotę państwową, wywodzi się z wiary biblijnej. Dało to zarówno Europie Zachodniej, jak i Europie Wschodniej własne szczególne oblicze i własne szczególne człowieczeństwo, i dokładnie dlatego ta forma wierności i wyrzeczenia, przedstawiona tutaj, musiała być w kółko zdobywana, coraz bardziej, z ogromnym wysiłkiem i cierpieniem. Europa nie byłaby dłużej Europą, jeśli ta podstawowa komórka jej struktury społecznej miałyby zniknąć albo zostać zasadniczo zmieniona.

Karta Praw Podstawowych mówi o prawie do małżeństwa, ale nie wyraża żadnej szczególnej ochrony małżeństwa – ani prawnej ani moralnej – ani nie nadaje mu bardziej precyzyjnej definicji. A wszyscy wiemy jak zagrożone są dzisiaj małżeństwo i rodzina – z jednej strony poprzez niszczenie jego nierozzerwalności poprzez łatwiejsze formy rozvodu, z drugiej strony za pomocą nowego i coraz bardziej rozpowszechnionego stylu życia, kohabitacji mężczyzny z kobietą bez prawnej formy małżeństwa.

Silnie kontrastujące z tym wszystkim jest żądanie wspólnego życia pomiędzy homoseksualistami, którzy, paradoksalnie, obecnie domagają się prawnej formy związku o takiej samej wartości jak małżeństwo. Ta tendencja zaznacza odejście od systemu moralnej historii ludzkości, która – nie zważając na wszystkie różnorodne formy prawne małżeństwa – zawsze uznawała, że małżeństwo jest w swojej istocie szczególną komunią mężczyzny i kobiety, która jest otwarta na dzieci, a tym samym na rodzinę.

To nie jest kwestia dyskryminacji, ale raczej pytania kim jest istota ludzka, jako mężczyzna i kobieta i jak wspólnocie mężczyzny i kobiety można nadać formę prawną. Jeśli z jednej strony ich wspólnota jest coraz bardziej odrywana od form prawnych, a z drugiej strony, związek homoseksualny jest postrzegany coraz bardziej jako posiadający taką samą

wartość jak małżeństwo, to jesteśmy przed rozpadem wizerunku człowieka, który może mieć wyłącznie niezwykle poważne konsekwencje.

Mój ostatni punkt dotyka kwestii religijnej. Nie chcę wchodzić w złożone dyskusje ostatnich lat, a skupić się tylko na jednym aspekcie, który jest podstawowy dla wszystkich kultur: szacunek dla tego, co drugi uważa za święte, a w szczególności poszanowanie sacrum w najwyższym tego słowa znaczeniu, dla Boga, dla czegoś, co słusznie możemy przyjmować, że możemy odnaleźć nawet w tym, kto nie jest skłonny wierzyć w Boga. Gdziekolwiek tego szacunku się odmawia, coś podstawowego w społeczeństwie zostaje utracone. W naszym współczesnym społeczeństwie, Dzięki Bogu, ktokolwiek zhańbi wiarę Izraela, jego obraz Boga lub jego wielkie osobowości zostaje ukarany. Kto gardzi Koranem i podstawowymi przekonaniami Islamu zostanie również ukarany. Zamiast tego, w odniesieniu do Chrystusa i tego, co jest święte dla chrześcijan, wolność opinii wydaje się być dobrem najwyższym, a jej ograniczanie wydaje się zagrażać lub nawet niszczyć tolerancję i wolność w ogóle. Wolność opinii jednak, ma znajdować swoją granicę w tym, że nie może ona zniszczyć honoru i godność innych. Nie jest wolnością kłamstwo lub niszczenie praw człowieka.

Zachód ujawnia tutaj nienawiść siebie, co jest dziwne i może być postrzegane jedynie jako patologia; Zachód chwalebnie próbuje otworzyć się, pełen zrozumienia, na zewnętrzne wartości, ale nie kocha już siebie; w swojej własnej historii, widzi obecnie tylko to, co jest godne ubolewania i destrukcyjne, natomiast nie jest już w stanie dostrzec, co jest wielkie i czyste.

Kard. Joseph Ratzinger – 14 maja 2004 roku

Źródło: <http://www.comunioneliberazione.org/articoli/eng/RatzAvv140504.htm>

IF EUROPE HATES ITSELF

The optimism as regards the victory of the European element, which Arnold Toynbee was still able to uphold at the beginning of the sixties, looks strangely outdated today. "Of the 28 cultures we have identified ... 18 are dead and nine out of the ten remaining—in fact all except our own—show that they are already mortally wounded." Who would still repeat these words today? And in general, what is our culture, what's left of it? Is the civilization of technique and commerce spread victoriously throughout the world actually European culture? Or was this not perhaps rather born, in a post-European way, from the end of the ancient European cultures? I see here a paradoxical synchrony.

The victory of the techno-secular post-European world; with the universalization of its model of life and of its way of thinking, is linked throughout the world, but especially in the strictly non-European worlds of Asia and Africa, to the impression that Europe's world of values, its culture and its faith, that on which its identity is based, has reached the end and has actually already left the stage, that now the hour of other worlds' values has arrived, of pre-Colombian America, of Islam, of Asian mysticism.

Europe, precisely in this its hour of maximum success, seems to have become empty inside, paralyzed in a certain sense by a crisis in its circulatory system, a crisis that puts its life at risk, resorting, as it were, to transplants that cannot but eliminate its identity. To this interior failure of its fundamental spiritual powers corresponds the fact that, even ethnically, Europe appears to be on the way out.

There is a strange lack of desire for a future. Children, who are the future, are seen as a threat for the present; the idea is that they take something away from our life. They are not felt as a hope, but rather as a limitation of the present. We are forced to make comparisons with the Roman Empire at the time of its decline: it still worked as a great historical framework, but in practice it was already living off those who would dissolve it, since it had no more vital energy.

With this point we have reached the problems of the present day. As regards the possible future of Europe, there are two opposite diagnoses. On one hand there is the thesis of Oswald Spengler, who believed he could define a kind of natural law for the great cultural expressions: there is a moment of birth, the gradual growth, the flourishing of a culture, then the on-come of weariness, old age and death. Spengler embroiders his thesis impressively, with documentation taken from the history of cultures, in which this law of natural evolution can be discerned.

His thesis was that the West had reached its final epoch, which is moving inexorably towards the death of this cultural continent, despite all efforts to avert it. This thesis, labelled as biologicistic, found ardent opponents in the period between the two world wars, especially in Catholic circles. Arnold Toynbee, too, reacted against it in a striking way, with postulates that, of course, today find little hearing. Toynbee points out the difference between material-technical progress on one hand and real progress on the other, which he defines as spiritualization. He admits that the West—the western world—is in crisis, and he sees the cause for this in the decline from religion to the worship of technique, of nation, of militarism. Ultimately, for him, the crisis means secularism.

If we know the causes of the crisis, then we can find a way to cure it: the religious factor has to be reintroduced. In his view, part of this is “the religious heritage of all cultures, but especially what is left of western Christianity.” He opposes the biologicistic vision with a voluntaristic vision, which rests on the power of creative minorities and on exceptional individual personalities.

So the question is: is this diagnosis correct? And if so, is it within our power to reintroduce the religious moment, in a synthesis of residual Christianity and mankind’s religious heritage? In the end, the question between Spengler and Toynbee remains open, because we cannot see into the future. But independently of that, we must face up to the task of asking ourselves what the future can guarantee us, and what is able to keep alive the interior identity of Europe through all the historical metamorphoses. Or even more simply, what promises, for today and tomorrow, too, to impart human dignity and an existence

that conforms to that dignity?

Thus we are faced with the question: how are things to go ahead? In the violent turbulence of our time, is there a European identity that has a future and for which we can commit ourselves with our whole being? I am not prepared to enter into a detailed discussion on the future European Constitution. I would just like to indicate briefly the fundamental moral elements, which to my mind should not be missing.

The first element is the “unconditionality” with which human dignity and human rights must be presented as values that precede any jurisdiction on the part of the state. These basic rights are not created by the legislator, nor conferred on the citizens, “but rather exist in their own right, are always to be respected by the legislator, are given previously to him as values of a superior order.” This validity of human dignity, previous to every political action and to every political decision, refers back ultimately to the Creator: only He can establish values that are founded on the essence of man and that are intangible. That there be values that cannot be manipulated by anyone is the real, true guarantee of our freedom and of man’s greatness; Christian faith sees in this the mystery of the Creator and of the condition of the image of God that He conferred upon man.

Now, almost no one these days would directly deny the precedence of human dignity and basic human rights over all political decisions; the horrors of Nazism and its racist theories are still too recent. But in the concrete sphere of the so-called progress of medicine there are very real threats to these values: whether we think of cloning, or of the conservation of human foetuses for organ donation, or of the whole field of genetic manipulation—no one can ignore the gradual erosion of human dignity that threatens us here. Added to this are the growth in the traffic of human persons, of new forms of slavery, trafficking in human organs for transplant. Good ends are always adopted in order to justify what is unjustifiable. In these sectors there are some hard and fast rules in the Charter of basic human rights we can be happy with, but on some important points it is still too vague. And it is precisely here that we jeopardize the seriousness of the principle at stake.

The second point in which the European identity appears is marriage and the family. Monogamous marriage, as the basic structure of the relationship between man and woman and, at the same time, as the cell of the formation of the state community, is derived from biblical faith. This has given Western Europe as well as Eastern Europe, its own particular face and its own particular humanity, precisely because the form of fidelity and self-denial set out here had always to be conquered, over and over again, with much effort and suffering. Europe would no longer be Europe if this fundamental cell of its social structure were to disappear or be essentially changed.

The Charter of Fundamental Rights speaks of the right to marriage, but does not express any specific protection for marriage—either juridical or moral—nor give it a more precise definition. And we all know how threatened marriage and the family are at present—on one hand by eroding their indissolubility through easier forms of divorce, and on the other

hand by means of a new and more and more widespread lifestyle, the cohabitation of man and woman without the juridical form of marriage.

In stark contrast to all this is the request for communion of life between homosexuals, who paradoxically now demand a juridical form having the same value as marriage. This tendency marks a departure from the system of mankind's moral history, which, notwithstanding all the diverse juridical forms of marriage, always recognized that marriage is, in its essence, the particular communion of man and woman that is open to children and thus to the family.

This is not a question of discrimination, but rather the question of what the human person is, as man and woman, and of how the togetherness of man and woman can be given a juridical form. If on one hand their togetherness is more and more detached from juridical forms, and on the other hand, homosexual union is seen more and more as having the same value as marriage, then we are before a dissolution of man's image that can have only extremely grave consequences.

My last point is the religious question. I do not want to enter into the complex discussions of recent years, but to focus on only one aspect that is fundamental for all cultures: respect for what the other holds sacred, and in particular respect for the sacred in the highest sense, for God, something that we can legitimately suppose to find even in one who is not disposed to believe in God. Wherever this respect is denied, something essential in a society is lost. In our present-day society, thank God, whoever dishonours the faith of Israel, its image of God or its great personalities, is fined.

Whoever scorns the Koran and the basic convictions of Islam is fined, too. Instead, with regard to Christ and to what is sacred for Christians, freedom of opinion seems to be the supreme good, and to limit this would seem to threaten or even destroy tolerance and freedom in general. Freedom of opinion, though, finds its limit in this, that it cannot destroy the honour and the dignity of the other; it is not freedom to lie or to destroy human rights.

The West reveals here a hatred of itself, which is strange and can be only considered pathological; the West is laudably trying to open itself, full of understanding, to external values, but it no longer loves itself; in its own history, it now sees only what is deplorable and destructive, while it is no longer able to perceive what is great and pure.

By Joseph Ratzinger—May 14, 2004

Source: <http://www.comunioneliberazione.org/articoli/eng/RatzAvv140504.htm>

Stanisław Bielen

O skutkach politycznej poprawności

Polityczna poprawność (*political correctness*) to postawa wymuszona przez panującą w jakimś środowisku społecznym aksjologię występującą w postaci ideologicznej. Na przykładzie fenomenu poprawności politycznej objawia się destrukcyjna i złowroga funkcja ideologii. Na początku broniąca słusznej sprawy, rychło wchodzi w mariaż z kontrolą, narzucając na drodze przymusu mentalnego jeden sposób widzenia i postępowania. Takie ideologizacje – jak uczy doświadczenie historyczne – prowadzą zawsze do katastrof totalitarnych.

Poprawność polityczna pojawiła się na Zachodzie, w liberalnych środowiskach uniwersytetów amerykańskich w latach osiemdziesiątych XX wieku, choć ma bogate antecedencje historyczne. Można przywołać wiele przykładów, począwszy od cesarskich Chin, poprzez Rzeczpospolitą szlachecką, do współczesnych demokracji zachodnich, w których należało raczej pochylać niż krytykować istniejący ustroj społeczny i polityczny. Ci, którzy odważyli się krytykować istniejące porządki, zazwyczaj byli narażeni na oszczerstwa i prześladowania. Ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski, świadom negatywnych skutków wielbienia *liberum veto* jako „żrenicy wolności”, ustanowił Order Zasługi *Sapere auso* (Temu, który ośmielił się być mądrym), aby nagradzać odważnych, gotowych przeciwstawić się błędom ówczesnej poprawności politycznej.

Od dawna wiadano, że język w życiu publicznym spełnia ważne funkcje komunikacyjne, ale także jest narzędziem sterowania ludźmi. Wyrażenia językowe służą do opisu rzeczywistości, ale niosą też interpretacje rozmaitych zjawisk i procesów, narzucając ich pożądaną odbiór. Język istotnie wpływa na sposób myślenia i postrzegania świata przez ludzi, choć nie determinuje całkowicie jego poznania. Informacje polityczne, kreowane przez różne podmioty polityki i media masowe są najważniejszym instrumentem strategii panowania nad społeczeństwem przez każdą władzę, niezależnie od ustrojowych uwarunkowań.

Tłem dla nowoczesnej poprawności politycznej stała się różnorodność kultur i obyczajów w społeczeństwach zachodnich (multikulturalizm), ich bogate doświadczenia z „innością”. Postulat poprawności odnosił się do języka debaty publicznej, aby nie używać w niej określeń o wymowie dyskryminacyjnej czy dyfamacyjnej w stosunku do osób o odmiennych cechach rasowych, kulturowych czy obyczajowych. Dlatego zrodził się język pełen eufemizmów. Miał on prowadzić do „cywilizowania” debaty publicznej na tematy drażliwe

i kontrowersyjne. Chodziło też o to, aby poprzez świadomą regulację dyskursu obniżyć poziom uprzedzeń i dyskryminacji wobec grup mniejszościowych i ich przedstawicieli. U podstaw zjawiska leży zatem chwalebna ochrona takich wartości, jak godność ludzka, przysługująca każdemu, niezależnie od pochodzenia, rasy, płci, orientacji seksualnej czy wyznania. Jednocześnie poprawność polityczna służy porządkowaniu skomplikowanego świata, nadaje życiu zbiorowemu jakiś sens, ustala priorytety i preferencje. Stawia tamę takim niebezpiecznym zjawiskom, jak seksizm, rasizm, ksenofobia, antysemityzm czy wszelkiego rodzaju fundamentalizmy. Oczywiście skuteczność tego tamowania zależy od preferencji ideowych konkretnej władzy politycznej.

Każda władza posługuje się osobliwym żargonem, swoistą nowomową, co łączy się z dążeniem do zespolenia jak największych odłamów społeczeństwa wokół haseł nośnych pod względem symbolicznym i treściowym. W istocie chodzi o skuteczne sterowanie zachowaniami ludzi. Służy temu propaganda polityczna, mająca na celu pozyskanie dla idei czy doktryny jak największej liczby zwolenników. Oznacza ona wywieranie wpływu poprzez manipulację symbolami, zręczne posługiwanie się obrazami i sloganami. Propagandzie towarzyszy często indoktrynacja, zmierzająca do przekonania kogoś do określonego systemu poglądów, zwłaszcza do pewnego systemu wartości. Uniformizacji poglądów i postaw sprzyja wreszcie reklama, która dostarcza informacji o jakichś koncepcjach, produktach czy usługach, wywołując u odbiorcy przychylność i akceptację. Wiąże się to z określonymi następstwami w postaci zachowań rynkowych.

Jak wiele postulatów, poprawność polityczna z pozytywnej normy językowej przekształciła się w swoje przeciwieństwo. Na jej podstawie zaczęto bowiem tworzyć restrykcyjne „kodeksy” postępowania w odniesieniu do wielu zjawisk społecznych i wygłaszanych na ich temat poglądów. Zaczęła nasilać się presja na ujednoczenie postaw i myśli, co oznacza nic innego jak promowanie konformizmu ideowego. Monopolizacja tego, co słuszne i właściwe przez ośrodki władzy oraz służebne wobec nich media masowe prowadzi do powstania sytuacji, kiedy wolność dyskusji w praktyce zostaje ograniczona. Polityczna poprawność narzuca, o czym wolno, a o czym nie wolno myśleć i mówić. Pojawiają się strefy zakazane, o których nie można inaczej mówić, jak tylko zgodnie z obowiązującą, oficjalnie zadekretowaną wykładnią. Paradoks polega na tym, że poglądy niszowe, a więc mniejszościowe wcale nie są chronione przez poprawnościową ideologię, hołdującą wszak mniejszościom i odmiennościom. Sprzeciw wobec „prawd objawionych” oznacza wchodzenie w konflikt z władzą, która zazdrośnie strzeże swojego wpływu na umysły poddanych. Inaczej myślący, albo myślący „niepoprawnie” są uznawani za źródło zagrożeń, które trzeba ograniczać. Otwiera to drogę do rozmaitych nadużyć, które z oficjalnie głoszonymi hasłami o wolności słowa i wypowiedzi mają niewiele wspólnego. Poprawność polityczna przybiera formę kontroli społecznego dyskursu, której metody kojarzą się raczej z cenzurą i anatema. Poza tym politycznie niepoprawni są skazani na marginalizację, jeśli chodzi o możliwości budowania kariery zawodowej bądź politycznej. Awansować na stanowiska kontrolowane przez

politycznie poprawnych mogą jedynie ci, którzy zasługują na „towarzystwo elit”, wiedzące najlepiej, co słuszne, a co niesłuszne, co dobre dla Rzeczypospolitej, a co szkodliwe. W rezultacie poprawność polityczna stała się narzędziem wymuszania lojalności ideowej i selekcji pozamerytorycznej podczas rekrutowania członków elit politycznych. Takie praktyki uczą konformizmu i przypominają najgorsze czasy z poprzedniego ustroju, kiedy monopol partii komunistycznej prowadził do absurdów w polityce kadrowej państwa.

Poprawność polityczna zasługuje także na krytykę z innego powodu. Prowadzi bowiem do pewnej schizofrenii społecznej i fałszowania rzeczywistości. Ci, którzy zasługują na ochronę, nie mogą być przecież wyłączeni spod krytyki, którą poprawność jako narzucana norma społeczna wyraźnie ogranicza, czy wręcz blokuje. W życiu społecznym nie da się w odniesieniu do ludzi i ich spraw uniknąć określeń wartościujących, w tym także o negatywnym czy pejoratywnym wydźwięku. Poprawność polityczna nie może więc narzucać przemilczania spraw niewygodnych. Regulacje prawne w państwie demokratycznym nie powinny polegać na rozdawaniu przywilejów, lecz na gwarantowaniu równych praw.

Poprawność polityczna ma niewiele wspólnego z tradycyjną moralnością. Nie odnosi się ani do kategorii dobra czy zła, ani nie jest w stanie definiować tego, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Przeciwnie, wiele tradycyjnych wartości moralnych ulega pod jej wpływem relatywizacji. Zacierają się granice między prawdą a kłamstwem, czy pięknem a brzydotą. Redukuje ona wrażliwość reakcji na przekraczanie społecznie usankcjonowanych norm, związanych z poczuciem wstydu czy winy. Toleruje postawy, które z moralnego punktu widzenia nie zasługują na szacunek. Eliminuje tradycyjne instrumenty społecznej regulacji, takie jak potępienie i napiętnowanie. Dochodzi z jednej strony do „indywidualizacji” moralności, a z drugiej – do jej swoistej „demokratyzacji”. Każdy ma prawo do własnego dobra i własnej prawdy. Źródłem wartości moralnych staje się głos poszczególnych obywateli i ich zbiorowa opinia, tak jakby można ją było oprzeć na werdykcie wyborczym. Ścisłej jednak rzecz ujmując, to raczej interesy różnych uczestników życia zbiorowego determinują postawy oparte na „prawidłowych” zachowaniach i „prawomyślnych” poglądach. Jednostki krnąbrne, sceptyczne i niezależne są skazane na przymus milczenia. Są ograniczane w swoich możliwościach ekspresji czy to w środowiskach zawodowych, czy medialnych. W tym sensie poprawność polityczna staje się kagańcem dla wolności i tolerancji. Wykracza bowiem przeciwko wolności słowa i wyrażaniu własnych przekonań.

Zgodnie z kanonem poprawnościowym, z przestrzeni publicznej eliminuje się tematy drażliwe, kontrowersyjne czy wręcz niebezpieczne, co często jest warunkowane interesami konkretnych środowisk (np. reprivatyzacja majątków, kolaboracja w czasie wojny, stosunki polsko-żydowskie, finansowanie kościołów przez państwo i in.). Jak wiadomo, w stosunkach międzynarodowych toczy się ostra walka o wpływy, działają rozmaite organizacje lobbingowe, w tym agenci państw obcych, co w sposób naturalny zaciemnia obraz tego, kto naprawdę kształtuje zbiorowy osąd polityczny na różne tematy, ową tajemniczą opinię publiczną. Bo to, że kształtuje ją mniejszość, nie ulega wątpliwości. Są to najczę-

ściej wpływowe środowiska intelektualne, skupione wokół koncernów medialnych, kół biznesowych czy ośrodków kultu religijnego. To w nich wyrastają współczesne autorytety, które pretendują do ról „arbitrów elegancji” politycznej. Ci „politycznie poprawni” dyktują arbitralnie „estetyczne kody”, określając, co jest w złym, a co w dobrym guście, co wypada, a czego nie wypada czynić. Potrafią oni w wyrafinowany sposób uzasadniać i uznawać za uprawnione, za „jedynie słuszne” nawet najbardziej nonsensowne poglądy i postawy, szkodliwe dla interesu wspólnoty narodowej. Przy użyciu rozmaitych środków społecznej komunikacji ich opinia przejmowana jest często bezrefleksyjnie i bezkrytycznie przez większość społeczeństwa. Nawet gdy stoi ona w sprzeczności z własnym interesem. Epatowanie poprawnościowymi frazesami poprzez propagandę i indoktrynację przynosi pożądane rezultaty, jeśli chodzi o uległość społeczeństwa. Ludzie tracą poczucie własnych kryteriów oceny sytuacji, przyjmują to, co im się wmawia, że jest najlepsze z możliwych. Mamy więc do czynienia z osobliwą kapitulacją społeczeństwa wobec narzucanych odgórnie „prawd objawionych”. Wielu ludzi czyni to z powodu wygodnictwa, konformizmu, ale także z powodu zwyczajnej beźmyślności. Przy tym – co gorsza – postępuje infantylizacja wielu środowisk opiniotwórczych i populistyczna degeneracja elit politycznych. Lekceważący stosunek do faktów, skłonność do zastępowania wiedzy chciejstwem i wiarą, roszczeniowość wynikająca z braku samodzielności i odpowiedzialności – to tylko niektóre przejawy kryzysu spowodowanego kultem poprawności politycznej.

Poprawność polityczna wpływa na kształtowanie się specyficznej „kultury solidarności”, która postuluje włączanie i integrowanie w obrębie wspólnoty narodowej wszystkich, także tych, którzy stanowią źródło zagrożeń dla solidaryzujących się z nimi. Postulat Unii Europejskiej, aby przyjmować uchodźców za wszelką cenę pokazuje, jak można utracić nie tylko zdrowy rozsądek, ale i intelektualne zdolności rozpoznawania zagrożeń. Krytyka wobec sprzeciwiających się automatyzmowi i bezwarunkowości w integrowaniu przybyszów stała się obecnie narzędziem presji Unii Europejskiej i poszczególnych rządów, które straciły racjonalną orientację w tej skomplikowanej materii. Takie postawy kojarzą się z osobliwym masochizmem kulturowym, utratą instynktu samozachowawczego, czy wręcz nawoływaniem do kulturowego samobójstwa. Jednocześnie zgodnie z poprawnością polityczną nie wolno nazywać po imieniu tych wszystkich sprawców zła, którzy przyczynili się do rozbitcia całkiem stabilnych państw w regionach, skąd płyną do Europy fale uchodźców.

Przykład z przyjmowaniem uchodźców i zwykłych migrantów jest tylko jednym z wielu, który stanowi przedmiot debat politycznych. Są także inne problemy, na przykład „banderyzacja” Ukrainy, którą jednakowo lekceważą siły rządowe i opozycyjne, uprawiając swoistą schizofrenię, bo przecież wszystkim w Polsce wiadomo, że apologetyzacja OUN i UPA na Ukrainie nie jest zgodna ani z polskim interesem narodowym, ani polską pamięcią historyczną. Narzucona powszechnie i zadekretowana oficjalnie narracja antyrosyjska także nie znajduje w Polsce większego sprzeciwu, gdyż obecnie bardziej oplaca się być antyrosyjskim niż narażać się ludziom *establishmentu* i *mainstreamu* swoją niezależnością

myślenia. A przecież nie wszyscy Polacy są rusofobami. Przy okazji trwa festiwal nienawiści w mediach masowych, w umysłach ludzi podsycą się resentymenty, stereotypy i uprzedzenia. Wszystko to nie sprzyja ani budowaniu odwagi cywilnej, ani kreatywności intelektualnej. Przeciwnie, prowadzi do duchowego paraliżu, miałkości intelektualnej i niekompetencji. Instrumentalizacja nastrojów społecznych i poprawnościowych ideologii, związanych z polityką historyczną, prędzej czy później doprowadzi Polaków w ślepy zaułek, z którego trudno będzie wyjść bez społecznych kosztów i kolizji.

Poprawność polityczna ma też negatywne skutki edukacyjne i wychowawcze. W szkolnictwie dąży się obecnie do tworzenia jednolitej masy ludzi o tym samym sposobie myślenia. Likwidacja elitarności studiów uniwersyteckich i zastąpienie rekrutacji opartej na egzaminach wstępnych masowym naborem chętnych spowodowała zawalenie się dotychczasowego etosu akademickiego. Gloryfikacja przeciętności oznacza obniżanie standardów, „wyrównywanie” poziomów, formalizowanie ocen nieoddających rzeczywistych rezultatów nauczania. Takie praktyki nie mają nic wspólnego z kształtowaniem nowoczesnego społeczeństwa i jego elit. Raczej cofają je w rozwoju. Każda zbiorowość ludzka ma charakter pluralny i tak samo, jak ważna jest jej jedność co do pryncypiów i celów, tak samo ważna jest różnorodność dróg i sposobów ich osiągnięcia. Także poddawanie kolejny już raz w Polsce programów nauczania ideologizacji związanej z aktualnie panującą doktryną polityczną jest procesem szkodliwym. Tak rozumiana poprawność polityczna – jak ktoś słusznie zauważył – jest współczesną formą kulturerii i myślenia prowincjonalnego.

Poprawność polityczna ogranicza możliwości poszukiwania tego, co autentyczne i oryginalne w każdej kulturze, a także ze względu na swój kontrolny charakter hamuje swobodę badań naukowych. Zwłaszcza w dziedzinie humanistyki i nauk społecznych widać wyraźnie, że badacze nie są w stanie zademonstrować swojej odwagi i czujnej odporności na kolejne projekty polityczne, prowadzące do uszczęśliwiania ludzkości. Okazuje się, że w państwie demokratycznym ludzie wolni najczęściej powtarzają cudze myśli. „Pozostawanie sceptykiem z pewnością wymaga męstwa, lecz jeszcze większej odwagi potrzeba, aby wejrzeć w siebie, przeciwstawić się samemu sobie i zaakceptować własne ograniczenia – naukowcy coraz częściej przedstawiają dowody na to, że matka natura wyposażyla nas w skłonność do oszukiwania samych siebie”¹. Do rzadkości należy myślenie odrębne, samodzielne, niezależne od dominujących w danej zbiorowości opinii i sądów. W Polsce brak jest naprawdę niezależnych ośrodków analitycznych, które mogłyby opracowywać alternatywne do rządowych scenariusze rozwoju państwa, programy naprawy różnych sfer życia publicznego, projekty reform ustrojowych (w tym legislacyjnych). Zwłaszcza obecnie ten brak jest szczególnie dotkliwy, gdy w kontekście zapowiadanych reform ustrojowych ważą się losy najważniejszych instytucji w państwie, łącznie z konstytucją.

¹ Nassim Nicholas Taleb, *Zwiedzeni przez losowość. Tajemnicza rola przypadku w życiu i w rynkowej grze*, tłum. Michał Lipa, KURHAUS, Warszawa 2016, s. 18.

Problem poprawności politycznej odnosi się w dzisiejszych czasach nie tylko do jednostek i grup społecznych, ale i do samych państw. Można powiedzieć, że fenomen poprawności politycznej ulega internacjonalizacji. Zachowania rządów są często przedmiotem krytycznej oceny, a także upomnień innych państw i związków integracyjnych. Ostatnie lata pokazały, że do takich osądów pretenduje przede wszystkim Unia Europejska, której gremia kierownicze (Rada, Komisja, Parlament) podejmują debaty nad zmianami ustrojowymi w wybranych państwach członkowskich, z punktu widzenia narzucanej odgórnie z Brukseli „poprawności” ładu demokratycznego. Państwa w ramach swoich suwerennych kompetencji mają wszak niczym nieograniczone prawo do kształtowania swojego wizerunku w stosunkach międzynarodowych. Prezentując zagranicznym odbiorcom swoje sprawy wewnętrzne czynią to według uznawanej przez siebie aksjologii. Można zatem uznać za zjawisko normalne, że każde państwo przedstawia swój ustrój i system rządzenia jako najbardziej odpowiedni, że dokonujące się zmiany wewnętrzne naświetla przede wszystkim od strony swoich potrzeb i interesów. Każde państwo ma też suwerenne prawo do odpierania propagandy nieprzyjaznej, oznaczającej nieraz ingerencję w jego sprawy wewnętrzne. Rodzi to podstawy polemik międzynarodowych, a nawet stosowania środków odwetowych w postaci gróźb i kar.

Z przedstawionej analizy wynika, że poprawność polityczna jest kontrproduktywna. Uniemożliwia otwartą dyskusję i rozwiązywanie rzeczywistych problemów. Jej ocena jednak budzi emocje i zależy od wyznawanych poglądów politycznych. Ludzie o poglądach lewicowych dostrzegają ogrom korzyści i poprawę jakości życia milionów ludzi na świecie dzięki tej filozofii myślenia, mówienia i działania. Z kolei wyznawcy poglądów prawicowych też mają swoje racje, wskazując na liczne zagrożenia płynące z uległości i konformizacji życia społecznego. Poprawność polityczna zabija oryginalność, deformuje tożsamość i trzeźwe myślenie, ogranicza swobodę intelektualną, kłóci się ze zdrowym rozsądkiem i prowadzi do karykaturalizacji języka debaty publicznej. W efekcie można stwierdzić, że lansowanie jedynie słusznych poglądów i piętnowanie innych zawsze prowadzi do kryzysu w stosunkach społecznych.

Warto jednak pamiętać, nawet gdy poddamy krytycznej dekonstrukcji założenia filozofii poprawnościowej, że dobre obyczaje, dobre wychowanie i kultura osobista zawsze były i pozostaną najważniejszym oparciem w komunikacji międzyludzkiej, której nadrzędnym celem jest skuteczne porozumiewanie się. Ideałem byłoby stosowanie reguły Woltera: „nie zgadzam się z tobą, ale zawsze będę bronił twojego prawa do posiadania własnego zdania”. Nie starajmy się cenzurować cudzych poglądów. Chciejmy jedynie, aby były wyrażane bez jadu, nienawiści i obraźliwych epitetów.

Dr hab. Wojciech Turek

Przyczyny i skutki współczesnego kryzysu Europy

Niedawno pisałem na łamach „Polityki Polskiej” (nr 3/2017), że Europa – wskutek wewnętrznej dezintegracji oraz problemu z napływem masowej imigracji – obecnie nie odgrywa ważnej roli w polityce światowej, w której na pierwszym planie toczy się amerykańsko-chińska rywalizacja o wpływy. Warto poświęcić więcej czasu na przeanalizowanie sytuacji państw europejskich w tym szerszym kontekście.

Najnowsze dzieje Europy dowodzą, że wskutek niezajomości historii i mechanizmów poruszających sprężynami wielkiej polityki, występuje tendencja do powtarzania dawnych błędów a także dominuje ignorancja w zakresie stosowania odpowiednich recept, adekwatnych do pojawiających się wyzwań. Pierwsza i druga wojna światowa, będące w istocie wielkimi wojnami europejskimi, doprowadziły do zdegradowania tychże państw i wysunięcia się najpierw Stanów Zjednoczonych, a następnie również Związku Radzieckiego na pozycje mocarstw dominujących w skali całego globu. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wydawało się, że elity w państwach europejskich wyciągnęły prawidłowe wnioski z przeżytej, bardzo bolesnej a nawet tragicznej lekcji. Zaczęła się stopniowa, mozolna odbudowa zniszczonego potencjału. W Europie zachodniej świadomie dążono do scalenia skonfliktowanych w przeszłości państw europejskich w trwały związek oparty na wspólnych interesach i wartościach. Wprawdzie pojawiały się tendencje zdecydowanie antynarodowe (federalistyczne), jednak postawa i polityka Charlesa de Gaulle’a we Francji, wspierane przez Franza Josefa Straussa w Niemczech Zachodnich, zaowocowały kompromisową syntezą czynników lokalnych z uniwersalnymi, w postaci koncepcji budowy „Europy Ojczyzn”. Ostatnim akordem procesu jednoczenia się Europy suwerennych państw narodowych na gruncie wspólnego dziedzictwa i wspólnej kultury (w domyśle: chrześcijańskiej) był upadek „żelaznej kurtyny” i włączenie większości państw Europy wschodniej w skład Unii Europejskiej.

Niestety, pod koniec XX wieku, w miarę upływu czasu, lekcja historii ulegała zapomnieniu. Objęcie steru władzy przez pokolenie powojenne, określane niekiedy jako pokolenie roku .68 w znaczącym stopniu przyczyniło się do rozpowszechnienia stanu zbiorowej amnezji. Zakwestionowany został dotychczasowy, kompromisowy, metapolityczny *status quo*. Zachodzące, bardzo istotne zmiany miały w istocie charakter rewolucyjny, jakkolwiek nie polegały na jednorazowym, gwałtownym przewrocie, natomiast były (i nadal są) stop-

niowo realizowane. Upraszczając, można stwierdzić, że dotychczasowa i obowiązująca od stuleci koncepcja nadrzędnych i swoistych praw narodowych, została odrzucona na korzyść uniwersalnych „praw człowieka”, zaś unikalna struktura „Europy Ojczyzn” zastąpiona ujednoliconą koncepcją „społeczeństwa otwartego”, wyrażającą się w postaci tworzonych odgórnie „Stanów Zjednoczonych Europy”. Nie powinno dziwić, że gruntownie przemodelowana Unia Europejska, stanowi jedynie fragment konstrukcji globalistycznej, którą za dr. Michałem Kuziem można określić jako opcję stawiającą na: „duży kapitał, wolny handel, liberalną emancypację, multikulturalizm, osłabienie roli państwa narodowego, wzmocnienie roli międzynarodowych instytucji i promocję tzw. elastyczności jako trybu życia.” (M. Kuź, *Wielki powrót polityki*, „Rzeczpospolita”, [magazyn] „Plus-minus”, nr 16, 22-23 IV 2017). Jest oczywiste, że w takiej konstelacji, narody i państwa Europy nie będą odgrywały podmiotowej roli.

W rezultacie odchodzenia od fundamentów aksjologicznych i braku refleksji nad własną przeszłością, państwa europejskie wkroczyły na bezdroża najeżone wzrastającymi problemami i przeszkodami. Uruchomiony został żywiołowy proces wewnętrznej dezintegracji – dzisiaj już prawdopodobnie niemożliwy do opanowania bez zastosowania drastycznych metod. Obok – w jakimś stopniu naturalnego i nieuchronnego – rozpadu społeczeństwa tradycyjnego ukształtowanego w okresie dominacji struktur agrarnych, w Europie zachodniej wystąpił nasilający się i pogłębiający proces dezintegracji społeczeństw, spowodowany odrzuceniem dotychczasowego porządku aksjologicznego i odgórnym wprowadzeniem nowego, opartego na – pozbawionym racjonalnego uzasadnienia – uniwersalistycznym liberalizmie. W tym miejscu warto wspomnieć, że rządzące Europą elity obecnie usiłują odgórnie narzucić Polsce i Węgrom ten nowy „porządek”.

Problem napływu z Azji i Afryki do Europy milionów imigrantów, wpisuje się w powyższy scenariusz, niezależnie od tego, czy uzasadniona jest teoria głosząca, że masowa imigracja stanowi rezultat planowych działań. Wydaje się bezdyskusyjne, że podjęta w ostatnich latach próba dokonania rewolucyjnych zmian – przemiany autorytarnych państw w islamskiej Afryce Północnej w państwa hołdujące ideologii demo-liberalnej – musiała wywołać w tym regionie chaos wewnętrzny. W rezultacie tego przedłużającego się stanu chaosu uległa likwidacji naturalna i skuteczna zaporę chroniąca dotychczas Europę przed niekontrolowanym napływem imigrantów. Podobny efekt musiało również spowodować wsparcie przez demoliberalne elity opozycji walczącej z prezydentem Syrii al-Asadem. Jak widać, promocja doktryny demoliberalnej i imperialnych interesów była w obu przypadkach ważniejsza od stabilizacji całego kontynentu. **W świetle powyższego, nie opozycyjne ruchy antysystemowe, ale rządzące Europą elity należałoby uznać za „oszołomione” i stwarzające zagrożenie społeczne.** Trzeba jednocześnie wyraźnie podkreślić, że masowa imigracja trafiła na podatny grunt, ponieważ państwa Europy zachodniej od dziesięcioleci prowadziły politykę „otwartych drzwi” wobec napływu imigrantów z innych kontynentów. Nie ma większego znaczenia, czy była to polityka świadomie

zmierzająca do przekształcenia spoistych społeczeństw narodowych w amalgamatowe społeczeństwo multikulturalne, czy też działanie wypływające z innych przesłanek (np. chronicznego niedoboru siły roboczej). Istotny jest skutek w postaci pogłębiającej się dezintegracji wewnętrznej Europy.

Warto uzmysłowić sobie, że gwałtowny napływ imigrantów od 2014 roku jedynie przyspieszył proces przemian demograficznych w Europie, dokonujących się od wielu lat. Doświadczenie historyczne (*vide* ustalenia Ernesta Gellnera, *Nations and Nationalism*, Itchaca 1983) pokazuje, że w sytuacji, gdy niezintegrowane mniejszości osiągną pułap co najmniej 10 procent ogółu populacji, nieuchronnie pojawia się (zaostrza) konflikt społeczny. Z takim problemem mieliśmy do czynienia w Polsce w okresie międzywojennym w odniesieniu do stosunków polsko-żydowskich (słynny dylemat: „Gość czy Gospodarz”). W przeszłości tego typu wewnętrzne konflikty społeczne bywały rozwiązywane w łagodny sposób: bądź poprzez dokonującą się asymilację bądź też absorpcję mniejszości zamieszkałych w miastach, w wyniku znacząco wyższego wzrostu demograficznego występującego na obszarach wiejskich. Aktualnie nie ma możliwości zaistnienia jednego z dwóch powyżej wskazanych scenariuszy. Pozostaje zatem scenariusz najgorszy, nie wykluczający wystąpienia drastycznych zjawisk: nasilający się konflikt, prowadzący bądź do znaczącego ograniczenia liczebności mniejszości, bądź też do stopniowego wypierania dotychczasowej większości przez bardziej ekspansywną mniejszość. Ten ostatni wariant musi prowadzić w dłuższej (kilkudziesięcioletniej) perspektywie do uzyskania przez dotychczasową mniejszość statusu większości i degradacji dotychczasowej większości na pozycję mniejszości społecznej. Ekspansywna mniejszość niekoniecznie musi narzucać ustępującej większości własny system aksjologiczny (religię, język, styl życia). W przeszłości bywało również tak, że ostatecznie mniejszość przekształcająca się w dominującą większość, przejmowała model odziedziczony po dawnym suwerenie. W przypadku Europy byłby to model demoliberalny, ponieważ nie sposób sobie wyobrazić, żeby potomkowie imigrantów muzułmańskich – nawet w dalekiej przyszłości – mieli stać się wyznawcami chrześcijaństwa.

Na zakończenie zadajmy pytanie, jakie będą najbardziej prawdopodobne konsekwencje trwającego procesu dezintegracji wewnętrznej Europy? Najbliższe lata nie powinny przynieść większych zmian, o ile nie nastąpi zaostrzenie stosunków amerykańsko-chińskich. Napływ imigrantów może zostać ograniczony a nawet powstrzymany, ale nie zmieni to występujących procesów dezintegracyjnych, co najwyżej spowolni ich tempo. Również szanse odrodzenia chrześcijaństwa w Europie – w świetle defetystycznej postawy Watykanu – są niewielkie. Z kolei rosnący ruch sprzeciwu – czyli opcja lokalna, przeciwna opcji globalnej – opowiadający się, jak stwierdza dr Kuź: „za neoprotekcjonizmem, narodowym kapitałem i lokalną tożsamością”, wzmacniający rolę państw narodowych oraz promujący „raczej stabilizację, niż elastyczność czy otwartość” prawdopodobnie będzie zyskiwał na popularności, ale – pomimo rozbudzonych nadziei – w najbliższych latach nie zdobędzie władzy w wiodących państwach Europy, takich jak Niemcy, Francja czy Włochy.

Przyszłość Europy rysuje się na chwilę obecną w ciemnych barwach, ale sytuacja może ulec zmianie na lepsze, w przypadku wystąpienia czynników nie dających się obecnie przewidzieć. Historia tego również nas uczy: że pojawiają się w dziejach wydarzenia prowadzące w swych skutkach do nagłego zwrotu wektora przemian, a nawet do odwrócenia – wydawałoby się trwałych i silnych – tendencji.

POLITYKA RZĄDÓW PAŃSTWA POLSKIEGO WOBEC POLAKÓW NA WSCHODZIE

I WYNIKAJĄCE STĄD KONSEKWENCJE DLA ŚRODOWISK POLONIJNYCH

Na początek tych rozważań kilka uwagi porządkujących:

Uwaga 1.:

Niniejszy tekst jest adaptacją, dokonaną na potrzeby miesięcznika „Polityka Polska”, mojego wystąpienia w trakcie Konferencji Inicjatyw Polonijnych, która miała miejsce w Konstancinie-Jeziornie 10-12 lipca 2017 r. Byłem na niej panelistą, identycznie jak poniższy artykuł zatytułowanego, panelu.

I w moim wystąpieniu konferencyjnym, i w niniejszym tekście, odwoływałem się i odwołuję do wielu moich tekstów i wypowiedzi. Będą to teksty sprzed dwudziestu kilku lat i w tym przypadku cytaty będę zaznaczał, a ich pochodzenie podawał.

Będą to również teksty z lat ostatnich. A tak się złożyło, że w ciągu ostatnich piętnastu miesięcy kwestie, do których się będę odnosił, poruszałem kilkanaście razy – zarówno w wystąpieniach na konferencjach, posiedzeniach i spotkaniach publicznych (np.: trzykrotnie zorganizowanych przez „Politykę Polską”); jak i pisemnie w ekspertyzach, artykułach naukowo-dokumentacyjnych i publicystycznych (np. trzykrotnie na łamach „Polityki Polskiej”).

Sądzę, że próby formułowania inaczej już sformułowanych, w tych wystąpieniach i publikacjach, sądów, przyniosły by raczej gorsze niż lepsze rezultaty. Nie należy poprawiać czegoś co poprawy nie wymaga. Uważam również za niecelowe drobiazgowo wyliczanie pierwotnego źródła wspomnianych sformułowań. Dlatego tylko niektóre, ważniejsze cytaty, będę zaznaczał.

Uwaga 2.:

Zagadnienie poruszane przeze mnie w niniejszym tekście można rozumieć dwojako.

Sensu stricto – obejmowałby wtedy wyłącznie politykę rządów państwa polskiego wobec Polaków na Wschodzie.

Albo sensu largo – obejmowałyby wtedy politykę wobec kwestii Polaków na Wschodzie w całej jej złożoności zarówno co do tematyki (status prawny, obywatelstwo, podmiotowość, zaszczości historyczne, realia polityczne i społeczne), jak i adresatów (społeczności polskie, społeczności wśród których Polacy zamieszkują, władze republikańskie i centralne, elity polityczne, opiniotwórcze i społeczne polskie i niepolskie).

Wybór pierwszego wariantu oznaczałby radykalne zubożenie będącej przedmiotem dyskusji tematyki prowadzące do zafałszowanej oceny sytuacji Polaków.

Wybór drugiego wariantu daje szansę na pełniejszą prezentację tematyki dyskusji, tyle, że – ze względu na objętość tekstu – powierzchowną, względnie skoncentrowaną na zagadnieniach najistotniejszych.

Uwaga 3.:

Na koniec parę zdań o uwarunkowaniach polskiej polityki wschodniej.

W okresie kiedy była tworzona jej koncepcja, i kiedy koncepcja ta była weryfikowana w politycznej praktyce, polityka polska musiała liczyć się z istniejącą rzeczywistością.

To truizm.

Tyle, że ta rzeczywistość była trudno rozpoznawalna, dynamiczna, a jej dynamika praktycznie nieprzewidywalna. Terytoria bliskiego nam Wschodu były w owych latach obszarami o ogromnej niestabilności i wielkiej dynamice następujących nagle przemian wywołanych najpierw kryzysem a potem rozpadem Sowieckiego Imperium.

W 1993 roku tak o tym pisałem w artykule opublikowanym w „Antyku”. [1.] **„Przy formułowaniu polskiej polityki wschodniej należy mieć świadomość bezprecedensowego kształtu Europy Wschodniej w związku z pojawieniem się w wyniku rozpadu imperium sowieckiego, organizmów państwowych między Polską a Rosją o trudnej do prognozowania trwałości. Podstawową cechą państw sukcesyjnych jest ich niestabilność, zarówno wewnętrzna wynikająca z nierozstrzygniętych podstawowych dylematów politycznych (system władzy), społecznych (atomizacja społeczeństwa) i ekonomicznych (system gospodarczy) jak i zewnętrzna będąca rezultatem politycznego nieuporządkowania tego rejonu. Rozpad imperium spowodował bowiem ujawnienie się na tym obszarze konfliktów o charakterze i skali trudnych do rozpoznania (...)**”. Konfliktów, należy dodać, generujących liczne, także trudno rozpoznawalne zagrożenia.

Trzeba również pamiętać – pisałem w tym roku w kwietniowym numerze „Polityki Polskiej” [2.] (str. 114-115.) – **że przez prawie cały ten okres w Polsce stacjonowały najpierw wojska sowieckie, a później rosyjskie. Ich wycofywanie rozpoczęło się 9 kwietnia 1991, a zakończyło 18 września 1993 roku, jednakże nawet po tej dacie w Polsce pozostało około 30. żołnierzy nadzorujących tranzyt wojsk rosyjskich z Niemiec.**

Dodatkowym obciążeniem ograniczającym możliwości polskiej polityki wschodniej była kwestia niemiecka, czyli problem konsekwencji zjednoczenia Niemiec. Posługując się eufemizmem można by powiedzieć, że Polska nie była entuzjastką tego projektu. Mimo,

że kwestia ta formalnie nie miała nic wspólnego z polską polityką wschodnią, nie można abstrahować od tego, że w specyficzny sposób ograniczała jej swobodę. Każde działanie na kierunku wschodnim, które mogłoby stać się pretekstem do podniesienia przez Niemcy pretensji terytorialnych lub położenia mniejszości niemieckiej w Polsce było dla Polski nie do przyjęcia.

A teraz ... ad rem:

1. Wprowadzenie

O oficjalnej (rządowej) polityce państwa polskiego wobec Polaków na Wschodzie można mówić dopiero od dnia 12 września 1989 roku, czyli od powołania przez „kontraktowy sejm” rządu Tadeusza Mazowieckiego. Przez poprzednie kilkadziesiąt lat mieliśmy do czynienia co najwyżej z *parapolityką*. Mam tu na myśli zarówno działalność Rządu RP na uchodźctwie, jak i publicystykę polityczną i działalność programową uprawianą na emigracji (np.: środowisko związane z „Kulturą”), jak i w kraju (programy tak zwanej *opozycji demokratycznej, solidarnościowej i antykomunistyczno-niepodległościowej*, wydawnictwa, w szczególności periodyki, postsolidarnościowego podziemia).

Wtedy właśnie pojawiła się szansa na wypracowanie i realizację autentycznej polskiej polityki wschodniej, także polityki wobec kwestii polskiej. I rząd Tadeusza Mazowieckiego z szansy tej skorzystał. Tyle, że w zdecydowanie specyficzny sposób.

Sformułowaną i prowadzoną przez rząd Tadeusza Mazowieckiego; i kontynuowaną przez kolejne rządy Jana Krzysztofa Bieleckiego, Hanny Suchockiej, Waldemara Pawlaka, nawet Jana Olszewskiego; politykę polską wobec Polaków na bliskim nam Wschodzie na bieżąco (na początku 1994 r.) oceniałem jako *politykę zmarnowanych szans*. [3.]

Polityka ta była i jest, z niewielkimi, faktycznie nieistotnymi modyfikacjami, kontynuowana przez wszystkie kolejne, także oba pisowskie, rządy niepodległej Rzeczypospolitej. Z perspektywy 28 lat jej prowadzenia, moją wstępną ocenę podtrzymuję. Ponadto, generalnie całokształt tej polityki oceniam jako katastrofalny zarówno dla Polaków i polskości na Wschodzie jak i dla nas w Kraju.

Już z perspektywy roku uprawianie tej polityki pojawiła, między innymi u mówiącego te słowa, poważna wątpliwość czy jest to faktycznie polityka polska, to znaczy polityka realizująca polską rację stanu. Z perspektywy dwudziestu ośmiu lat wątpliwość ta jest dla mnie wątpliwością wyłącznie retoryczną.

Politykę tę, w warstwie intelektualnej, programowo-koncepcyjnej, cechowała obezwładniająca nieracjonalność. W warstwie realizacyjnej była to natomiast polityka zaskakująco nedorzeczna.

2. Nieracjonalność programowo koncepcyjna polityki polskiej w kwestii polskiej na Wschodzie.

Przez pierwsze miesiące rządów ekipa Tadeusza Mazowieckiego nie wypracowała żadnej wizji polityki wobec kwestii polskiej na Wschodzie. Nie podjęto nawet próby

określenia dalekosięznego celu tej polityki. Nie sformułowano celów pośrednich, średnio- i krótkookresowych. Nie analizowano szans jakie się przed polską polityką otwierają. A skoro nie było wizji polityki to i nie próbowano się nawet zastanawiać jakimi środkami szanse te można by było realizować.

W elekcje, politykę polską w tym okresie charakteryzowała nicość koncepcyjna i impotencja intelektualna, skutkująca w praktyce działaniami chaotycznymi, niespójnymi, wycinkowymi. To właśnie wtedy rozpoczęło się marnotrawienie polskich szans.

Mimo wszystko, na wypracowanie i wdrożenie polskiej polityki wobec kwestii polskiej w Sowieciech ekipa Tadeusza Mazowieckiego miała nieco czasu, zwłaszcza gdyby nie spieszyła się z działaniami pochopnymi i nieprzemyślanymi. Z jednym wyjątkiem – polityki wobec kwestii polskiej na wybijającej się na niepodległość Litwie.

W pierwszej połowie 1989 roku główny nurt polski na Litwie, wobec oczywistej niemożliwości osiągnięcia jakiegokolwiek kompromisu z szowinistami z „*Sajūdisu*”, i równie oczywistego zagrożenia przyspieszoną lituanizacją, wypracował program autonomii polskiej na Wileńszczyźnie. W drugiej połowie podwileńscy Polacy podjęli próbę realizacji tego programu. Spotkał się on ze zdecydowanym sprzeciwem litewskim. W rezultacie stosunki między Polakami a Litwinami uległy dramatycznemu pogorszeniu.

I z taką właśnie sytuacją zderzyła się ekipa Mazowieckiego. Przypomnijmy daty:

- 6 września 1989 roku proklamowano polską autonomię w rejonie Solecznickim;
- 12 września 1989 roku powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego.
- 15 września 1989 roku proklamowano polską autonomię w rejonie Wileńskim.

Polskie władze stanęły przed dylematem: jednoznacznie i konsekwentnie wspierać Polaków litewskich czy też próbować wymusić na nich rezygnację z dążeń do autonomii. W Polsce, w ówczesnych *mainstreamowych* mediach, rozpoczął się wtedy istny antyautonomiczny, a faktycznie antypolski, sabat, w rezultacie którego wykreowano *stereotyp czerwonych Solecznik – skomunizowanej, prosowieckiej, względnie prorosyjskiej, kolchozowej, prymitywnej masy; kłopotliwie dla Polski, a niekoniecznie zasadnie, aspirującej do polskości, bo to raczej Białorusini...* Polskie władze jednak milczały, nie próbując wspierać Polaków, ale także ich nie atakując. Milczenie to, w moim przekonaniu, wynikało z nicości programowej, z braku pomysłu na polską politykę

I właśnie wtedy swoistym ratunkiem dla ekipy Mazowieckiego odnośnie koncepcji polityki wobec kwestii polskiej na Litwie – jak się wkrótce później okazało także na Białorusi i Ukrainie- okazali się *giedroyciowcy...*

Wypracowana przy ich znaczącym udziale koncepcja polskiej polityki w kwestii polskiej na Wschodzie konsekwentnie realizowana jest do czasów obecnych. Podlegała ona i podlega licznym, tyle, że ze względu na jej cele, nieistotnym modyfikacjom. Jej rezultaty są dla Polski i dla Polaków na Wschodzie oczywiście katastrofalne. Wątpięcym w tę konstatację radzę zapoznać się z *Raportami o sytuacji Polonii i Polaków za granicą* przygotowanymi przez MSZ w latach 2009 i 2012. [4]

Ta katastrofa to oczywiście – poza niedorzeczną warstwą realizacyjną, o czy później – konsekwencja karykaturalnie dogmatycznego podejścia do, stanowiącej intelektualną podstawę wypracowanej wtedy koncepcji polskiej polityki, doktryny Giedroycia – Mieroszewskiego. W rezultacie polska polityka okazała się zadziwiająco miąka, licha, wręcz groteskowa w swojej życzeniowości i naiwności... i, zarazem zaskakująco trwała, niepodatna na jakiegokolwiek modyfikacje i weryfikacje.

2. 1. Nicość programowa i impotencja intelektualna polityki polskiej

Zasygnalizowana wyżej nicość programowa i impotencja intelektualna polityki polskiej skutkowałą – to oczywistość – chaotycznością i bezradnością realizacyjną. Mówiąc kolokwialnie, w drugiej połowie 1989 r. polityka polska zachowywała się *jak pijane dziecko we mgle*.

Nicość programowa polskiej polityki wobec kwestii polskiej jeszcze w Sowietach wyszła na jaw przy okazji wizyty premiera Tadeusza Mazowieckiego w Moskwie 25 listopada 1989 roku. Bardziej szczegółowo omówiłem tę kwestię w artykule opublikowanym w kwietniowym nr. „*Polityki Polskiej*” [2.] (str. 117-118.)

Otóż w trakcie tej wizyty doszło do spotkania premiera Mazowieckiego z „*polonią radziecką*”. Okazało się wtedy, że polski premier nie ma „*polonii*” nic do zaproponowania. Trudno przecież za jakąkolwiek propozycję dla Polaków w Sowietach uznać stwierdzenie: „(...) *staramy się zapewnić w Polsce dogodne warunki dla rozwoju kulturalnego mniejszości narodowych – w tym litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej*” – a był to jedyny konkret tego spotkania.

Drugi konkret to wypowiedź, ministra ds. współpracy z organizacjami politycznymi i stowarzyszeniami Aleksandra Halla. Zapytany, w trakcie wywiadu komentującego rezultaty wizyty Tadeusza Mazowieckiego, o kwestię repatriacji Polaków ze Związku Sowieckiego odpowiedział: „*Ze strony rządu polskiego nie może być zachęty do repatriacji.*”

Przy czym wypowiedź ta była na tyle niekonkretna, że nie dało się wywnioskować, czy polskim władzom chodzi o pozbycie się kłopotu, czy może o nie wspieranie dalszej depolonizacji Kresów.

Szczególnym przejawem nicości koncepcyjnej i impotencji intelektualnej było stanowisko polskich władz wobec następstw paktu Ribbentrop-Mołotow. Kwestię tę w miarę dokładnie przedstawiłem w referacie wygłoszonym na niedawnej konferencji w Wilnie, tu ją tylko zasygnalizuję. [5.]

W odniesieniu do kwestii ewentualnych pretensji terytorialnych stanowisko polskie (władz i opiniotwórczego mainstreamu) było jednoznaczne i zgodne. Już w dwa tygodnie po powstaniu rządu minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski mówił, w przemówieniu wygłoszonym w ONZ, o obowiązku „*nie kwestionowania granic i traktowania ich jako nienaruszalne.*”

Stanowisko to Minister powtórzył jesienią 1989 r., kiedy to „*w trakcie wizyty w Londynie, zadeklarował, że Polska nie ma pretensji terytorialnych na Wschodzie.*”

Praktyka prowadzonej przez niego polityki pokazała, że Polska nie ma nie tylko pretensji terytorialnych, ale żadnych innych, że nie ma na Wschodzie żadnych szczególnych interesów ani obowiązków wynikłych z ciągu wydarzeń, które określamy jako Czwarty Rozbiór Polski.

Mniej więcej rok później, w trakcie debaty w Senacie, Minister tak tłumaczył swoje stanowisko w kwestiach terytorialnych. Nie złożenie oficjalnej deklaracji o nieposiadaniu pretensji terytorialnych wobec naszych sąsiadów jest równoznaczne z podjęciem działań w celu rewizji granic... a żeby to uczynić „**to trzeba by zacząć wojnę**”.

Jest to rozumowanie oczywiście kuriozalne. Miedzy milczeniem w kwestiach pretensji terytorialnych a wojną o granice istniało wiele innych opcji. Choćby opcja – w moim przekonaniu wówczas optymalna – niepodnoszenia pretensji terytorialnych przy równoczesnej odmowie oficjalnego uznania ówczesnego porządku terytorialnego, dopóki nie zostaną rozstrzygnięte liczne, dla Polski istotne, związane z tym porządkiem kwestie. Na przykład gwarancji dla praw mieszkających tam Polaków czy zwrotu naszego dorobku kulturalnego pozostającego na tych terytoriach (Ossolineum, Lwowska Galeria Obrazów).

Tymczasem minister Skubiszewski zdawał się nie zauważać, że zarówno on sam, jak i jego następcy oraz generalnie polityka polska – pozbawili się w ten sposób niebagatelnego atutu w przyszłych, dotyczących interesu polskiego na Wschodzie, rokowaniach.

2.2. Karykaturalna zdogmatyzowana koncepcja ULB (Giedroycia-Mieroszewskiego)

W październiku 1989 r. sekretarz Komisji do spraw Mniejszości Narodowych przy Komitecie Obywatelskim Lecha Wałęsy, Grzegorz Kostrzewa Zorbas skierował do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego oraz do Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych memoriał zatytułowany „*Stosunki polsko-litewskie. Uwagi i propozycje*” zawierający autorską wizję polityki polskiej wobec Litwy i, w szczególności, wobec Polaków na Litwie.

Memoriał prezentował karykaturalną, wręcz oszczerczą, wizję, sprawujących rząd dusz w społeczności polskiej, polskich autonomistów przeciwstawioną wyidealizowanej do granic absurdu wizji, nielicznych i nieliczących się wśród Polaków, przeciwników autonomii.

Kostrzewa idealizował również Litwinów z „Sajūdis” ignorując, oczywisty już wtedy, szowinistyczny i antypolski charakter tego ruchu.

Nie będę tu omawiał też tego memoriału. Żeby jednak przybliżyć jego merytoryczną zawartość przytoczę swoistą recenzję, jaką koncepcjom Kostrzewy wystawił skrajnie prolitewski prezes Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy, doktor Leon Brodowski: Kostrzewa „**(...) stawia na Sajūdis, a jeśli Polacy litewscy nie chcą współpracy z Sajūdisem — to trudno. Tym gorzej dla Polaków, to ich sprawa. Czyli — jest gotów nawet poświęcić tych Polaków litewskich — byleby doprowadzić do dobrej współpracy między Solidarnością a Sajūdisem. A w najbliższej perspektywie między parlamentem litewskim a parlamentem polskim**”. [6.]

Należy zaznaczyć, że wywiedzione jeszcze z głębokiego Podziemia lat osiemdziesiątych, fantasmagorie Kostrzewy nie zostały poddane żadnej weryfikacji na miejscu ani aktualizacji.

Nie dokonał ich autor, nie dokonali ich ci do których swoje rozważanie kierował.

Wystarczyło, że Kostrzewa efektownie i przekonywująco wytłumaczył coś co nie mieściło się w ówczesnym myśleniu – konflikt Polaków z Litwinami na wybijającej się na niepodległość Litwie. A że było to wyjaśnienie skrajnie zafałszowane przez ideologiczny punkt widzenia, w żaden sposób nie przystający do rzeczywistości i nie potwierdzony żadnymi faktami, to tym gorzej dla faktów.

Koncepcja Kostrzewy, w oryginale partykularna, bo dotycząca Litwy, bez problemu mogła być przekształcona w koncepcję generalną, odnoszącą się do Polaków na całym bliskim nam Wschodzie.

I chyba te walory dostrzegli kreatorzy polskiej polityki, bo na początku 1990 r. Grzegorz Kostrzewa – Zorbas został wicedyrektorem Departamentu Europy w MSZ, i mniej więcej przez dwa lata odpowiadał za realizację polityki polskiej na Wschodzie.

Odejście Kostrzewy i Skubiszewskiego nic w kwestii polskiej polityki nie zmieniło. Zdogmatyzowana koncepcja ULB (Giedroycia-Mieroszewskiego) cały czas była i jest nadal podstawą polskiej polityki na obszarze między Polską a Rosją. Nadal polityka polska kieruje się wykreowanymi wtedy dogmatami (bezwarunkowe wspieranie Litwy, Ukrainy) i uprzedzeniami (dystans, by nie powiedzieć więcej, wobec tamtejszych Polaków) posuwając się na tej drodze do absurdu (groteskowe *najlepsze w dziejach stosunki polsko-litewskie*).

3. Konstytutywne cechy polskiej polityki wschodniej

W odniesieniu do merytorycznego (konceptyjnego) aspektu polskiej polityki wschodniej chciałbym zwrócić uwagę na takie jej cechy jak *swoistą amnezję, skrajną życzeniowość i obeszładniającą naiwność względnie permanentnie złą wolę*.

3.1 *Swoista amnezja:*

Tę cechę polskiej polityki, w odniesieniu do Litwy, przedstawiałem tak w artykule opublikowanym w „*Aracanach*” w 1995 roku). [7.] (str. 96.)

„Polska polityka wobec Litwy była realizowana tak, jakby oba jej podmioty – Polska i Litwa – pojawiły się w roku 1989 z niebytu i swoje stosunki układały po raz pierwszy. I tylko nie wiadomo, skąd wzięła się tak te stosunki komplikująca większość polska wokół Wilna.”

Otóż, zarówno w odniesieniu do Litwy, jaki i do Ukrainy... i, w nieco mniejszym stopniu, do Białorusi, było to „(...) założenie fałszywe. Nie wolno przecież w realnej polityce ignorować zaszłości, całego kompleksu problemów wynikłych zarówno (użyję tu określenia przewodniczącego uniwersyteckiego Klubu na Rzecz Europy Środkowo-Wschodniej, Jerzego Słowikowskiego) z udanej secesji Litwinów z Rzeczypospolitej Obojga Narodów jak i z wydarzeń sprzed lat 50-ciu, które symbolicznie nazywamy *Czwartym Rozbiorem Polski*.”

Nasi wschodni kontrahenci — na Litwie praktycznie całość elit politycznych, społecznych i opiniotwórczych; na Ukrainie zwłaszcza środowiska postbanderowskie; na Białorusi

większość elit białoruskiego odrodzenia, na przykład BNF „*Adradżeńnie*” – o przeszłości, oczywiście interpretowanej antypolsko, nie zapominali.

Nie zapomnieli przeszłości również Polacy ze Wschodu. Świeżo jeszcze pamiętali, że zostali poddani czystkom etnicznym, eksterminacji, kolonizacji i wreszcie procesom wynaradawiania – rusyfikacji, lituanizacji, ukrainizacji; i że nie miały udział w tym wszystkim mieli Litwini, Ukraińcy a nawet Białorusini.

No cóż, chowanie głowy w piasek, w polityce, zresztą tak jak w każdej innej profesji, niczego nie załatwia, narąza natomiast – jak to wdzięcznie ujął niedawno profesor Andrzej Nowak – na niespodziewane razy w wypięty przy tej okazji kuper. Co, nota bene, politykę polską nie raz spotkało.

3.2 Skrajna żtzeniowość

Polska polityka wschodnia traktowała mniejszość polską w krajach ULB jako przeszkodę w normalizacji wzajemnych stosunków.

„Ze strony polskich środowisk postsolidarnościowych była to próba zracjonalizowania, narastającego już wtedy, konfliktu między Polakami a Litwinami na Litwie. (...)

Oto nadeszła wymarzona przez polskich zwolenników doktryny Giedroycia dziejowa szansa. Kryzys imperium sowieckiego stwarzał możliwość budowy wymarzonego ULB. Tyle, że partnerów do jego budowy nie było. Polacy i Litwini na Litwie, zamiast złączyć siły w antysowieckim sojuszu wdali się w, jak to formułował Kornel Morawiecki, drugorzędne spory. Kogoś za te spory, za to, że ULB okazało się uludą, trzeba było obwinić.

Giedroyc na kozła ofiarnego z oczywistych względów się nie nadawał. Podobnie Litwini, bez nich ULB to przecież wydmuszka. Dlatego, ignorując bijące w oczy realia – ocierający się o szowinizm nacjonalizm, antydemokratyczny antypolonizm i sowiecką mentalność niepodległościowych elit litewskich, zwłaszcza „Sajūdisu” – polscy giedroyciowcy cechy te przypisali litewskim Polakom. (...)

W rezultacie formułowane przez Polaków zza linii Curzona postulaty polityka polska traktowała, w najlepszym razie jako fanaberie, a generalnie jako sowieckie koncepcje utrudniające porozumienie z naszymi partnerami z ULB.” [8]

Przedstawiona wyżej racjonalizacja – faktycznie raczej ekwilibrystyka myślowa – „z racjonalnym podejściem do rzeczywistości niewiele miała wspólnego. Opierała się bowiem na ideologii a nie na realiach.

Zgodnie z ideologią – obowiązującym giedroyciowskim paradygmatem -rezygnacja z roszczeń terytorialnych i antysowiecki sojusz Polski i państw ULB powinny wygasic wszelkie pretensje.

Problem polegał na tym, że o ile polskie elity pobierały lekcję u Giedroycia przez co najmniej kilkanaście lat – od połowy lat siedemdziesiątych, a szczególnie intensywnie w Podziemiu lat osiemdziesiątych, o tyle elity ULB lekcji takiej nigdy nie pobrały i wcale nie zamierzały pobierać.

Skrajną życzeniowością było więc liczenie na ich współpracę w budowie ULB.

Ponadto życzeniowość polskiej polityki polegała na braniu własnych złudzeń i oczekiwań za obiektywnie istniejąca rzeczywistość, oraz w szczególności przejawiała się „*w koncepcji, wg. której jednostronne koncesje polskie, czy to w kwestii polskiej mniejszości, czy to w kwestii mniejszości narodowych w Polsce, czy wreszcie w kwestiach terytorialnych, spowodują analogiczną reakcję drugiej strony.*” [9.] (str. 36.)

3.3 Obezwładniająca naiwność i/lub zła wola

Realizatorzy i jawni kreatorzy polskiej (rządowej) polityki wobec Polaków na Wschodzie głosili koncepcje zagwarantowania praw Polakom w zawartych ze wschodnimi sąsiadami, traktatach o wzajemnych stosunkach. Koncepcja ta miałaby racje bytu gdyby:

- po pierwsze, zadbano o merytoryczną jakość zawartych w traktacie gwarancji, czego nie uczyniono, godząc się na dyskwalifikujące porozumienie braku w gwarantowanych prawach oraz na generujące przyszłe konflikty niejasności i niedopowiedzenia;
- po drugie, umieszczono w treści traktatów mechanizmy zabezpieczające realizację ich zapisów, czego również nie uczyniono.

Właśnie z powodu tych dwóch uchybień zarzucam polskiej polityce naiwność, a biorąc pod uwagę skalę tej naiwności, używam kwantyfikatora *obezwładniająca*.

Możliwa jest jednak inna interpretacja takiej polityki. Taka, jak powyższa, skala naiwności stawiałaby pod znakiem zapytania kwalifikacje intelektualne polskich elit politycznych za tę politykę odpowiedzialnych, co jest chyba hipotezą zbyt śmiałą. Może mieliśmy więc do czynienia nie z niezamierzonymi uchybieniami a z celowymi zaniechaniami.

Przyznam się, że – na podstawie całkiem niezłej wiedzy o trybie, niuansach i przekrętach związanych z negocjacjami nad traktatem z Litwą – ta wersja wydaje mi się bardziej uprawniona. Wtedy mielibyśmy jednak do czynienia z *permanentnie złą wolą*.

4. O realizacji polskiej polityki wschodniej słów kilka

Jak już pisałem, w warstwie realizacyjnej prowadzona przez koleje rządu polityka charakteryzowała się absurdalną defensywnością (frymarczenie autorytetem rządu), demonstracyjną nielojalnością (frymarczenie interesem Polaków na Wschodzie) i oczywistą niewiarygodnością (frymarczenie Majestatem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej).

To ciężkie oskarżenia. Uważam, że uzasadnione.

4.1. Absurdalna defensywność

Przykładów absurdalnej defensywności w realizacji polskiej polityki w kwestii polskiej jest wiele. Defensywność ta przejawia się, zwłaszcza w odniesieniu do Litwy i Ukrainy, w niewiązaniu kwestii polskiej z rozlicznymi – ekonomicznymi, politycznymi, kulturalnymi, militarnymi – dealami, które polska polityka w tych krajach, często kosztem polskiego podatnika, realizowała i realizuje.

Spektakularnym przykładem takiej defensywności w polityce wobec Litwy są rokowania w kwestii pisowni polskich nazwisk. Mimo zobowiązań wynikających z Traktatu polsko-litewskiego, strona polska konsekwentnie powstrzymuje się z ich prowadzeniem od października 2002 r., a więc prawie od piętnastu lat. W miarę szczegółowo pisałem już o tym na łamach „*Polityki Polskiej*”. [2.] (str. 132-133.)

Spektakularnym przykładem takiej defensywności w polityce wobec Ukrainy jest kompletna bezradność w kwestii upamiętnień wołyńskich, w tym ekshumacji okrutnie pomordowanych naszych rodaków. [10.]

Spektakularnym przykładem takiej defensywności w polityce wobec Białorusi jest brak informacyjnego (telewizja polskojęzyczna) i oświatowego (fundusz stypendialny dla białoruskich Polaków) programu symetrycznego do tego, który przeznaczony jest dla Białorusinów (telewizja Biełsat, fundusz im. K. Kalinowskiego).

Ostatnio doszło do żenujących, jeśli chodzi o ich merytoryczną wartość, zabiegów Senatu (wicemarszałek Marii Koc) „**o zniesienie ograniczeń dostępu do nauki języka polskiego i zapewnienie możliwości nauki wszystkim chętnym**” na Białorusi. [11.] Zabiegi te polegały na tym, że Pani Wicemarszałek spotkała się z „**przedstawicielami nieuznanego przez Mińsk, Związku Polaków na Białorusi (ZPB), prezesem Polskiej Macierzy Szkolnej (PMS) Stanisławem Sienkiewiczem, a także z dyrektorką szkoły polskiej w Grodnie Danutą Surmacz.**”

Ponadto, „**podczas rozmów z dyrektorką szkoły**”, w obecności przedstawiciela grodzieńskiego kuratorium, Pani Wicemarszałek poinformowała rozmówców, że „**to państwo białoruskie powinno brać na siebie tę odpowiedzialność, tak jak czyni to Polska w stosunku do nauczania języka białoruskiego**”

Po czym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku powróciła do Warszawy.

Chyba, nikogo nie zdziwi, że po prawie 28 latach takiej polityki, licząca kilkaset tysięcy (nikt nie wie dokładnie ile) mniejszość polska na Białorusi doczekała się już dwóch polskich szkół, w których uczy się aż 870 uczniów.

Naszkicowana wyżej polityka – w sytuacji gdy Litwa prowadzi antypolską politykę wobec Polaków na Litwie, Ukraina jawnie antypolską politykę historyczną, o realizacji postanowień Traktatu w kwestii mniejszości nawet nie wspominając, zaś Polacy na Białorusi są kartą przetargową w polsko-białoruskich sporach – to *frymarczenie autorytetem polskich władz; konkretnie polskiego rządu*, który przeciw tej politykę firmuje.

4.2. Demonstracyjna nieolojalność

Polityka polska Polaków na Wschodzie traktowała i traktuje jako przedmiot, a nie podmiot swoich działań. Nie liczy się z nimi, z ich postulatami, nie konsultuje z nimi swoich posunięć, ignoruje ich interesy. Demonstracyjnie postawę taką zaprezentował minister spraw zagranicznych Andrzej Olechowski. Zapytany, w trakcie ceremonii parafowania Traktatu z Litwą, o przyczyny niekonsultowania w trakcie negocjacji nad *Traktatem*, ani

Związku Polaków na Litwie, ani środowisk kresowych w Kraju oświadczył: „**nie mamy zwyczaju prowadzić konsultacji w zbyt szerokim gronie**”. [12.]

Jeśli Polacy nie podporządkowują się dyktatowi z Warszawy, polityka polska usiłuje ich dyscyplinować. W odniesieniu do Polaków na Litwie ze skutkiem mizernym. Na przykład: wielokrotne próby wykreowania konkurencji dla Związku Polaków na Litwie i Akcji Wyborczej Polaków na Litwie kończyły się zawsze fiaskiem i stratą pieniędzy polskiego podatnika. Nie zniechęca to jednak warszawskich polityków.

Na Białorusi natomiast, polityka polska przyczyniła się do rozpadu i zmarginalizowania białoruskiego Związku Polaków.

Na Ukrainie kwestia praw zamieszkałych tam Polaków nie jest w kontaktach wzajemnych przez stronę polską podnoszona.

Jest to oczywista – i dostrzegana przez nieprzychylnie nam elity polityczne, społeczne i opiniotwórcze na Litwie i na Ukrainie oraz kręgi władzy na Białorusi – nielojalność wobec tamtejszych Polaków osłabiająca ich pozycję.

Politykę taką uważam za niedopuszczalne *frymarczenie interesem Polaków na Wschodzie*.

Monstrualnym przykładem takiego frymarczenia była akcja premiera Donalda Tuska, która doprowadziła do wygaszenia strajku szkolnego na Wileńszczyźnie we wrześniu 2010 roku. Akcję tę – jako przykład „**jawnie >>bluźnierczego lajdactwa<<**” opisałem na łamach „*Polityki Polskiej*” [2.] (str. 131-132.) i tam czytelników odsyłam.

4.3. Oczywista niewiarygodność

Cecha ta szczególnie zauważalna jest w stosunkach polsko-litewskich. Od 23 lat Traktat polsko litewski patronuje dyskryminacji litewskich Polaków. Na stronie Federacji Organizacji Kresowych (www.fok.waw.pl) można znaleźć moje, stale aktualizowane, opracowanie **Porównanie sytuacji Polaków na Litwie Sowieckiej i Niepodległej**. Wyliczone są w nim wszystkie istotne wymierzone w Polaków posunięcia władz litewskich także jawne naruszenia ducha i litery *Traktatu Polsko-Litewskiego*.

„Polski polityczny i medialny minstrim odpowiedzialnością za te naruszenia obciąża władze litewskie. – pisałem w przywoływanym już wielokrotnie artykule w „*Polityce Polskiej*” [2.] (str. 133) – **To grube nieporozumienie. Za realizację postanowień Traktatu Polska i Litwa odpowiadają solidarnie. Litwa ma wymienione w Traktacie prawa zapewnić, a Polska, jeśli nie są zapewnione, skutecznie je wyegzekwować. Co więcej, pod Traktatem i pod jego ratyfikacją, widnieje podpis Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, zaś zgody na jego ratyfikację udzielił Sejm Rzeczypospolitej.**

Nie podejmowanie żadnych działań w tej kwestii przez polską dyplomację oznacza:

- **po pierwsze, że Polska sygnalizuje Litwinom – i nie tylko -, że podpis polskiego Prezydenta pod powyższym zobowiązaniem ma wartość świstka papieru;**
- **po drugie sygnalizuje Polakom na Litwie, że składanych uroczyście przez polskiego Prezydenta zobowiązań nie należy traktować poważnie. (...)**

Oznacza to również, że najwyższe władze polskie, w tym strażnik godności Rzeczypospolitej – Prezydent Polski – frymarczą Majestatem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Uważam, że każdy kolejny Prezydent Rzeczypospolitej powinien, jako wyrzut sumienia, mieć w swojej pamięci słowa, jakie w skierowanym na moje ręce piśmie Forum Rodziców Szkół Polskich Rejonu Solecznickiego z 31 grudnia 2015 roku, napisała jego przewodnicząca Renata Cytacka:

„Od ponad dwudziestu lat czekamy by Rzeczpospolita Polska wywiązała się zobowiązań jakie wobec nas, a zwłaszcza wobec naszych dzieci, podjęła w traktacie polsko-litewskim. (...) Od ponad dwudziestu lat zobowiązanie to nie jest wykonywane. Od ponad dwudziestu lat kolejne roczniki naszych dzieci są traktowane gorzej niż ich litewscy rówieśnicy, a ich prawo do równych szans życiowego startu jest składane na ołtarzu polsko-litewskiego strategicznego partnerstwa.” [13.]

5. Najistotniejsze zaniechania polskiej polityki w kwestii polskiej na Wschodzie

Wynikające z przedstawionych wyżej uwarunkowań zaniechania polskiej (rządowej) polityki wobec kwestii polskiej na bliskim nam Wschodzie były liczne i wielorakie. W niniejszym wystąpieniu odniosę się do trzech, moim zdaniem najważniejszych:

5.1. Niesformułowanie i niepodjęcie polityki restytucji polskości na Wschodzie

O tym zaniechaniu mówiłem obszernie na spotkaniu w redakcji „Polityki Polskiej”. [14.] Przedstawione tam tezy zostały opublikowane w przywoływanym już wielokrotnie artykule [2.] (str.124-126). To zaniechanie, pisałem, **„nadało polityce polskiej swoisty, antypolski, wymiar. Obciąża ono polską politykę do dziś i obciążać będzie w przyszłości. Czyli miało dla tej polityki charakter konstytutywny”**. W porównaniu z nim wystawienie przez Warszawę kresowych Polaków na łup tamtejszych szowinizmów, choć haniebne, to kolokwialnie mówiąc mały **pikuś**.

W krytykującym polską politykę wschodnią opracowaniu: **„Doktryna Aktywnej Obecności (Tezy o polskiej polityce „blisko” wschodniej)”** – z 12 maja 1991 roku, a była wersja wcześniejsza – pisałem [9.]:

„Konkretyzując – Polski interes narodowy na „bliskim” nam Wschodzie to przede wszystkim odwrócenie procesu czy to dobrowolnego, czy też wymuszonego wycofywania się z tamtego obszaru (...).

Podjęte przez Polskę działania miałyby na celu nie tylko powstrzymanie procesu wycofywania się lecz stopniowe odzyskiwanie utraconych pozycji. Czyli, na interesującym nas w tych rozważaniach terytorium polityka polska powinna realizować aktywnie doktrynę: polskiej obecności, obecności etnicznej, cywilizacyjnej, ekonomicznej i politycznej.” (Teza XVI – str. 42.):

I dalej (Teza XIX – str. 43.): **„Polska obecność etniczna na byłych ziemiach Rzeczypospolitej jest niepodważalnym faktem i wszelkie jej kwestionowanie polityka**

polska i polska opinia publiczna powinny traktować jako drastyczny przejaw antypolsko zorientowanych nacjonalizmów. Biorąc pod uwagę trwającą 50 lat politykę przymusowego >>odpolszczania<< przemocą tych terenów polityka restytucji polskość jest jak najbardziej uzasadniona."

Do podjęcia takich wyzwań ówczesne elity nie były zdolne. Także te określane jako patriotyczne, które kontestowały ówczesny polityczny *mainstream*.

W przywoływanym już wielokrotnie artykule – [2.] (str. 126) – skutki tegoż podsumowałem tak: „*To zaniechanie jest nie do odrobienia. Polskość na Wschodzie bezpowrotnie utraciła kilkaset tysięcy, a według niektórych ocen dobrze ponad milion, potencjalnych Polaków. Wcale przy tym nie zyskując równoważnej ilości życzliwej Polsce warstwy Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan polskiego pochodzenia.*

Co więcej, polityka polska, mimo spektakularnych zawodów, trwa w tym zaniechaniu. Losy polskość na Litwie, Białorusi i Ukrainie spektakularnie o tym świadczą."

5.2. Nie uczynienie z kwestii położenia Polaków na Wschodzie elementu polskiej racji stanu

Zapewnienie Polakom na Wschodzie korzystnych warunków do zachowania i rozwoju polskość, wyegzekwowanie pełni należnych im praw, zabieganie o zagwarantowanie im pozycji współgospodarza tamtejszych ziem nigdy nie stało się, dla elit od prawie trzydziestu lat rządzących Polską, elementem polskiej racji stanu.

Elementem polskiej racji stanu jest zapewnienie niepodległości Litwie, wpieranie jej gospodarcze, polityczne, finansowe, militarne i moralne.

Elementem polskiej racji stanu jest wspieranie demokracji i okcydentalizacji Białorusi.

Elementem polskiej racji stanu jest nie przeciwstawianie się antypolskiej i gloryfikującej ludobójstwo i ludobójców polityce Ukrainy oraz wspieranie jej integralności terytorialnej w konflikcie z Rosją.

Wspieranie Polaków na Litwie, Białorusi czy Ukrainie, nawet zwyczajne wywiązywanie się z podjętych wobec nich uroczystych zobowiązań, np. w traktatach ze wschodnimi sąsiadami, jest dla oficjalnej Polski obciążeniem politycznym i materialnym. Takie działania nie mieszczą się w kategoriach polskiej – czy aby na pewno polskiej? – racji stanu. I nic nie wskazuje by w przewidywalnej przyszłości coś w tej kwestii mogło zmienić się na lepsze.

5.3. Nie podjęcie kwestii obywatelstwa Polaków na Wschodzie

Polityką polską wobec kwestii obywatelstwa Polaków na Wschodzie w pierwszych latach III Rzeczypospolitej (do roku 1994 i podpisania Traktatu Polsko-Litewskiego) tylko w tym roku zajmowałem się trzykrotnie. Mówiłem o niej na spotkaniu w redakcji „*Polityki Polskiej*” [14.] oraz pisałem w zamieszczonym w „*Polityce Polskiej*” artykule będącym pokłosiem tego spotkania. [2.] (str. 126-129.). Szczegółowo, i z pełną dokumentacją bibliograficzną, przedstawiłem tę kwestię, w wygłoszonym 30 czerwca b.r., na XXI. Międzynarodowej

Konferencji „*Nauka i Jakość Życia*” oraz Sympojum „*Wileńszczyzna: wczoraj, dziś, jutro*”, referacie naukowym. Zostanie on wydrukowany w materiałach konferencji. [15.]

Kwestia obywatelstwa Polaków na Wschodzie budziła w roku 1989 i w kilku latach następnym zasadnicze kontrowersje. W toczącej się dyskusji ścierały się trzy poglądy:

- Polacy zamieszkali za pojałtańską polską granicą wschodnią nie są polskimi obywatelami;
- polskimi obywatelami są Polacy zamieszkali na terytoriach swego czasu wchodzących w skład I Rzeczypospolitej;
- polskimi obywatelami są Polacy zamieszkali na terytoriach wchodzących w skład II Rzeczypospolitej.

Polityka polska podeszła do tej kwestii w sposób ambiwalentny, cokolwiek schizofreniczny, różnicując stanowisko odnośnie obywatelstwa Polaków z powodów absurdalnych, bo w zależności od republiki osiedlenia. – inaczej w odniesieniu do Litwy, inaczej w stosunku do republik pozostałych.

„W odniesieniu do Łotwy, Białorusi i Ukrainy, Polska kwestii obywatelstwa nie podnosiła. W odniesieniu do Litwy Polska przez rok w tej kwestii milczała, przez kolejny rok zwodziła litewskich Polaków perspektywą podwójnego obywatelstwa, by, ostatecznie poświęcić ich dla mrzonek o normalizacji stosunków z Litwą.” [15.]

Polityka polska podeszła do tej kwestii, w odniesieniu od wszystkich Polaków na Wschodzie, w sposób haniebny. Nie podejmowała praktycznie żadnych starań o zapewnienie Polakom podwójnego obywatelstwa, a w przypadku Polaków na Litwie te starania nieudolnie pozorowała. Jednocześnie, Polska nie zdobyła się na oświadczenie, że „**Polacy na Wschodzie będą traktowani jak polscy obywatele przez wszystkie urzędy III Rzeczypospolitej jeśli tylko znajdują się na terytorium Polski lub krajów trzecich.**”

Polityka polska podeszła do tej kwestii, w odniesieniu Polaków na Litwie, w sposób zdradziecki. Polityka polska, najpierw mamiła Polaków perspektywą podwójnego obywatelstwa. Potem, ustami ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, zabiegała o przyznanie Polakom na Litwie litewskiego obywatelstwa z mocy prawa- – „**co było równoznaczne z pozbawieniem ich, bez ich zgody, polskiego**” – bez równoczesnego złożenia deklaracji o traktowaniu ich jako polskich obywateli jeśli znajdują się poza granicami Litwy.

„Postawienie Polaków na Litwie, w sytuacji w której musieli formalnie dobrowolnie, wyrzec się polskiego obywatelstwa to najzwyczajniejsza zdrada. Zdrada własnych obywateli, w odniesieniu do Litwy wręcz demonstracyjna, i co najgorsze, zdrada dokonana w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. To niezmywalna hańba, można powiedzieć hańba moralna, hańba hańb.” – wszystkie powyższe cytaty patrz [2.] (str. 129.).

6. Konsekwencje polskiej polityki dla Polaków na Wschodzie

Konsekwencje tak prowadzonej polskiej polityki dla Polaków na Wschodzie są liczne, wielorakie i wielowymiarowe... a wszystkie negatywne.

W sferze egzystencjalnej, fundamentalnej dla przetrwania polskości na Wschodzie, jest to cofanie się żywiołu polskiego, nawet tam gdzie jest najsilniejszy, tam gdzie wytworzył polską społeczność, na litewskiej Wileńszczyźnie. Inaczej mówiąc mamy do czynienia z depolonizacją bliskiego nam Wschodu, raczej wspieraną niż powstrzymaną przez politykę polską.

W sferach politycznej, społecznej, kulturalnej, oświatowej, społecznej, ekonomicznej, wszędzie mamy do czynienia z dyskryminacją Polaków, faktycznie akceptowaną przez politykę polską.

W sferze oświatowej, na Białorusi i Ukrainie, mamy stagnację na poziomie sowieckim. Na Litwie przebiega proces powolnego zwijania polskiego szkolnictwa. Symboliczne dla polskiej polityki jest nieobronienie jednej polskiej szkoły w Wilnie – mam na myśli gimnazjum imienia Lelewela – przez państwo w miarę skutecznie wojujące z Unią Europejską.

W sferze własnościowej mamy faktyczne zaakceptowanie przez politykę polską rabunku przez kolonistów litewskich polskiej ziemi na Wileńszczyźnie oraz zgodę na całkowite zawłaszczenie społecznego majątku polskiego na Litwie, Ukrainie i Białorusi.

Specyficznym osiągnięciem polskiej polityki jest faktyczna akceptacja opresji tamtejszych Polaków skazanych na życie w atmosferze agresywnego, groteskowo absurdalnego a zarazem monstrualnego antypolonizmu litewskiego i banderowskiego.

Rezultatem polskiej polityki jest dojmujący zawód naszych Rodaków na Wschodzie wobec Polski, zgodnie z deklaracjami najważniejszych polskich polityków i instytucji, Ojczyzny wszystkich Polaków, także tych na Wschodzie. Jest to niewybaczalna wina moralna obciążająca kreatorów i wykonawców takiej polityki, ale także nas mniających się Polakami, którzyśmy nie wysłali ich wszystkich, kartką wyborczą, tam gdzie jest ich miejsce – na margines polityczny i społeczny.

I jeszcze jedna konsekwencja – antyprestizj Polski jako państwa, które pozwala na nieliczenie się z jego fundamentalnymi interesami oraz godzi się, by podejmowane wobec niego oficjalne i uroczyste zobowiązanie nie były nawet warte kartki papieru, na którym zostały złożone.

Ten antyprestizj państwa polskiego w dużym stopniu przekłada się na niski prestiż Polaków na Białorusi i Ukrainie. Z jednym wyjątkiem Litwy, gdzie Polacy, wbrew Polsce, sami sobie prestiż zapewnili.

7. Wymiar moralny polityki wobec Polaków na Wschodzie

Kwestia wymuszenia przez politykę polską formalnie dobrowolnego wyrzeczenia się polskiego obywatelstwa przez Polaków na Litwie to wizytówka polskiej (rządowej) polityki wobec Polaków na Wschodzie, a zarazem symbol konsekwencji jakie ta polityka, nie tylko im, nam wszystkim, przyniosła.

Politykę tę oceniałem i oceniam bardzo surowo, także w jej wymiarze jak najbardziej ogólnym – obywatelskim. Oceny takie, różniące się frazeologicznie ale identyczne

merytorycznie, formułowałem w ciągu ubiegłych dwudziestu kilku lat kilku, jeśli nie kilkunastokrotnie. Poniżej pozwolę sobie przytoczyć ocenę z roku 1994, bodaj pierwszą: **„Polityka taka ma także niebagatelne skutki wewnętrzne. Państwo, które przegra wojnę może, lub musi, zgodzić się na bardzo wiele — na utratę terytoriów, na kontrybucje, na niekorzystne koncesje polityczne i gospodarcze. Nie może jednak, o ile nie jest to bezwarunkowa kapitulacja, zgodzić się na wszystko. Bezwzględnie musi domagać się uwolnienia jeńców i zakładników. Jeśli tego nie czyni, to traci moralne prawo wymagania od obywateli, by swój obywatelski obowiązek spełnili. Jeśli dotyczy to większej grupy obywateli, taka polityka prowadzi do zaniku poczucia, że państwo jest dobrem wspólnym narodu.**

A kim jeśli nie zakładnikami paktów Ribbentrop-Mołotow i Roosevelt-Churchill-Stalin są Polacy na Wschodzie?” [7.] (str. 111.)

8. Z polityką wobec Polaków na Wschodzie rozrachunek

Już dwadzieścia sześć lat temu krytycy polskiej polityki wobec Polaków na Wschodzie spierali się o to, kto spośród firmujących ją, i realizujących, jest faktycznym jej kreatorem. Wtedy właśnie pojawił się termin *skubiszewszczyzna*, który jednoznacznie identyfikował odpowiedzialnego.

Polemizowałem z takim personalistycznym podejściem, twierdząc, że polityka polska jest właśnie taka nie dlatego, że realizuje ją profesor Krzysztof Skubiszewski lub Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. Profesor Krzysztof Skubiszewski lub Grzegorz Kostrzewa-Zorbas dlatego realizują polską politykę, że dają gwarancję, że polityka polska będzie właśnie taka. Czyli, w moim przekonaniu, oni byli jej realizatorami a nie kreatorami.

Z czasem, wśród krytyków tej polityki, rozpowszechnił się pogląd, że jej kreatorem był profesor Bronisław Geremek. Początkowa instytucjonalna pozycja profesora Geremka (szef Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych w trzech kolejnych parlamentach, minister spraw zagranicznych) oraz jego wpływy nieformalne (słynny notes rządzący polską dyplomacją) zadawały się tą hipotezę uprawdopodobniać. Tyle, że profesora Geremka nie ma już dziewięć lat, i jeśli nawet jego notes nadal rządzi polską dyplomacją, to przypuszczenie, że nadal polską politykę wobec Polaków na Wschodzie kreuje wydaje mi się cokolwiek ryzykowne.

Tyle, że nie widać w Polsce innego do tej pozycji (kreatora) kandydata.

Wobec tego, może kreatorów tej polityki trzeba szukać poza Polską. Może milczące założenie, także tego tekstu, że kreatorzy i realizatorzy zaprezentowanej powyżej polityki mieli proveniencje krajową, polską, nie odpowiada prawdzie.

W tej kwestii niestety niczego nie wiemy na pewno, i niczego nie przesądzimy. Możemy tylko spekulować narażając się na pomówienia o hołdowanie *spiskowej teorii dziejów*.

Tym niemniej – nawet jeśli spiskowe teorie to paranoia, to spiski jednak istnieją. Może więc warto pospekulować. Może warto wziąć pod uwagę, jak wielu tę politykę kreujących

(przynajmniej formalnie), firmujących i realizujących to w większości, kolokwialnie mówiąc, *zasoby archiwalne Instytutu Pamięci Narodowej*. Do czasów pierwszego PiS-u byłoby to:

- dwóch na dwóch prezydentów;
- pięciu na dziesięciu premierów;
- czterech na sześciu ministrów spraw zagranicznych oraz ponadto jeden (z dwóch pozostałych) *lustracyjny rokoszanin*;
- ponadto kilku marszałków sejmu i senatu.

Może warto również wziąć pod rozwagę jak to wyglądało wśród współrealizujących tę politykę naszych wschodnich partnerów. Generalnie – np.: na Białorusi i Ukrainie – wiedza taka jest trudno dostępna i słabo weryfikowalna.

Inaczej to jednak wyglądało na Litwie. Tam coś niecoś wiemy. Przyjrzyjmy się zatem np.: uważanemu za litewski odpowiednik polskiej „Solidarności” ruchowi „Sajudis”. W liczącej 35 osób grupie założycielskiej tego ruchu, oraz w również 35-cioosobowej Radzie Sejmu „Sajudisu” znalazło się co najmniej dwoje pewnych agentów KGB, dwóch bardzo prawdopodobnych oraz jeden funkcjonariusz NKWD. Wszyscy oni byli również posłami w 1990 roku oraz t.zw. *sygnatariuszami* Aktu Restytucji Niepodległego Państwa Litewskiego.

Nieodparcie nasuwa mi się myśl, że to był ten właściwy fundament pod *polsko-litewskie strategiczne partnerstwo* i zarazem pod opresję litewskich Polaków.

Wyobraźni czytelników pozostawiam pytanie:

Kto...?, Jak...?, i W jakim celu...?, grał takimi kartami?

Oraz jeszcze pilniejsze:

Czy gra ta jest kontynuowana obecnie?

Adam Chajewski

07.08.2017.

PRZYPISY:

[1.] – Chajewski Adam, „*Polityka Aktywnej Obecności*”, „Antyk”, 1993, nr 9/10/11/12, str. 65-66.

[2.] – patrz: Chajewski Adam, >>”*Blaski*” i „*cienie*” polskiej polityki „*blisko*” wschodniej<<”, „*Polityka Polska*” nr 4.24, IV.2017., str. 117-118.

[3.] – Chajewski Adam, „*Polityka zmarnowanych szans*”, referat wygłoszony 13.02.1994 r. w Warszawie podczas konferencji zorganizowanej przez Ruch Naprawy i Rozwoju na temat bezpieczeństwa Polski, opublikowany: „*Trzecia Rzeczypospolita*” (miesięcznik Ruchu Trzeciej Rzeczypospolitej) nr4/5, VI/V.1994., str. 1,4,5.

- patrz także: Chajewski Adam, „*Polityka marnotrawionych szans*”, „ABC Adriatyk Bałtyk Morze Czarne”, 2002, nr 1.9, str. 4-10.

[4.] – patrz: „*Raport o sytuacji Polonii i Polaków za granicą. 2009*”, MSZ, Warszawa 2009, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, str. 141-153.

<http://www.msz.gov.pl/resource/90f1454c-8ac1-439a-9e5f-ac2ca6a0f013>; dostęp 07.08.2017.

- „*Raport o sytuacji Polonii i Polaków za granicą. 2012*”, Warszawa 2013,

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, str. 134-149.

<http://www.msz.gov.pl/resource/b8b3993a-2df7-408b-a4c4-20b7ef465d34:JCR>;
dostęp 07.08.2017.

[5.] – patrz: XXI Międzynarodowa Konferencja „Nauka a jakość życia” i Sympozjum „Wileńszczyzna wczoraj, dziś, jutro”; Wilno, 29.06. – 01.07.2017.; referat wygłoszony 30 czerwca: Chajewski Adam, „*Pakt Ribbentrop-Mołotow. U źródeł polskiej polityki wobec wschodnich sąsiadów*”; całość zostanie opublikowana w „*Studium Vilnense*”.

źródła cytatów: – Skubiszewski Krzysztof, „*Przemówienia, oświadczenia, wywiady 1989 – 1993*”, Wydawnictwo INTERPRESS, Warszawa, 1997., str. 16, 71.

[6.] – Rolska Alwida, „*Przed kamerami polskiej TV – O stosunkach polsko-litewskich – rozmowa z Leonem Brodowskim, prezesem Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy*”; Wilno; „*Czerwony Sztandar* nr 281 (11232), 08.12.1089., str. 3.

[7.] – Chajewski Adam, „*Polityka polska wobec Litwy w latach 1989-1994*”, referat wygłoszony 18.09.1995 r. w Lublinie podczas sesji naukowej *Polityka wschodnia III Rzeczypospolitej w latach 1989-1995*, zorganizowanej przez Ośrodek Wschodni Stowarzyszenia Civitas Christiana i Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, opublikowany: „*Arcana*”, 1996, nr 7.71, str. 96-111.

[8.] – Chajewski Adam, „*Alternatywna koncepcja roli mniejszości polskiej w stosunkach dwustronnych na obszarze >>Giedroyciowego<< ULB*”; Referat skierowany do druku, wygłoszony 29.04.2017., w trakcie Międzynarodowej interdyscyplinarnej konferencji naukowej: „*Mniejszości narodowe – szansą, wyzwaniem czy zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego?*”; Wilno 28-30.04.2016.

[9.] – Chajewski Adam, „*Doktryna Aktywnej Obecności. (Tezy o Polskiej Polityce >>Blisko”Wschodniej<<)*”, 12.05.1991., „*Relacje Dokumenty Opinie*” zeszyty wydawane na prawach rękopisu przez Społeczny Ośrodek Dokumentacji i Studiów Wileńszczyzny, V-VI.1991., z. 5/6.17/18, str. 33-44.

[10.] – patrz: <https://wpolityce.pl/historia/349956-dr-szarek-walka-z-ipn-jest-obrona-spuczynny-komunistycznej-i-jest-skazana-na-niepowodzenie-najwyzszy-czas-z-tym-sie-pogodzic>; dostęp: 02.08.2017.

[11.] – patrz: http://www.stefczyk.info/wiadomosci/swiat/polska-zabiega-o-zniesienie-ograniczen-dostepu-do-nauki-jezyka-polskiego,20802315613?utm_source=widget&utm_medium=referral&utm_campaign=artykuly-widget; dostęp: 04.08.2017.

[12.] – patrz: Piasecka Marzena, „*Otwieramy nowy rozdział*”, „*Słowo. Dziennik Katolicki*”, nr 56 (297), 21.03.1994., str. 5.,

[13.] – Cytacka Renata, „*Pismo Forum Rodziców Szkół Polskich Rejonu Solecznickiego*”, 31.12.2015., str. 3, skan w archiwum autora.

[14.] – Spotkanie w redakcji „*Polityki Polskiej*” dotyczące polityki władz RP w stosunku do Polaków na Kresach. 9 marca 2017 r. Wystąpienie Adama Chajewskiego: „*Blaski i cienie polskiej polityki „blisko”wschodniej*”.

[15.] – Chajewski Adam, „*Pakt Ribbentrop-Mołotow – u źródeł polskiej polityki wobec wschodnich sąsiadów*”, streszczenie referatu; 21. International Conference on the Science and Quality of Life and Symposium „*Vilnius region: past, present, future*”, 29 June – 2 July, 2017, Vilnius, Lithuania; „*Studium Vilnense A. precursor*, vol. 15., Vilnius 2017, str.12.

Lech Jęczynek

Europa dwóch prędkości

„Jestem przekonany, że za 50 lat ludzie nie będą już myśleli w kategoriach ojczyzn. Będą myśleli w kategoriach kontynentów i umysły Europejczyków będą zajmowały całkiem inne, możliwe że znacznie większe, zagadnienia”. Słowa te wypowiedział nikt inny, jak hitlerowski minister propagandy Joseph Goebbels 11 września 1940 roku na spotkaniu z czeskimi intelektualistami.

Włochy, które poczuły się wzmocnione wystąpieniem z Unii Wielkiej Brytanii, zorganizowały w sierpniu 2016 roku spotkanie przywódców Włoch, Niemiec i Francji na wyspie Ventotene, na której znajduje się grób Altiero Spinello, autora „Manifestu na rzecz Europy wolnej i zjednoczonej” z roku 1941, propagującego zjednoczoną Europę bez suwerennych państw. To spotkanie trzech rządów bez reszty pomniejszego tałatajstwa to ruch w stronę nagłośnionej (potem wyciszonej) idei Europy dwóch prędkości. W czasach Spinello, w czasach Europy pod niemiecką okupacją, mówiło się o „twardym rdzeniu” i reszcie.

Niemcy muszą się bardzo gimnastykować, żeby unikać terminologii z czasów pierwszego, hitlerowskiego zjednoczenia Europy, co ujawniałoby w sposób zbyt oczywisty kontynuację i tożsamość tego samego projektu imperium europejskiego pod przewodnictwem Niemiec. 1 września 1994 opublikowano dokument, przedstawiający punkt widzenia CDU (partii, z której wywodził się kanclerz Kohl) na przyszłość Europy. Dominowały w nim dwie główne idee:

1. niemieckim priorytetem jest rozszerzenie Unii na Wschód;

2. utworzenie na bazie Niemiec „twardego jądra” z odpowiednimi instytucjami. To termin wprost z języka hitlerowskich zjednoczycieli Europy.

Unia Europejska, Rzesza Europejska, jak się zwał, tak się zwał. A co oznacza Europa dwóch prędkości? Tyle, że rządy trzech największych państw chcą możliwie szybko, bez komplikacji ze strony pogardzanego planktonu, zjednoczyć się w jedno coś. Raczej nie państwo, może cesarstwo, co Niemcy już przerabiali. Daj im Boże dziecko, choć jak na razie Włochy mają kłopoty ze zjednoczeniem Północy z Południem, które miało inną historię i jakoś nie może się od niej uwolnić. Niektórzy specjaliści twierdzą, że wiele problemów by znikło, gdyby Południe miało swoją odrębną walutę.

Niemieckie (hitlerowskie) plany budowy zjednoczonej Europy omawia Hermann Rausching w książce „Rewolucja nihilizmu” (przełożył Stanisław Łukomski. NOW, 1996. Str. 206 i nast.) Poglądy geopolityków niemieckich (Haushofer i inni) mówiły o nieuniknionym biegu historii: „Dla izolowanych, zastygłych we własnym indywidualizmie małych

państw istnieje, jak widać, jedna tylko droga ratunku; pozorna samodzielność w łonie jakiegoś obejmującego wielkie przestrzenie zespołu pod wodzą jednego z wielkich państw, okupiona przyjazną opieką i poddaństwem”.

Z tego przekonania wynikały plany, w których mowa już o nierównoprawności, którą dziś nazywa się „dwoma prędkościami”.

„Sprawdzianem zdolności do tworzenia prawdziwych, nowych, obejmujących wielkie przestrzenie formacji imperialnych będzie siła wielkiego państwa, zezwalająca mu, żeby oplotło wokół siebie jako trzonu wieniec państw, których będzie bronić i którym będzie przewodzić... W owej sferze nie ma swobodnego rozwoju, zespolenia federacyjnego, lecz tylko rdzeń potęgi jako ośrodek hegemonii i wieniec podrzędnych narodów wokół niego...”

Tamte Niemcy mówiły szczerze, dzisiejsze Niemcy kontynuują po dziesięcioleciach tę samą politykę metodą faktów dokonanych, uważając, żeby ich język nie przypominał tamtego, z poprzedniej, nieudanej próby: „Europa będzie wówczas stanowiła jedność, ale tylko z niezniszczalnym jądrem woli w postaci niemieckiej polaci Europy... koncepcja ta jest po prostu przewyższeniem zasady państwa narodowego przez nową zasadę ładu imperialistycznego”. (Dziś powiedziano by globalistycznego. Przyp. L.J.)

Nauczone przykrym doświadczeniem Niemcy zrezygnowały z buńczuczności języka, realizując te same cele w przebraniu Unii Europejskiej, najchętniej w ogóle nie wspominając o celu całego przedsięwzięcia. Polaków i przedstawicieli innych mniejszych narodów zachęcano, żeby czym prędzej wsiadali do pociągu, w zamieszaniu nie wspominając, dokąd ten pociąg jedzie.

Geopolityka znajduje potwierdzenie swojej sensowności w rozważaniach Haushofera na temat przyszłości Ukrainy, wyprzedzających wydarzenia o prawie sto lat. [Przeciwieństwem są tu uroszczenia pseudonauki ekonomii, która świetnie rozważa wydarzenie przeszłe, ale nie potrafi przewidzieć najbliższego kryzysu.] Pisał on o kwestii „Ukraińców, Rusinów, mieszkańców Małorosji lub Rusi Czerwonej. Znaczeniem swym przypomina to znaczenie Polski, podzielonej niegdyś między Rosję, Austro-Węgry i Prusy... Albowiem 40 milionów Ukraińców, których część zniknęła już w Polsce, Czechosłowacji i Rumunii [nie na długo, jak się okazało], większość zaś pędzi pozornie samoistny żywot w obrębie Związku Sowieckiego, odegra jeszcze rolę w pewnych odległych planach wielkich mocarstw, godzących w Sowiety.”

To zapowiedź Majdanów, ale dalej Haushofer formułuje myśl ważną dla Polski: „Kto chce oddalić na stałe niebezpieczeństwo, zagrażające Niemcom ze strony Rosji, ten musi kierować uwagę ku Ukrainie, aby ją przebudzić do samodzielności; pod tym warunkiem wszakże, iż w żadnej postaci nie połączy się ona z Polską”.

Ciekawe, czy nasi politycy, z takim zapalem podkarmiający banderowską Ukrainę kosztem naszych dzieci, zdają sobie sprawę, jak te zaloty muszą denerwować Niemców.

Dalej Haushofer omawia plan, który udało się po latach zrealizować w pełni: „Potem rozbiór Jugosławii, która znów zostanie przykrojona do granic starego jądra małoserbskiego,

a której poszczególne części przypadną z powrotem Niemcom i Węgrom, bądź też uzyskają pozorną samodzielność w postaci protektoratu niemiecko-węgierskiego (Chorwacja)”.

„W znacznie późniejszym rozwoju ekspansja na Wschód posuwać się będzie naprzód, aby spowodować rozbiór Rosji Sowieckiej i włączyć w obręb panowania niemieckiego poszczególne jej człony, które uzyskają samodzielność: Ukrainę, niemiecką Republikę Nadwołżańską (tymczasem znikła z mapy), Krym, Gruzję i inne”.

Widzimy, że plany pozostają, natomiast Niemcy stały się mocarstwem drugorzędnym i plany ich przejęły Stany Zjednoczone, które wciąż uważają, że są wszechwładne i zastanawiają się, czy najpierw zaatakować Rosję, czy Chiny.

Rauschning omawia tradycyjne plany niemieckie, w których „niemieccy wielcy posiadacze ziemscy uprawialiby ziemię, posługując się robotnikami obcej rasy”. Dalej wspomina, że to samo mogłoby się odnosić do wielkich zakładów przemysłowych, w których Niemcy zajmowałiby tylko stanowiska kierownicze. Czasy się zmieniły i dziś ta rola kierownicza obejmuje będące wtedy w załączku wielkie sieci handlowe i lokalną prasę. Ten podbój nie musiałby się dokonywać drogą przemocy, państwa podrzędne mogłyby wyrzec się praw politycznych w zamian za korzyści gospodarcze – i to chyba jest przypadek dzisiejszej Polski.

W tych rozważaniach pojawia się hasło „całkowicie nowego ładu światowego” a więc tego, co amerykańscy kontynuatorzy niemieckiej myśli geopolitycznej nazywają New World Order.

Rauschning nie zgadza się z Goebbelsem co do miejsca Polski i przy okazji ujawnia myślenie o niej niegdyś Niemców a dziś Amerykanów.

„Skoro polityka niemiecka nadal pragnęła rozwijać stare swe wpływy na Wschodzie, powinna dążyć poważnie do pozyskania sobie Polski, aby zapobiec powstaniu pomiędzy Rosją a Niemcami wielkiego, kierowanego przez Słowian bloku, który liczbą ludności dorównywałby Niemcom, a może by nawet ich przewyższył”.

I to wyjaśnia całą naszą sytuację, zależność od Stanów Zjednoczonych, które zastąpiły Niemcy (Niemcy wielce się dąsają, że ponad ich głowami wybraliśmy silniejszego hegemona) i ciągłą, nieuzasadnioną propagandę antyrosyjską.

Nieustające ataki polskich polityków i dziennikarzy na Rosję zawsze były komuś na rękę. Oto, co pisał Fryderyk II do swojego ambasadora w Warszawie: „Gdy Rosja jest niezadowolona z Polaków, to nam może to tylko dogadzać. Stajemy się przez to niezbędnymi dla tego państwa. Życzyć więc bardzo należy, aby tam u was ludzie robili wszystkie możliwe głupstwa, aby drażnili Rosję i ściągali na siebie jej zły humor”.

Wtedy było to na rękę Prusom, dziś, kiedy Stany Zjednoczone przejęły politykę niemiecką, służy to amerykańskiej polityce kopania rowu między Rosją a Niemcami. To obawa przed jakimkolwiek związkiem między tymi dwoma państwami skłoniła Stany do udziału w obu wojnach światowych.

A Polska? Chętnie odgrywa rolę tego rowu, a przecież nikt nie oczekuje, żeby rów wyrażał jakieś swoje zdanie. To by było nawet śmieszne.

Lech Jęczmyk, rocznik 1936, absolwent Wydziału Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zawsze z książką: bibliotekarz w Państwowym Instytucie Spraw Międzynarodowych, kierownik redakcji literatur słowiańskich w P.W. „Iskry”, kierownik redakcji anglo-amerykańskiej w S.W. „Czytelnik”, redaktor miesięcznika „Fantastyka”, krótko zastępca redaktora naczelnego w tygodniku „Spotkania”. Stypendia Min. Kultury w Moskwie, British Council w Londynie i Departamentu Stanu w Iowa City (International Writers Programme). W podziemiu członek Ruchu Politycznego „Wyzwolenie”, potem Polskiej Partii Niepodległościowej. Odznaczony srebrnym orderem „Gloria Artis” oraz Laurem Stowarzyszenia Dziennikarzy. Przetłumaczył przeszło 30 powieści i tomów opowiadań, wydał kilkanaście antologii’. Za rządu Jana Olszewskiego krótko (ponad 3 miesiące) kierownik Działu Publicystyki w I Programie TVP.

Katolik nienowoczesny. Podąża pod prąd w kierunku źródła.

Romuald Starosielec

Europa wobec uchodźców – nowy wektor rozwoju

Problem uchodźców rozpala umysły dzisiejszych Europejczyków, dzieląc ich na dwa przeciwstawne obozy; tych, którzy widzą w uchodźcach ludzi, którym należy otworzyć szeroko drzwi, ponieważ potrzebują pomocy i tych, którzy widzą w nich zagrożenie dla własnej tożsamości czy nawet bytu, dlatego stawiają mury obronne i zasieki z drutu kolczastego. Jedni i drudzy, dostrzegając wagę problemu, zdają się nie dostrzegać źródeł zjawiska, przypominają lekarzy, którzy leczą tylko objawy choroby nie dotykając jej przyczyn. Aplikują pacjentowi lekarstwa, które nie mogą mu pomóc, zaś w rezultacie skutki uboczne tej terapii jeszcze bardziej osłabiają chory organizm. Europa jest dzisiaj chorym organizmem i, co najbardziej tragiczne, jej mieszkańcy w zdecydowanej większości nie są świadomi choroby.

Są bowiem dwie społeczne przyczyny najazdu uchodźców na Europę; wojna i ubóstwo. Za oba te zjawiska w dużym stopniu ponosi odpowiedzialność Europa Zachodnia. To kraje Zachodu rozpały wojnę w Iraku, Libii i Syrii – państwach, przez które teraz przenika do Europy główna fala uchodźców. One również ponoszą odpowiedzialność za skutki kolonializmu i neokolonializmu, jakiemu przez wieki poddane były kraje Afryki, Bliskiego Wschodu i Azji. Do realnej, praktycznej odpowiedzialności poczuwają się jednostki, organizacje społeczne i Kościoły, niosąc pomoc na miarę swych możliwości. Państwa i narody – główni beneficjenci kolonializmu – nie tylko nie poczuwają się do elementarnej odpowiedzialności, która może być fundamentem nowych relacji Europy ze światem postkolonialnym i początkiem zdrowych relacji, ale niosą do swych dawnych kolonii polityczną korupcję, ekonomiczne podporządkowanie, a w razie przejawów nieposłuszeństwa, organizują „kolorowe rewolucje” lub stosują jawną przemoc i otwartą agresję. To zjawisko w zasadzie nie powinno dziwić świadomych swej najnowszej historii Europejczyków. Egoizm i nieuzasadnione poczucie wyższości cechuje zachodnioeuropejskie państwa od wieków. To co dziwi i zastanawia to fakt, że nie ma w Europie poważnej dyskusji nad tym, jak przezwyciężyć skutki kolonializmu, jak zakończyć wojny, jak odbudować zniszczone kraje, gdyż tylko to może skutecznie i na trwałe zatrzymać napływ uchodźców.

Europa nie ma alternatywy – albo, w poczuciu odpowiedzialności również za swą przyszłość, uruchomi proces przezwycięzania postkolonialnych patologii i współczesnych form jawnej i ukrytej agresji, albo w perspektywie dwóch pokoleń ulegnie zalewowi emi-

grantów, tracąc swą tożsamość i cywilizacyjny dorobek. Nawet najwyższe mury i najszerze zasięgi z drutu kolczastego nie pomogą, znamy to dobrze z historii, jeżeli Europa nie zmieni swego stosunku do byłych kolonii. Nawet największy humanitaryzm w stosunku do uchodźców niczego nie zmieni, jeżeli sami Europejczycy nadal będą odwracać się od swoich korzeni, na których wyrosli, i z których przez wieki czerpali swą kulturową i duchową moc. Świadomość tej elementarnej prawdy jest podstawą odrodzenia Europy, bez niej wszystkie obronne, czy humanitarne wysiłki będą daremne, odsuną tylko w czasie to, co będzie nieuniknione; uchodźcy wejdą w europejską, demograficzną i duchową próżnię i zmienią oblicze naszej ziemi.

Fali imigracji ostatnich lat towarzyszy nieznanе dotąd zjawisko; nie tylko ekstremiści islamscy, ale również przeciętni wyznawcy islamu patrzą na dzisiejszą Europę jak na ziemię, którą przejmą na mocy przekonania o własnej religijnej i demograficznej wyższości. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, żyli oni w cieniu Europy, pod przemożnym wpływem jej siły, kultury, zdobyczy technicznych. Widzieli w Europejczykach tężyzną duchową, jaką posiadają ludzie gotowi do największych poświęceń dla swych przekonań i ojczyzn. Chrześcijaństwo miało jeszcze swęj moc przekonywania a społeczne i indywidualne obyczaje swój urok wart naśladowania. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Islamski imigrant, patrzący na dzisiejszy Zachód, wyzbył się dawnych kulturowych kompleksów, dostrzega, że dzisiejsza Europa niewiele ma mu do zaoferowania z tych wartości, które mógłby wysoko cenić. Obecnie ekstremiści islamscy atakują Zachód nie dlatego, że jest Zachodem, lecz z powodu tego, czym on jest dzisiaj. Jest to zjawisko fundamentalne, które kształtuje i będzie wyznaczało stosunek świata islamu do Europy, a z którego my na ogół nie zdajemy sobie sprawy. Oni patrzą na Europę jak na kontynent pogrążony w kryzysie o takiej skali, że zatrzymanie czy cofnięcie tego procesu staje się niemożliwe. Nie widzą zjawisk ani nawet przesłanek, aby Europa mogła realnie odrodzić się na miarę swęj dawnej świetności. Na tym tle ich własne surowe zasady jawią się im jak ozdrowieńcza alternatywa dla upadającej Europy z jej relatywizmem moralnym, dekadencją kulturą i pustymi kościołami.

Żyjemy w epoce koszmarnego wyścigu. Islamscy przybysze śpieszą budować swoje meczety a post chrześcijańscy Europejczycy bez żalu burzą swe opustoszałe kościoły. Nienawiść zachodnich Europejczyków do własnej przeszłości jest w istocie nienawiścią do samych siebie. To czym Europejczycy są obecnie, niezależnie od skali moralnego i duchowego upadku, wzięło swój początek z ducha chrześcijańskiego personalizmu, swobody przekonań, nieskrępowanego sumienia i wolności religijnej. To właściwie rozumiana wolność i niepowtarzalność każdej osoby ludzkiej stanowiła o cywilizacyjnej przewadze Europy nad innymi kontynentami. Ludzie Zachodu nadużyli swęj wolności, nadużywają jej każdego dnia, nie przyznając się przy tym, że to ich prawo wyboru, rozumianego również w kategoriach wyboru dobra lub zła, dała im kultura antyczna i religia chrześcijańska. Nienawiść do chrześcijaństwa jest również nienawiścią wobec siebie. Nie da się rozdzielić europejskiej tradycji od chrześcijaństwa, tak jak nie da się rozdzielić ducha wolności od

chrześcijańskiego personalizizmu. Nienawiść do chrześcijaństwa, która stała się początkiem upadku Europy Zachodniej, jest w swej istocie buntem dziecka przeciwko własnej matce, buntem człowieka wobec praw natury, istnym samobójstwem w wymiarze historycznym i cywilizacyjnym. Można być niewierzącym, jest to przecież sfera łaski bożej, woli człowieka, rozumu i uczuć, jednak nie można walczyć z wiarą, która ukształtowała Europę, weszła w nasz kulturowy kod genetyczny, która nas jednoczy ponad podziałami, pozwala być „jednością w różnorodności”, która samym swym istnieniem wyznacza poziom moralnej doskonałości. Odrzucenie zasad wojującego ateizmu i zaplanowanego niszczenia chrześcijaństwa to niezbędny krok w kierunku odrodzenia Europy. Europejczyk może być niewierzący, nie może jednak walczyć z chrześcijaństwem, ponieważ walczy z tym, co go ukształtowało, co go konstytuuje w skali indywidualnej i całego świata, co jest fundamentem jego tożsamości, rozwoju i bezpieczeństwa.

Brakuje w Europie postawy, która w ostatnich latach wykształciła się w Rosji. Niewierzący Rosjanin często określa siebie jako „prawosławnyj ateist”. Pozorny brak logiki w tym określeniu jest tłumaczony następująco; jestem ateistą, ale nie walczę z prawosławiem. Więcej, bronię prawosławia przed atakami, ponieważ ono wyraża rosyjskość, integruje wspólnotę narodową, wyznacza kierunki jej duchowego rozwoju również w wymiarze eschatologicznym. Mogę być niewierzącym, natomiast nie mogę występować przeciwko temu, co stanowi istotę rosyjskości. Tego typu postaw brakuje w Europie Zachodniej, zaczyna brakować także w Polsce. Wojujący, agresywny ateizm nielicznych w połączeniu z obojętnością religijną większości ruguje chrześcijaństwo z kolejnych przestrzeni życia; indywidualnego, rodzinnego, społecznego, kulturowego, ekonomicznego i politycznego. Dzisiejszy Europejczyk w wymiarze intelektualnym i duchowym redukuje się do poziomu bezkrytycznego konsumenta dóbr materialnych post chrześcijańskiego świata. Dziedzic wspaniałej tradycji, odwraca się od niej, zaprzecza jej epokowemu znaczeniu, poszukuje żywiołowo nowych treści potrzebnych dla swej beztroskiej egzystencji „tu i teraz”. Przez swe destrukcyjne działania przypomina człowieka podcinającego gałąź, na której siedzi.

Starcie Europy ze światem islamu rozstrzygnie się również na płaszczyźnie cywilizacyjnej. Dzisiejsza Europa jest w coraz większym stopniu mieszkanką wielu cywilizacji, z których łacińska, ta, której jesteśmy pełnoprawnymi spadkobiercami, znajduje się w zdecydowanym odwrocie. Mieszanka wielu sprzecznych se sobą cywilizacji tworzy niezdolną do rozwoju hybrydę, gdzie, chcąc pogodzić różne systemy wartości, relatywizuje się normy moralne, niszczy religię, kształci raczej posłusznych konsumentów a nie walecznych rycerzy. Europa, aby przetrwać potrzebuje powrotu do etosu rycerskiego, którego dwa elementy są dzisiaj kluczowe; szacunek dla kobiet i cnota męstwa. Pozycja kobiety w islamie, jakkolwiek różniąca się w poszczególnych jego odłamach i nieakceptowalna przez europejczyków, jest trwale określona przez tradycję. Pozycja kobiety w kulturze europejskiej, jakby na przekór intensywnej emancypacji, radykalnie się zmieniła. Kobieta przestała być istotą wyjątkową, przez swój dar niesienia życia oraz zespół cech, które będąc dla mężczyzn ich

przeciwieństwem, stały się obiektem podziwu i uwielbienia. Obecnie kobiecość w kulturze Zachodu stała się czymś zwyczajnym, codziennym, można powiedzieć trywialnym. A za tym poszła fala degradacji kobiety do roli towaru w reklamie i marketingu i w show i sex biznesie. W oczach islamskiego imigranta takie traktowanie Europejek, jest godnym pogardy przejawem upadku zarówno samych kobiet jak i mężczyzn, którzy na takie postępowanie pozwalają. Spogląda on dzisiaj na Europę z pozycji moralnej wyższości. Europa tym samym traci możliwość jego cywilizacyjnej asymilacji, niezależnie od czynionych prób w innych obszarach życia. Imigrant staje się wrogiem narodu i państwa swego osiedlenia, wykorzystuje wszelkie sposoby by zachować swą odrębność, wzmocnić swą pozycję wobec tubylców, bezwzględnie realizuje projekt uzyskania przewagi demograficznej, wykorzystując do tego systemy socjalne, jakie to państwo mu ofiaruje. Czuje się coraz pewniej, bo w swych działaniach nie napotyka oporu, tubylczy mężczyźni w jego oczach są bojaźliwi, więc godni pogardy. Cnota męstwa będzie więc w Europie w coraz większej cenie. Męstwo w etosie rycerskim oznacza bezinteresowne poświęcenie siebie dla spraw wiary, ojczyzny, honoru, obrony słabszych i niesłusznie uciskanych przed silniejszymi. Walczy w imię wartości, które sam wyznaje, które wyznają jego bliscy i które są fundamentem ładu społecznego i międzynarodowego. W etosie rycerskim istniała także etyka walki; nieatakowanie słabszych, walka twarzą w twarz, szacunek dla przeciwnika kierującego się podobnym kodeksem honorowym. Akty terroryzmu na ulicach zachodnich miast nie mają nic wspólnego z honorem, jednak Zachód w swych działaniach zbrojnych rozumia się całkowicie z etosem rycerskim. Wymierza sprawiedliwość bez sądu, nie daje oskarżonemu możliwości obrony. Zasady, które legły u podstaw tworzenia się Europy, są nagminnie deptane. Agresja na suwerenne państwa, będące uznanymi podmiotami prawa międzynarodowego, pod hasłem obrony własnych lub grupowych partykularnych interesów, często pod pretekstem sfingowanych zarzutów sprawia, że w oczach świata Zachód jest postrzegany jako nikczemny, pozbawiony honoru agresor, stosujący podwójne normy moralne. Nie ma w tej walce nic z etosu rycerskiego, jeżeli kieruje się dronami bojowymi z bezpiecznych siedzib oddalonych o tysiące kilometrów od celu, w którym bombarduje się dom pełen cywilów, by zabić rzeczywistego lub domniemanego terrorystę, któremu wcześniej nie udowodniono winy i nie dano możliwości obrony. Dysproporcja w poziomie uzbrojenia, łatwość i bezkarność jej stosowania, przyczynia się do demoralizacji tych, którzy ją stosują. Zachód tej wojny nie wygra, nie można bowiem wygrać w niesłusznej sprawie ze zdesperowanymi narodami walczącymi w obronie swych praw. Im większą spiralę agresji się rozpęta, tym opór będzie silniejszy a zasiana nienawiść przechowywana przez pokolenia. Zachód zapomniał, że prawdziwie zwycięża nie ten, kto pierwszy dobywa oręża lecz ten, kto będąc silniejszym, w swych relacjach z sąsiadami pierwszy wprowadzi politykę otwartości, współpracy i uzgadniania swych interesów z interesami innych w sposób bezkonfliktowy, respektując przy tym ich prawo do własnego kształtowania swego życia religijnego, społecznego i politycznego.

Są tacy, którzy dostrzegając nieuchronność starcia cywilizacyjnego między światem islamu a Europą wieszczą starcie tych dwóch światów na poziomie apokaliptycznym, gdzie bezwzględna wojna ma przynieść całkowite zwycięstwo jednej i unicestwienie drugiej strony. Ma to być wojna totalna. Ludzie ci tworzą niezwykle niebezpieczną sektę, gdyż swym agresywnym działaniami pragną nadać wymiar quasi religijny. Jakikolwiek zbrojne rozstrzygnięcie konfliktu jest proste do przewidzenia. Zachód dysponuje tak miazdząca przewagą militarną i technologiczną, że każda tego typu wojna zakończy się jego zwycięstwem przy jednocześnie niewyobrażalnych stratach ludzkich innych krajów. Pokusa, by do tego doprowadzić, jest w tych kręgach bardzo silna, tym silniejsza im większe są porażki Zachodu w rywalizacji moralnej i demograficznej. Jeżeli do tego dojdzie, będzie to oznaczało nie tylko ogromnisz zniszczeń w państwach islamskich, będzie to również klęską moralną Zachodu, klęską wartości, na których on wyrósł i degradacją systemu życia społecznego. Zwycięstwo w tak nierównej walce pogłębi jeszcze nieuzasadnione przekonanie o własnej wyższości, utrwali wszystkie dotychczasowe patologie, wzmocni przekonanie, że Zachód jest na najlepszej drodze do dalszego społecznego, ekonomicznego i duchowego rozwoju. Zwycięstwo w niesprawiedliwej wojnie nigdy w dłuższej perspektywie nie przynosi dobrych owoców. Każda wojna niesie ze sobą pierwiastek moralnego rozkładu, łamie lub drastycznie obniża poziom etyczny a wojna totalna, prowadzona metodami całkowitego zniszczenia wroga, rozumianego jako wrogie całe narody czy religie, pociągnie za sobą upadek moralny zachodniej klasy politycznej i będzie stanowiło podstawę do totalizacji postaw w ich życiu wewnętrznym. Z tak rozumianej wojny zwycięski Zachód wyjdzie de facto pokonany, przegra bowiem swe własne wartości, swą wolność, na której wyrósł. Tak rozumiane zwycięstwo nad słabym militarnie przeciwnikiem będzie miało w sobie załączek przyszłych moralnych i cywilizacyjnych klęsk.

Prawdziwie zwycięska wojna ze światem islamu może rozstrzygnąć się wyłącznie na płaszczyźnie cywilizacyjnej. Oznacza to konieczność całkowitej zmiany wektora rozwoju Europy. Koniecznością dziejową staje się odrzucenie europejskiego egocentryzmu i narodowych egoizmów, przewyciężenie ideologicznej i militarnej agresji wyrosłej z nieuzasadnionego poczucia wyższości a skupienie się na dziele odbudowy relacji z krajami trzeciego świata na nowych zasadach. Naprawa dawnych i obecnych krzywd wyrządzonych temu światu jest podstawą nowych relacji. Będzie nią także polityka zmierzająca do zasypywania różnic w poziomie ekonomicznego rozwoju, zrównoważenia poziomów życia pomiędzy trzecim światem a Europą. Jest to nie tylko elementarny wymóg sprawiedliwości historycznej, jest to również wymóg związany z dzisiejszym bezpieczeństwem Europy. Nie da się bowiem w inny sposób trwale i pokojowo powstrzymać napływu do niej kolejnych fal uchodźców. Żyjemy tak, jakbyśmy nie rozumieli, że w bieżącym wieku nastąpi zasadnicza zmiana proporcji demograficznych pomiędzy Europą a otaczającymi ją regionami. Widać to dobitnie na przykładzie samej tylko Afryki. W 1950 roku Afryka liczyła 229 milionów mieszkańców, Europa 549 milionów. Już w roku 1995 wielkość populacji się wyrówna-

ła a w roku 2015 Afryka miała 61% więcej mieszkańców niż Europa. Przy utrzymaniu dotychczasowego tempa przyrostu naturalnego w 2100 roku Europa będzie liczyła 653 miliony ludzi a Afryka 4,5 miliarda! Przy utrzymaniu dotychczasowych różnic w rozwoju ekonomicznym Europy i Afryki, żadne ograniczenia, mury czy zasieki z drutu kolczastego nie powstrzymają od napływu emigrantów z Afryki do Europy. Zrównoważenie rozwoju Zachodu i krajów trzeciego świata powinno postępować równoległe z odrodzeniem duchowym Europy. Europa, aby istnieć i kontynuować swą tradycję, musi odzyskać moc cywilizacyjnej asymilacji imigrantów. Bez tego zginie w przeciągu trzech pokoleń, stanie się dla przyszłych mieszkańców Europy wspomnieniem porównywalnym z pradawną Atlantydą. Odrodzenie duchowe Europy to proces wymagający czasu i zaistnienia twórczych katalizatorów wzmacniających szybkość tego procesu. Pytanie, jakie powinny to być katalizatory należy do najistotniejszych pytań stojących przed nowymi europejskimi elitami. Nie ulega jednak wątpliwości, że przyszłość Europy zależy równoległe od procesu ekonomicznego równoważenia jej rozwoju z rozwojem państw trzeciego świata i od odzyskania atrakcyjności kulturowej i duchowej w tym stopniu, aby mogła cywilizacyjnie asymilować obecnych i przyszłych imigrantów.

Jest jeszcze jeden istotny czynnik decydujący o przyszłości Europy. Jest pewne, że tego wielkiego dzieła zmiany swojego wektora rozwoju Europa nie dokona, gdy będzie wewnętrznie rozbita, targana narodowymi egoizmami czy podziałami na „różne prędkości”. Temu dziełu może podołać tylko Europa zjednoczona na gruncie wspólnych wartości, zespolona w swych porażkach i zwycięstwach, solidarna w dźwiganie ciężaru niezbędnych zmian. Dzisiejsza Unia Europejska jest niedoskonałą, prymitywnie biurokratyczną i duchowo pokraczną formą jedności europejskiej. Jednak nie powinniśmy przykładać ręki do jej dalszej dezintegracji, gdyż nie wypracowaliśmy jak dotąd żadnej realnej alternatywy. Jeżeli jednak nie zdołamy przekształcić jej w skuteczne narzędzie ekonomicznego i cywilizacyjnego odrodzenia Europy, powinniśmy już teraz poważnie myśleć o tym, jaki kształt ma przybrać Europa, gdy Unia Europejska ulegnie całkowitej dekompozycji. Jest to sprawa absolutnie niezbędna z punktu widzenia wyzwania, jakie stoją przed Europą w tym również wyzwania związanych z napływem imigrantów.

Europa potrzebuje jedności duchowej. Nie da jej żadna doktryna polityczna, ideologia czy szkoła filozoficzna. Tę jedność może Europie zapewnić tylko chrześcijaństwo, bo z niego wyrosła, weszła w wiek dojrzały i odcisnęła trwałe ślad na rozwoju świata. Podważanie tej prawdy jest niszczeniem Europy. Naiwnością jest sądzić, że odrodzenie Europy jest możliwe w oparciu o tworzone odgórnie ideologie, doktryny, programy. Naszym zadaniem jest odkryć na nowo duchowy dorobek Europy, odczytać jego przesłanie wobec dzisiejszych zagrożeń i przyszłych wyzwań, wyzwolić na nowo twórczy potencjał drzemący w naszym kontynencie.

Ks. Maciej Knuth

SCITUM: Wstęp oraz Czasy przedfilozoficzne

*To bardzo znamienity stan dla filozofa: dziwić się.
Nie ma innego początku filozofii, jak to właśnie.*
(Platon)

Walka z Kościołem katolickim, wspieranie homoseksualnych czy genderowych idei, zła polityka imigracyjna, przeciwstawianie się wartościom rodzinnym, niemoralne życie, a przede wszystkim niemal powszechna zgoda wśród ludzi na te procedury – to wszystko budzi w nas nie tylko oburzenie, ale, przy głębszej refleksji, także pełne troski pytanie „Dlaczego?!”. Podanie odpowiedzi wówczas okazuje się już nie tak proste jak postawienie problemu. Tę „dziwną” metodykę zwykle tłumaczy się jednak głupotą, konsekwencją odejścia od Boga czy winą edukacji. Strona zainteresowana zaś, wręcz przeciwnie, szczyci się swoim postępowaniem i jego źródeł upatruje w swoim postępie, zwróceniu się ku człowiekowi oraz umiłowaniu wolności.

Jaka zatem jest prawda? Czy nasi sąsiedzi z zachodu mają naprawdę bardziej rozwinięte mózgi od ludzi na wschód od Odry? A może to nasz narząd intelektu ostał się, kiedy to na zachodzie począł się on zmniejszać i chorować? Czy mózg Arystotelesa sprzed ponad dwóch tysięcy lat lub św. Tomasza z Akwinu przed ośmiu wieków był mniejszy, słabszy od mózgu przeciętnego współczesnego mieszkańca Europy, który absolutnie się z poglądami tych dwóch postaci nie zgadza? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania twierdząco, gdyż brak ku temu jakichkolwiek dowodów. Gdzie więc tkwi ta różnica między feministką walczącą o prawo do zabijania ludzi, tzn. aborcję, a katolikiem broniącym prawa do życia każdego człowieka? Otóż odpowiedź, niezwykle prosta, brzmi: w myśleniu!

Odkrywając znaczenie myślenia, które wpływa na nasze postawy i poglądy, powoli zbliżamy się już do finału wstępu, który utoruje drogę dla nowej serii artykułów Scitum. Nim to nastąpi, należy jednak poszukać odpowiedzi na pytanie skąd pochodzi owo myślenie, jak się kształtuje, co lub kto sprawia, że myślimy w sposób ten a nie inny. Rozwiązanie tej zagadki, nie mniej prostej od poprzedniej, brzmi: szkoła, a właściwie ci, którzy są za nią odpowiedzialni.

Zatem szkoła, której celem jest uczenie oraz wychowywanie, spełnia swoje funkcje kształtując przy tym nasze myślenie. Ale należałoby zapytać: w jaki sposób? Tutaj rozwiązanie nie jest już tak proste jak przy poprzednich pytaniach, gdyż odpowiedzią jest interpretacja, zarówno słów, jak i rzeczywistości. Mianowicie od tego w jaki sposób przedstawi się młodemu studentowi lub nieco młodszemu uczniowi pojęcie prawdy, wolności, tolerancji, itp. zależy jego ustosunkowanie wobec różnych zjawisk, z którymi spotkają w swoim życiu.

A czym jest owa interpretacja rzeczywistości? Otóż ja nazwałbym ją po prostu filozofią. To ona właśnie, jako nauka, rodzi się ze zdziwienia, z próby odpowiedzi na pytanie kim jestem, jaki jest sens mojego życia, jak istnieje lub powstał świat, czym są miłość, wolność, poznanie. A zatem definicję filozofii można by ująć i streścić jako naukę pragnącą nieustannie odpowiadać na pytanie „jak to?”

Jak się ma jednak filozofia ze swoim pytaniem „jak to?” wobec przywołanych na samym początku artykułu kwestii? Otóż zestawienie tych stanowisk z najbardziej kluczowym dla filozofii pytaniem pozwala odnaleźć źródło tego myślenia poprzez przebycie drogi od myślącej osoby, przez szkołę, interpretowanie, filozofię, aż do uniwersytetu, który jest inkubatorem wszelkich filozofii, a tym samym inkubatorem naszego myślenia.

U nie-filozofa to ostatnie stwierdzenie powinno spowodować co najmniej lekkie zdziwienie, jeśli nie oburzenie, bo przecież jak wolnego człowieka, który może myśleć, o czym chce, miałby formować jakiś uniwersytet. I to właśnie chcę wytłumaczyć w serii artykułów Scitum, jest to jednym z moich celów towarzyszących. Głównym zaś jest wyjaśnienie filozofii postmodernistycznej i wskazanie jak bardzo przesiąknęliśmy jej myśleniem.

Nie mogę jednak mówić o modernizmie w oderwaniu od poprzedzających ją systemów filozoficznych, gdyż wyrósł on jako kontra wobec poprzedzających ją filozofii. Stąd też, dążąc do zrozumienia filozofii nam współczesnej, proponuję przeanalizować wszystkie najistotniejsze kierunki filozoficzne począwszy od starożytnej Grecji. Może się, oczywiście, pojawić zarzut, iż jest rzeczą absolutnie niepotrzebną wykładanie całej historii filozofii, jednakże mam nadzieję, że tezę tę odeprze właśnie stanowisko modernistów, bowiem uważają oni tak samo – filozofii należy uczyć od tej nowożytnej – a konsekwencje tego zdania możemy obserwować wokoło siebie.

Nauczanie komplementarne filozofii pozwala wypracować własne myślenie, uzbroić się w filozoficzny aparat pojęciowy, a także zrozumieć szereg procesów historycznych. Tak ugruntowana wiedza przyczyni się do lepszego zrozumienia otaczającej nas rzeczywistości, da nam szansę wyjścia poza słowa wypowiedane przez najważniejszych tego świata, kosztem wejścia w ich myślenie.

Tu więc tkwi sens serii artykułów zatytułowanych Scitum, które z łaciny na język polski można oddać jako „aby wiedzieć”. A zatem, aby wiedzieć, inaugurujemy dzie-

ło obliczone nie na miesiące, ale lata, w których, mam nadzieję, będzie ukazywała się *Polityka Polska*, a ja będę miał wciąż możliwość comiesięcznego pisania, ażeby ostatecznie dojść do przywołanego wyżej postmodernizmu, aby wiedzieć.

Zanim to jednak nastąpi, odbędziemy podróż liczącą niemal trzy tysiące lat, która zabierze nas m.in. do Jonii, Kaliningradu, dzisiejszych Niemiec, nad Wyspy Brytyjskie czy tereny arabskie. Bardzo ważnym punktem w opracowaniach będzie dla mnie nie tyle historyczne przedstawienie poglądów danego filozofa, ale przedstawienie kontekstu, w którym się znajdował, a przede wszystkim wejście w jego umysł, celem zrozumienia jego poglądów.

A zatem czas zacząć.

Prawdziwa wiedza to znajomość przyczyn. (Arystoteles)

Filozofia, jako nauka starająca się nieustannie odpowiadać na pytanie „jak to?“, narodziła się w starożytnej Grecji w VII wieku przed przyjsciem na świat Chrystusa. Żartobliwie tłumaczy się, że powstała ona akurat w południowej części Półwyspu Bałkańskiego, bo jego mieszkańcy mieli dużo wolnego czasu i cudowne widoki rozbudzające wyobraźnię. Poniekąd jest to racja, gdyż grecki klimat faktycznie sprzyjał rozwojowi myśli, natomiast chodzi tu bardziej o jej mało atrakcyjne pod względem uprawy tereny, co chroniło dość długo greckie miasta od wojny. Poza tym ustrój, tworzący wiele małych miast-państw, sprzyjał wytwarzaniu się różnych kultur, które, przenikając się wzajemnie się ubogacały.

Pierwsze efekty powyższych czynników, a przede wszystkim i naturalnej predyspozycji Greków do abstrakcyjnego myślenia, zaczęły się ujawniać w próbach odpowiedzi na pytanie o pochodzenie zjawisk astronomicznych oraz meteorologicznych. Z początku przyczyn tych rzeczy szukano w wierzeniach religijnych, których jednak nie należy kojarzyć z czymś złym, negatywnym, gdyż okazały się one niezwykle pomocne podczas wypracowywania poezji (mitologia), systemu moralnego (uczynienie zadość sprawiedliwości po śmierci – motyw kary i nagrody), a przede wszystkim koncepcji poznawczej, z której niejako wyszła następnie cała filozofia.

Religijna koncepcja poznawcza to nic innego jak upatrywanie w bogach źródła istnienia świata czy jakiejś konkretnej rzeczy. Każdy z bogów był odpowiedzialny za stworzenie czegoś, a system mitów opisujących te stwórcze akty, to kosmogonia. Problem mógł się jednak pojawiać, kiedy starano się odnaleźć przyczynę istnienia bóstw. Tutaj istniały dwie teorie, starające się rozwikłać tę trudność: a) źródłem wszystkiego jest ciemny, nocny chaos, pierwszy byt, który jest bezrozumny i niemożliwy do zrozumienia (tzn. chaos sam niczego nie rozumie, a także człowiek nie jest w stanie go zrozumieć), b) pierwszy początek, to byt doskonały i rozumny, który sam zaprowadził ład we Wszechświecie, a którego np. *Ferekydes z Syros* nazywał Zeusem. To, na co należy zwrócić uwagę w obu teoriach, to ich systematyczność, tzn. Grecy starali się wypracować takie wyjaśnienie świata, które obejmowałoby wszystko i nie

pozostawiało jakiegoś pola niewiedzy w aspekcie interesującym ich najbardziej, jakim wówczas była kwestia zaistnienia świata i wszelkich bytów na nim.

Wszystko powyższe nie było jednak jeszcze filozofią, było jakby jej przygotowaniem, gdyż ta narodziła się dopiero na przełomie VII i VI wieku przed Chrystusem, w Jonii. O tym jednak będzie można przeczytać w następnym wydaniu *Polityki Polskiej*. Wówczas dowiemy się jak odróżnić filozofię od nie-filozofii i zaznajomimy się z poglądami pierwszych myślicieli w niemal trzydziestowiecznej historii filozofii.

Ks. Maciej Knuth – urodzony w 1994 roku w Starogardzie Gdańskim, dziennikarz, twitterowicz, popularyzator społeczeństwa obywatelskiego, niegdyś związany z Demokracją Bezpośrednią (koordynator województwa pomorskiego), a następnie z kandydaturą Pawła Kukiza na Prezydenta RP (przedstawiciel Pełnomocnika Wyborczego w województwie pomorskim), od 2015 roku student Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie.

Prof. Włodzimierz Bojarski

Zrozumieć i uczcić Powstanie Warszawskie

Powstanie Warszawskie 1 sierpnia 1944 r. to wielkie, wieloaspektowe wydarzenie, wplecione wielowątkowo w barwny kobierzec historii narodu. Jedni dostrzegają Powstanie jak lśniąca perłę na tym kobiercu, a inni jak czarną, wypaloną dziurę – to krańcowe i jednostronne spojrzenia. Aby zrozumieć Powstanie trzeba uwzględnić nie tylko to co widoczne, a i to, często ważniejsze, czego nie widać, trzeba uchwycić owe wielowątkowe powiązania z otoczeniem i z przeszłością, a także z możliwymi scenariuszami przyszłości (gdyby Powstanie nie wybuchło). W uproszczonym wyjaśnieniu Powstania przypomnimy tylko dynamiczny ciąg wydarzeń.

Po wieku XIX niemieckiego kulturkampfu i niszczenia polskości, Polska przed stu laty wyzwalała się z niemieckiego zaboru w wyniku trzech ciężkich Powstań Śląskich, Powstania Wielkopolskiego i plebiscytów. Nie minęło jednak wiele lat gdy Niemcy w 1938 r. zaczęli ponownie zgłaszać pretensje do Pomorza. Czy tysiące zwycięskich niedawnych powstańców, czy naród wolny i godny, miał teraz poddać się wrogowi? Wszak nigdy, „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”!

W czerwcu 1939 r. naczelny „wódz” i dyktator niemiecki Adolf Hitler zaakceptował **Plan Pabsta**, całkowitego zniszczenia Warszawy i wymordowania jej ludności. *Die neue deutsche Stadt Warschau* na powierzchni zaledwie 15 km², to całkowicie nowe, prowincjonalne miasto dla 130 tys. Niemców, jakie miało powstać na gruzach zburzonej Warszawy, po zagładzie i wywiezieniu do Niemiec większości jej mieszkańców. Na odprawie wojennej na tydzień przed atakiem na Polskę Hitler powiedział: „**Wydałem rozkazy (...) zabijania bez litości i bez pardonu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci – polskiej rasy i języka. Tylko w ten sposób zdobędziemy teren, jaki bardzo potrzebujemy.**” Z tą nienawiścią i takim zadaniem ruszyła nowa nawała na Wschód, niemiecka, a nie tylko hitlerowska, nocą 1 września 1939 r.

Hel, wąski pasek umocnionego, polskiego ładu, atakowany dzień i noc, bronił się z poważnymi stratami aż 63 dni. Dlaczego nie skapitulował po sześciu dniach, o co bohatersko walczyli – pytajcie. Oblężona Warszawa, nasza stolica, bombardowana dzień i noc, broniła się aż trzy tygodnie, najdłużej ze wszystkich zdobytych przez Niemców stolic w Europie. Każdy dzień zbrojnej obrony podtrzymywał upadającego ducha całego narodu, zaskoczonego „wojną błyskawiczną” i przygnięcionego

poczuciem klęski oraz wspomagał chęć dalszej walki. I Polska nie skapitulowała; w święta Bożego Narodzenia 1939 r. na nabożeństwo na Świętym Krzyżu wkroczył duży oddział Wojska Polskiego, w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu, manifestując, że Polska jest gotowa do dalszej walki. Bo jaki wybór: walka i czynny sprzeciw morderstwom, czy kapitulacja, kolaboracja z wrogiem i zdrada narodowa.

Lata okupacji to były lata masowych mordów Polaków i lata walki z Niemcami na wszystkich frontach w kraju i za granicą. Każdej doby Niemcy rozstrzeliwali, wieszali, truli gazem, męczyli i mordowali jak bydło, w więzieniach, obozach, fabrykach, na ulicach i w lasach, ponad tysiąc Polaków. W samej Warszawie – kilkuset, w założonym tu **obozie zagłady KL Warschau**. „*W każdym razie należy spowodować, aby miejsce zamieszkania pięciuset tysięcy podludzi, absolutnie nie nadających się dla Niemców, całkowicie znikło...*” – pisał Heinrich Himmler 16.02.1943 r., ponawiając swój rozkaz o założeniu tego obozu i wymordowaniu Polaków.

Polskie Państwo Podziemne organizowało zbrojne oddziały oporu i dywersji, powstrzymując jednocześnie niezorganizowane, szkodliwe, samorzutne wybuchy zbrojne. Każdego dnia w drobnych zderzeniach i zasadzkach ginęło około stu Niemców. Realizacja planu zagłady Warszawy i Polaków została przyspieszona po likwidacji warszawskiego getta w 1942 r. Przyspieszyły również przygotowania do powstania zbrojnego przeciw Niemcom. Wielu czekało na tę chwilę z niecierpliwością, w duchu odwetu za niemieckie zniewolenie i męczeństwa oraz walki o wolność i godność naszego narodu. Tymczasem od wschodu pomału zbliżała się armia sowiecka i ogólne napięcie rosło. Niemcy wezwali ludność Warszawy do masowego stawienia się do kopania rowów przeciwczołgowych, a może również – dla masowej zagłady. Oczywiście byłoby zdradą gdyby w tej sytuacji zawiodło dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych, zrezygnowało z walki i oddało oddziały w niewolę niemiecką lub rosyjską. Tak się jednak nie stało i 1 sierpnia 1944 r. o godz. piątej po południu, w sposób możliwie dobrze zorganizowany, rozpoczęło się Powstanie Warszawskie.

Wprawdzie brak było odpowiedniego uzbrojenia, zaopatrzenia i łączności oraz wsparcia i pomocy z zewnątrz, ale tym bardziej okazało się najwyższej miary bohaterstwo i wytrwałość walczących oraz niezwykła solidarność i współdziałanie całego społeczeństwa. I jeśli wybuch Powstania był dosyć oczywisty i racjonalny w tamtych warunkach, to znowu można tu pytać – dlaczego trwało ono tak długo, aż 63 dni? Może zadziałały tu jakieś agenturalne umizgi z zachodu, ażeby walkami dłużej powstrzymać ofensywę sowiecką i dać czas na podejście sił sprzymierzonych bliżej Berlina, ale nie tylko to. A co mogło się stać, gdyby Powstanie nie wybuchło, co z dalszą masową zagładą ludności, z planowym zburzeniem Warszawy (realizowanym także po Powstaniu) i z Polską wówczas i dzisiaj?

Trzeba na koniec wrócić do zasadniczego pytania – o co walczyli obrońcy Helu i Warszawy w 1939 r., nasi żołnierze pod Monte Casino i Powstańcy Warszawy? Wal-

czyli o ludzką godność, wolność, prawość i honor, o miłość i wierność Panu Bogu i Ojczyźnie, walczyli o zachowanie, pomnożenie i udokumentowanie fundamentalnych wartości człowieka-Polaka. Zaświadczyli, że hasła: **Bóg, Honor, Ojczyzna**, haftowane na sztandarach, warte są nie tylko pracy ale i krwi. Oni powiększyli ponadczasowy, narodowy skarb ducha, ubogacający i ożywiający kolejne pokolenia.

To ten skarb polskiego ducha podziwiał i uczcił ostatnio prezydent USA Donald Trump, a przed nim wielu innych. Znany zagraniczny polityk Carl Bedderman wspominał: *Ja żyjąc w waszym kraju, potrzebowałem sporo czasu, żeby zrozumieć czym jest polskość. Polskość to ta duchowa postawa, ten wewnętrzny dystans do materii...* (Brońcie Polski, 2003). Te wartości od stuleci jakoś frapowały i pociągały obcych przybyszów do Polski, powodując że tak łatwo polonizowali się. Zwrócił na nie uwagę już pierwszy kronikarz Polski, obcy przybysz Gall Anonim, opisując bohaterską postawę obrońców Głogowa w 1109 r.: **lepiej jest zginąć w walce, niż służyć obcemu panu**. To postawa polskiego rycerza, wzór na pokolenia prawego Polaka.

Zachowanie i pomnażanie tych wartości można odnosić również do historycznej misji narodu polskiego, ale nie ona jest tu głównym motywem i motorem. Wydaje się raczej, że takie wezwanie do wierności Bogu i Ojczyźnie, współrodakom i sobie samemu, dziedziczymy i mamy już we krwi.

Zrozumieć Powstanie Warszawskie i inne powstania narodowe, to uznać i docenić bronione, fundamentalne wartości duchowe naszego narodu i głębiej zaprzyśnić im naszą osobistą i rodzinną wierność. To pełniej uznać wartość i owocność poświęcenia oraz wielkość cierpień i ofiary Powstańców. Dlatego winniśmy oddać Im należną cześć.

KTO ZDOŁA ODPOWIEDZIEĆ, CO TO JEST NARÓD?

Niedawno wyczytałem zdanie, może na marginesie wspomnień tego stulecia, że najtrudniej jest określić zjawisko dziejowe, jakim jest naród. Szczególnie tobie, droga młodzieży, która zaczynasz bieg swego życia w ramach twego narodu, może to trudno przychodzić. Nie jesteś jeszcze tak głęboko związana korzeniami swej duszy ze wszystkimi przeżyciami narodu jak pokolenia twoich rodziców. Mówią wam oni zapewne o wielu powstaniach: kościuszkowskim, listopadowym, styczniowym, warszawskim i tyłu, tyłu zrywach, może nieudanych i pozornie nie przynoszących rezultatów, a jednak owocnych. Ale i w dziejach innych narodów powstania nie były na ogół dziełami udanymi, były natomiast budzeniem zasypiającego ducha narodu, aby powstał i żył. Bo my wkładamy w dzieje narodu wszystko, co dla nas najdroższe!./.../

/.../ Możemy pytać, co to jest ojczyzna, co to jest miłość ku ojczyźnie. Możemy znajdować sto odpowiedzi politycznych, historycznych, kulturowych, socjologicznych, ekonomicznych i społecznych, zależnie od tego, jakimi oczyma na to patrzymy. Ale mnie się zdaje, najmilsze dzieci, że z ojczyzną jest tak jak ze złożonością organizmu ludzkiego. Człowieka nie można rozebrać na części i powiedzieć: tu głowa tu oczy, tu uszy, tu ręce, tu dłonie, tam nogi – a wszystko razem to człowiek. Człowiek bowiem to coś niesłychanie powiązanego, co przenika się wzajemnie. Przenikają się więc w nim moce ciała i duszy, energie fizyczne i duchowe, siły umysłu, woli i serca, najrozmaitsze człowiecze dążenia zarówno osobiste, jak i społeczne, które wyprowadzają człowieka poza niego samego. Jest w człowieku cały splot najrozmaitszych stanów, przeżyć, właściwości i dążeń. Splot to przedziwny, w którym ciało może się buntować przeciw duchowi, chociaż wie, że bez ducha staje się garstką popiołu.

To samo jest z narodem i jego duchowością, która jest czymś osadzonym w konkretnym terenie. Tak postanowił sam Bóg, który stworzył narodową formę bytowania, żądając byśmy ją osłaniali. Są prawa i obowiązki narodowe, działania i osiągnięcia narodowe; tworzy się kultura narodowa, dzieje, tęsknoty i pragnienia rodzime, literatura, sztuka, poezja, malarstwo, rzeźba. Wszystkie te energie, właściwości i zrywy, zdążające do coraz lepszego urządzenia życia własnej ojczyzny od strony duchowej i materialnej, są właściwie dopiero narodem. I nie można go pojmować ani w sposób czysto abstrakcyjny i idealny, ani w sposób czysto konkretny, realny i materialny, jakby naród był tylko bytem związanym pazurami z kawałkiem ziemi, chleba czy materii, bo nie samym duchem i nie samym ciałem żyje naród.

Na naród składa się praca górników wydobywających czarny węgiel z głębokich pokładów ziemi, praca rolników rzucających w ziemię złociste ziarno, praca hutników, inżynierów, przemysłowców, a także praca myślicieli tworzących myśl narodową, artystów, pisarzy, poetów, muzyków, malarzy. Jakże ci ostatni muszą się natrudzić, aby ich dzieło miało w sobie wyraz kultury rodzimej, miejscowej, narodowej, aby dobrze siedziało w krajobrazie i przemawiały do duszy patrzących Polaków, jak do ich uszu przemawiają tęsknoty polskich wiatrów, poszumy lasów i śpiew ptasząt, który nigdzie tak nie zachwyca jak w ojczystej ziemi. Może dlatego usychają z tęsknoty w obcej ziemi sztabowi pułkownicy, że oni już tego nie słyszą...

O, nie da się łatwo odpowiedzieć na pytanie, co to jest naród. I chociaż przykładałoby się do tego pojęcia miarkę socjologiczną, jak to się dziś niekiedy czyni, jeszcze odpowiedź nie będzie pełna. Aby dać dobrą odpowiedź, trzeba żyć w narodzie, trzeba żyć narodem, z narodu i dla narodu!

„Z kurzem krwi bratniej...” W stulecie powstania styczniowego w Warszawie 27 I 1963r.

płk rez. Jan Stec

Rosyjska polityka historyczna cz. 3

Polsko-rosyjskie zapętlenie

Półtora roku temu ambasador Federacji Rosyjskiej w Polsce Siergiej Andriejew, udzielając wywiadu gazecie „Trybuna”, stwierdził jednoznacznie, że stosunki polsko-rosyjskie są aktualnie bardzo złe, najgorsze na przestrzeni minionego dwudziestolecia. To prawda, podobnie jak to, że w ostatnich dwóch latach w tej dziedzinie nie ma żadnego postępu. Przykład Polski i Rosji dobitnie wskazuje, jak dużą rolę może odgrywać polityka historyczna we wzajemnych relacjach. Może ona w sposób istotny przyczynić się do normalizacji i pojednania, ale może też pogłębiać istniejące podziały i tworzyć nowe. Jest to dla naszego kraju bardzo ważne, bowiem na przestrzeni dziejów nowożytnych w stosunkach wzajemnych z naszym wschodnim sąsiadem zaistniało wiele zjawisk i faktów kontrowersyjnych, często tragicznych, budzących do dziś animozje i resentymenty, które często są podsycane przez jątrzące działania propagandowe.

Stosunki polsko-rosyjskie datują się mniej więcej od przelomu XIV i XV wieku, od czasów Unii Polsko-Litewskiej. Ówczesna Litwa władała ogromnymi połaciami ziem ruskich, do których zgłaszało pretensje rosnące w siłę Państwo Moskiewskie. Wojowaliśmy, więc o Smoleńszczyznę, Siewierszczyznę, a potem o Inflanty. Było to ciągle pasmo wojen, przerywane krótkimi okresami pokojów czy rozejmów, przy czym obydwu państwa osłabiały się wzajemnie w obliczu wciąż istniejącego zagrożenia turecko-tatarskiego. Na początku XVII wieku pojawiła się realna szansa zjednoczenia, przynajmniej na pewien czas, obydwu państw, niestety zmarnowana. A potem od połowy XVII wieku znękana wojnami oraz wewnętrznym rozprężeniem Rzeczpospolita szlachecka chyliła się do upadku, podczas gdy rządzone twardą ręką Imperium Romanowych rosło w siłę. Konsekwencją były: 120-letnia niewola, tłumione surowo powstania narodowe, zsyłki, katorgi i rusyfikacja życia publicznego w zaborze rosyjskim.

W XIX wieku w administracji carskiej utrwalił się pogląd, że Polacy są najbardziej buntowniczym narodem w całym imperium. A oto charakterystyczny przykład. Car Aleksander II był tym monarchą, na którego dokonano najwięcej zamachów. W 1866 roku strzelał do cara student Dmitrij Karakozow. Nie trafił. Ujęty i doprowadzony przed oblicze monarchy usłyszał pytanie: – Jesteś Polakiem?, – Nie Rosjaninem – odpowiedział, – To, po co strzelałeś? – zapytał car. W piętnaście lat później

Aleksander II został zabity w zamachu dokonany przez Polaka – Ignacego Hryniewieckiego, członka rosyjskiej partii rewolucyjnej „Narodnaja Wola”. Na fali późniejszych represji, w jednym procesie byli sądzeni: starszy brat Józefa Piłsudskiego – Bronisław i starszy brat Włodzimierza Lenina – Aleksander. Bronisław Piłsudski zaliczył 12 lat zsyłki na Sachalinie, Aleksander Uljanow zaś został stracony.

Można by też wspomnieć, cofając się mocno wstecz, że myśmy dwukrotnie zdobyli Moskwę – raz samodzielnie, a raz w składzie wielkiej Armii Napoleona, zaś Rosjanie w okresie powstań narodowych dwukrotnie ozięźnie brali naszą stolicę.

Historia często bywa przewrotna. Rewolucja Październikowa i obalenie caratu w sposób istotny przyczyniły się do restytucji Polski w 1918 roku, a już w dwa lata później zmuszeni byliśmy bronić swej suwerenności przed pochodem Armii Czerwonej niosącej rewolucję na zachód Europy.

Najwięcej jednak wzajemnych uprzedzeń, kontrowersji, sporów, a często też różnego rodzaju półprawd czy mitów dotyczy okresu II wojny światowej i jej skutków. Tragiczne wydarzenia związane z wprowadzeniem w życie ustaleń układu radziecko-niemieckiego (Ribbentrop-Mołotow) otwierają ten rozdział. Kolejne fale deportacji pewnej kategorii obywateli polskich w głąb ZSRR, z których najbardziej nieludzka była ta realizowana w lutym 1940 roku w warunkach bardzo ostrej zimy, a także aresztowania, procesy, zsyłki do łagrów. Ogółem prawie pół miliona obywateli polskich z terenów zajętych przez ZSRR było represjonowanych w latach 1940–1941. I wreszcie temat ciągle żywy, to zbrodnie dokonane na przedstawicielach polskiej inteligencji, głównie oficerach Wojska Polskiego, policjantach i funkcjonariuszach administracji (łącznie około 22 tysiące ofiar), czego symbolem pozostaje do dziś Katyń.

I tu rodzi się uwaga. Ludzie ci byli represjonowani, a nawet ginęli nie tylko dlatego, że byli Polakami. Oni byli zakwalifikowani jako aktualni bądź potencjalni wrogowie władzy radzieckiej. Na przykład, ci z oficerów, którzy podpisali deklarację o współpracy z władzami radzieckimi zostali na ogół oszczędzeni, ale takich było niewiele bowiem pocztywano to za akt zdrady.

Zjawiska powyższe były udziałem nie tylko Polaków, ale praktycznie w różnym stopniu wszystkich narodowości ZSRR, a najbardziej samych Rosjan. Największy chyba autorytet w tej problematyce, Aleksander Sołżenicyn stwierdził, że znacznie ponad 70% ogólnego stanu represjonowanych stanowili Rosjanie. To było dzieło systemu władzy sprawowanej przez zawodowych rewolucjonistów różnych nacji. Podstawą tego systemu był totalny terror, który nie wynikał z teoretycznych zasad komunizmu, choć był realizowany przez ludzi określających się jako komuniści. Warto przypomnieć, że spośród pięciu ludzi, którzy podpisali tzw. dyrektywę katyńską tylko jeden, Wiczesław Skriabin (Mołotow) był rodowitym Rosjaninem.

Aktualnie w obiegu propagandowym krąży wiele fałszywych opinii, półprawd, a nawet mitów dotyczących stosunków polsko-radzieckich z tego okresu. Oto cha-

rakterystyczne dwa przykłady. W szeregu publikacjach i tzw. „poważnych” dyskusjach, także telewizyjnych, drążony jest temat: czy Polska mogła i powinna wziąć udział w kampanii III Rzeszy przeciwko ZSRR. Otóż szanowni „wybitni” specjaliści, w kierownictwie III Rzeszy nigdy nie powstała nawet myśl o jakimkolwiek sojuszu militarnym z Polską. Polacy zakwalifikowani zostali jako naród, który w ciągu maksymalnie trzech pokoleń musi zniknąć. Reżim okupacyjny w Polsce nie był podobny do żadnego z okupowanych państw, może z wyjątkiem części Jugosławii (Serbia) oraz terenów czysto rosyjskich, zajętych w latach 1941–1942. Tak zwany *Generalplan OST* nie był fikcją. To nie tylko tragiczny eksperyment na Zamojszczyźnie, ale też konsekwentnie realizowane zamierzenia z zakresu polityki oświatowej, kulturalnej, żywnościowej czy też zdrowotnej. W odróżnieniu od innych państw okupowanych, w Polsce nie usiłowano tworzyć żadnych namiastek władz miejscowych, a jedyną zwartą jednostką kolaboracyjną była Policja Granatowa. Warto podkreślić, że władze ZSRR, licząc się z możliwością powołania przez Niemców jakiejś formy polskiej reprezentacji trzymały niejako „w zanadrzu” grupę Polaków (spoza lewicy), którzy mogliby sprawować tę funkcję po stronie radzieckiej. Byli to między innymi: generałowie Władysław Anders, Zygmunt Szyszko-Bohusz, Stanisław Kopański, Michał Tokarzewski oraz Andrzej Witos (brat Wincentego) i książe Janusz Radziwiłł. Również po ujawnieniu wiosną 1943 roku zbrodni katyńskiej polityka niemiecka w stosunku do Polaków nie uległa żadnej zmianie, chociaż – co jest oczywiste – były rachuby na osłabienie nastrojów antyniemieckich wśród ludności polskiej.

Drugi mit dotyczy Armii Własowa, jako jednostki okrutnych renegatów rozprawiających się z ruchem oporu i dokonujących potwornych zbrodni, między innymi w czasie tłumienia Powstania Warszawskiego. Być może w pewnym stopniu przyczynili się do tego sami Rosjanie, dla których Andriej Własow pozostał klasycznym przykładem zdrajcy, podobnie jak marszałek Philippe Pétain we Francji czy premier Vidkun Quisling w Norwegii. A tymczasem Armii Własowa po prostu nie było, choć gen. A. Własow był postacią realną. Będąc dowódcą jednej z armii ogólnowojskowych latem 1942 roku przeszedł na stronę niemiecką, składając ofertę współpracy. Wkrótce utworzono organizację polityczną (coś w rodzaju komitetu) ROA (*Ruskaja Oswoboditielnaja Armija*), skupiającą kilkaset osób, w tym ponad osiemdziesięciu wyższych oficerów radzieckich (pięciu generałów), a także pracowników administracji terenowej, kadry inżynieryjno-techniczne, a nawet lokalnych działaczy partyjnych. W zamierzeniach niemieckich ludzie ci mieli tworzyć, pod nadzorem niemieckim, załóżki administracji terenowej po osiągnięciu przez wojska niemieckie planowanej rubieży Archangielsk-Astrachań. Mimo, że od połowy 1943 roku cele te okazały się nierealne, organizacja istniała do końca wojny. W jej ramach powołano później KONR (*Komitiet Oswoboźdiennija Narodow Rossiji*). Sam A. Własow cieszył się dużym zaufaniem władz III Rzeszy (Heinrich

Himmler osobiście zezwolił mu na ślub z wdową po generale SS Adelą Belinberg). Dopiero w kwietniu 1945 roku usiłowano tworzyć jakieś niewielkie oddziały złożone z Rosjan, ale z tego nic nie wyszło. W maju 1945 roku generał A. Własow i jego najbliżsi współpracownicy zostali ujęci na terenie Czech, osądzeni i straceni w 1946 roku w Moskwie.

Skąd, więc różnego rodzaju oddziały obcojęzyczne w służbie III Rzeszy. Otóż, od grudnia 1941 roku odpowiednie organy Wehrmachtu rozpoczęły werbunek do tzw. *Osttruppen*, czyli oddziałów narodowych złożonych z obywateli ZSRR narodowości nierosyjskiej. Werbowano głównie ochotników, dezertersów oraz niekiedy jeńców wojennych. W ten sposób powstały legiony, między innymi: ormiański, turkiestański, północnokaukaski itp. Odrębnymi jednostkami były oddziały kozackie (około 30 tysięcy). Nieco później Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) rozpoczął tworzenie obcojęzycznych jednostek SS na Wschodzie. W ochotniczych formacjach SS służyli głównie Łotysze, Estończycy i Ukraińcy, chociaż były także oddziały SS złożone z Azerów, Turkmenów, Uzbeków, Kałmuków czy Tatarów. Ogółem ocenia się, że około milion obywateli ZSRR podjęło ochotniczą służbę u Niemców, przy czym jeśli chodzi o Rosjan, dotyczyło to głównie policjantów na terenach okupowanych, a także ludzi pełniących służbę w nieuzbrojonej formacji TODTA (logistyczne zabezpieczenie zaplecza). Wartość bojowa tych jednostek była różna. Oddziały *Ostlegionów* operowały głównie na tyłach, często biorąc udział w operacjach przeciwpartyzanckich, gdzie wyróżniały się okrucieństwem. Jednostki SS były traktowane jako elitarne, o wysokiej wartości bojowej. Dodać należy, że spośród kolaborantów ze Wschodu, głównie Łotyszy, Ukraińców i Litwinów rekrutowała się znaczna część, a niekiedy i większość załóg obozów zagłady. Tak było między innymi w Treblince, Majdanku, Sobiborze, Bełżcu i wielu innych mniejszych fabrykach śmierci.

Co się tyczy Powstania Warszawskiego, to istotnie do jego tłumienia Niemcy rzucili znaczną ilość obcojęzycznych formacji. Dotyczy to szczególnie zgrupowania generała SS Heinza Reinefartha, które uderzało w kierunku Woli. Tam właśnie w pierwszej dekadzie sierpnia 1944 roku miały miejsce najbardziej krwawe masakry ludności cywilnej, dokonane głównie przez: – karny regiment SS „Dirlewanger” złożony głównie z kryminalistów, – dwa wschodnio-muzułmańskie pułki SS (Uzbecy i Turkmeni), – dwa bataliony *Ostlegionu* Azerbejdżan, – batalion północnokaukaski, – brygada SS RONA sformowana na terenach Białorusi, a składająca się głównie z awanturników i kryminalistów różnych narodowości. Brygadą dowodził Polak z pochodzenia Bronisław Kamiński. Po wycofaniu z Warszawy brygadę rozwiązano, a Kamiński i jego sztab zostali przez Niemców rozstrzelani. Niestety, większość odpowiedzialnych za te i inne zbrodnie nie poniosła zasłużonej kary. Jak mówi stare porzekadło, w propagandzie wszystko jest możliwe. Otóż z okazji kolejnej rocznicy Powstania Warszawskiego, tygodnik „Angora” zamieścił archiwalne zdjęcia oficerów

wschodnich formacji renegackich, wśród których miał się znajdować ojciec Władimira Putina.

Jednym z najważniejszych tematów, mocno aktualnie eksploatowanych propagandowo, jest przebieg akcji „Burza”, a szczególnie Powstania Warszawskiego, w kontekście zaniechań bądź też wrogich działań ZSRR w stosunku do formacji podległych rządowi RP na emigracji. Otóż, po ujawnieniu przez Niemców zbrodni katyńskiej i niezwykle emocjonalnej reakcji rządu polskiego w Londynie, władze radzieckie wykorzystały ten fakt jako pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych. Nie da się ukryć, że od czasu ewakuacji armii generała W. Andersa i przełomie stalingradzkim ZSRR nie był zainteresowany współpracą z polskim rządem emigracyjnym. Fakt zerwania stosunków dyplomatycznych pociągał za sobą szereg ważnych implikacji w stosunkach wzajemnych, a wśród nich:

a) Zarówno w Układzie Sikorski-Majski z sierpnia 1941 roku, jak i w późniejszych rozmowach Sikorskiego ze Stalinem kwestia granic powojennych pozostawała otwarta. Władze radzieckie nie ingerowały otwarcie w stosunku do działających na terenach zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy polskich organizacji podziemnych i oddziałów partyzanckich. W nowej sytuacji Centralny Sztab Ruchu Partyzanckiego kierowany przez Białorusina Piotra Ponomarienkę wydał dyrektywę nakazującą podporządkowanie radzieckim zgrupowaniom partyzanckim wszelkich działających na tych terenach oddziałów oraz grup ruchu oporu, albo też ich rozwiązanie. To musiało rodzić konflikty, zwłaszcza na terenie zachodniej Białorusi (okręgi Wilno i Nowogródek), przy czym Polacy też nie byli bez winy. Między innymi komendant główny AK odwołał w trybie pilnym dowódcę AK okręgu Nowogródek, głównie za brak kontroli nad działaniami podwładnych, przyczyniającymi się do zaognienia sytuacji, aż do starć zbrojnych włącznie. Na Ukrainie zachodniej sytuacja była inna. Tam polska partyzantka, działająca głównie na obszarze Wołynia i południowego Polesia, często współdziałała ze zgrupowaniami radzieckimi. Było to po części wymuszone sytuacją na tych terenach. Rosnące w siłę ugrupowania ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), realizujące od wiosny 1943 roku czystki etniczne na tym obszarze, stawały się wspólnym przeciwnikiem.

a) W zaistniałej sytuacji było wiadome, że władze radzieckie rozpoczną organizowanie politycznej reprezentacji Polaków niezwiązanej z rządem londyńskim. I faktycznie już w pierwszym półroczu 1943 roku rozpoczął działalność Związek Patriotów Polskich oraz zapadła decyzja o rozpoczęciu formowania sił zbrojnych. Na początku była to I Dywizja Piechoty.

b) Przyjęte i obowiązujące założenia planu powszechnego powstania „Burza” w nowej sytuacji wymagały szybkiej modyfikacji. Wobec braku stosunków dyplomatycznych występowanie organów Delegatury Rządu oraz oddziałów AK w roli gospodarza terenu, zwłaszcza na obszarach na wschód od linii Curzona nosiło

samo w sobie zarzewie konfliktów. Powszechnie wiadomo, że żadna wojująca armia, a tym bardziej Armia Radziecka, nie będzie tolerowała na swych tyłach uzbrojonych grup podległych obcym centrom decyzyjnym, których obecność nie jest sankcjonowana żadnym układem. Nie było konkretnej odpowiedzi co dalej, nie było żadnej alternatywy. Te zaniedbania zemściły się później srodze na losach dziesiątków tysięcy ludzi.

Nacierające na zachód wojska radzieckie weszły na tereny II Rzeczypospolitej w lutym 1944 roku na Wołyniu. Tam też nastąpiły pierwsze spotkania z oddziałami AK, podległymi 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Na razie dominowało współdziałanie. Większych konfliktów nie było. Ale już latem 1944 roku na zachodniej Białorusi i Wileńszczyźnie było inaczej. Początkowo postawiono na współdziałanie, ale zaraz potem partyzanci stanęli przed alternatywą: albo wstąpienie do 1 Armii WP zwanej wówczas Armią Berlinga, albo rozbrojenie i internowanie. Wstąpienie do Armii Berlinga wymagało zwołnienia z obowiązującej przysięgi, a tego KG AK nie uczyniła, co wiązało ręce szczególnie dowódcom. Jeśli do tego dodać uporczywą propagandę przeciwko wstępowaniu do oddziałów WP sformowanych w ZSRR, skutki okazały się opłakane.

Na tzw. obszarach zabużańskich internowano w 1944 roku około 40 tys. ludzi, w tym prawie całą kadrę dowódczą, najwięcej po operacji „Ostra Brama” w rejonie Wilna (około 5 tys.). W tym miejscu dodać należy, że kolportowane szczególnie w ostatnim okresie, na tle tzw. wojny pomnikowej, zarzuty przeciwko dowódcy 3 Frontu Białoruskiego gen. Iwanowi Czerniachowskiemu, jakoby był katem AK są wyolbrzymione. Czerniachowski postępował zgodnie z obowiązującymi dyrektywami naczelnego dowództwa Armii Czerwonej. Żołnierze i oficerowie Wileńskiego Zgrupowania AK mogli w ogromnej większości uniknąć internowania, ale ich dowództwo wybrało inną drogę, zgodną z obowiązującymi rozkazami. Przewiezieni zostali do ośrodka internowania w Kałudze, gdzie usiłowano zorganizować z nich jednostkę wojskową. Po odmowie złożenia przysięgi, skierowano ich do pracy przymusowej w leśnictwie. Prawie wszyscy wrócili do kraju w 1947 roku. Niestety podobne historie rozegrały się w drugim półroczu 1944 roku w wielu rejonach na ziemiach rdzennie polskich. Tutaj dodatkowym elementem było to, że w roli gospodarzy terenu występowali jednocześnie przedstawiciele Delegatury Rządu i Krajowej Rady Narodowej.

Zwieńczeniem planu „Burza” miało być Powstanie Warszawskie. Dziś jest rzeczą oczywistą, że bez ścisłego współdziałania z siłami radzieckimi szans na powodzenie nie było. Armia Radziecka nie była w stanie zdobyć Warszawy „z marszu” w sierpniu 1944 roku. Wprawdzie 2 Armia Pancerna istotnie wykonała błyskawiczny manewr, przemieszczając się w ciągu tygodnia z rejonu Lublina aż pod Warszawę, ale wkrótce na skutek popełnionych błędów została pobita przez doborowe dywizje niemiec-

kie (V Korpus Pancerny SS) w trójkącie Wołomin-Radzymin-Tłuszcz. Front odsunął się na południe o około 30 km. Wprawdzie od 4 sierpnia trwały walki na lewym brzegu Wisły (przyczółek warecko-magnuszewski), ale na wykonanie uderzenia z tego kierunku trzeba było czasu – kilka miesięcy walk i przygotowań logistycznych.

Reasumując, powstanie miałooby pewne szanse, ale gdyby rozpoczęło się przynajmniej miesiąc później, przy współudziale z siłami radzieckimi i spełnieniu pewnych warunków, jak np. opanowanie i utrzymanie choćby jednego z głównych mostów na Wiśle. Jest faktem, że przy podejmowaniu decyzji o wybuchu walk, poza błędną oceną sytuacji na froncie zaważyła niewłaściwa ocena sił niemieckich. Wehrmacht w 1944 roku mimo poniesionych strat i klęsk to nie byli żołnierze niemieccy z 1918 roku, których rozbierali gimnazjaliści. Wydanie rozkazu do walki w sytuacji, gdy mniej więcej co ósmy członek AK w Warszawie dysponował jakąkolwiek bronią bez realnych widoków zmiany sytuacji – to był błąd niewybaczalny.

Podobnie ogromnym błędem było wydanie rozkazu maszerowania na pomoc Warszawie. W sytuacji, gdy front zatrzymał się na Wiśle jakiegokolwiek ruchy dużych grup partyzanckich w strefach przyfrontowych musiały zakończyć się tragicznie. Maszerujące po lewej stronie Wisły oddziały zostały prawie doszczętnie zniszczone przez Niemców, zaś w pasie prawobrzeżnym rozbrojone przez oddziały radzieckie, a część ludzi, w szczególności kadrę dowódczą, internowano.

Nasuwa się z kolei pytanie, co mogli zrobić Rosjanie, a czego nie zrobili, biernie obserwując agonię miasta. Otóż, byli oni w stanie:

- zorganizować osłonę lotniczą (parasol powietrzny), aby zapobiec bardzo dotkliwym bombardowaniom niemieckim;
- obezwładnić większość ciężkiej artylerii niemieckiej bezkarnie niszczącej miasto;
- niezwłocznie uruchomić zrzuty broni i amunicji, a następnie żywności i leków dla walczącego miasta.

Tymczasem Rosjanie zachowali się biernie, a nawet nie zgadzali się na wahałowe loty samolotów alianckich z Włoch ze zrzutami dla powstańców. Zresztą zarówno te zrzuty, jak i podjęte w połowie września zrzuty radzieckie nie miały już większego znaczenia. Interwencje u Stalina zarówno premiera Mikołajczyka, przywódców alianckich, jak również gen. Zygmunta Berlinga okazały się bezowocne. Z. Berling w swoich notatkach zapisał wypowiedź Stalina na ten temat: „*w polityce niet sentimientow Zygmunt Michajłowicz*”. W tej sytuacji podjęte w drugiej połowie września próby forsowania Wisły w Warszawie przez oddziały 1 Armii WP były już tylko bezowocną daniną krwi (ponad 3 tys. zabitych) w ramach solidarności z ginącym miastem.

Władze radzieckie nie ponoszą odpowiedzialności za klęskę powstania, które zostało wywołane bez należytej analizy sytuacji politycznej i militarnej, ale są odpo-

wiedzialne przede wszystkim moralnie za zaniechanie i nieudzielenie pomocy walczącemu miastu w ramach posiadanych możliwości.

W ogłoszonej przez IPN wojnie informacyjnej pod hasłem: „wyzwolenie czy zniewolenie” ważną rolę odgrywa powstanie armii polskiej w ZSRR, zwanej potocznie Armią Berlinga, w kontekście negacji jej dorobku. Rodzi się tu podstawowe pytanie: czy ta armia potrzebna była ZSRR? Odpowiedź brzmi: tak. W myśl dalekosiężnych zamiarów kierownictwa radzieckiego zarówno reaktywowane z trudem Centralne Biuro Komunistów Polskich w ZSRR, jak i budowany na szerszych podstawach Związek Patriotów Polskich powinny dysponować siłami zbrojnymi w momencie przeniesienia działań wojennych w granice Polski (za linię Curzona). To oczywiście miały być siły zbrojne sojusznicze w stosunku do Armii Radzieckiej. Ale jest i pytanie drugie: czy ta armia, te siły zbrojne potrzebne były Polsce? Odpowiedź również jest pozytywna. Ta armia powstała bowiem wyłącznie na bazie Polaków przesiedlonych przymusowo, więźniów łagrów i różnego rodzaju obozów pracy przymusowej, tych o których zapomniano w latach 1941–1942, do których nie dotarły dekrety amnestii itp. Zasługą Związku Patriotów Polskich oraz osobistą Z. Berlinga i jego najbliższego otoczenia było przyprowadzenie w 1944 roku do Polski ponad 150 tys. żołnierzy i cywilów z przysłowiowego „domu niewoli”. Dodatkowo, co najmniej tyle samo członków ich rodzin miało zagwarantowaną repatriację w pierwszej kolejności. Ponadto ZPP, w ramach swych możliwości, realizował pomoc socjalną i prawną dla rodaków, którzy nadal do kraju wrócić nie mogli.

Sprawą ogromnej wagi było to, że pod koniec wojny mieliśmy (na Wschodzie i na Zachodzie) ponad 350 tys. ludzi pod bronią (więcej niż mająca ambicje mocarstwowe Francja). A że dowództwo było radzieckie to fakt. Oficerów starszych nie było, zginęli w represjach lub odeszli z Armią Andersa. W ciągu kilku miesięcy można wyszkolić dowódców plutonu, niekiedy kompanii, ale nie batalionu czy pułku. Starano się więc kierować do polskich jednostek oficerów radzieckich mających polskie korzenie lub tych, którzy w jakiś sposób zetknęli się z polskimi problemami. Część z nich kiepsko posługiwała się językiem polskim, ale dowodzili dobrze. Najślabszy okazał się rodowity Polak Karol Świerczewski. Ten wysilek zbrojny ważył wiele w czasie konferencji w Poczdamie (VII–VIII 1945). Co prawda wcześniej była Jałta, ale w sprawie granic nic do końca nie było zdecydowane. Odra czy Nysa, komu Szczecin i Świnoujście, jak ma wyglądać granica w Prusach Wschodnich i wreszcie kapitalna decyzja o wysiedleniu Niemców.

Można sobie wyobrazić, co by było gdybyśmy tracąc rozległe tereny na Wschodzie nie uzyskali wystarczającej rekompensaty kosztem Niemiec. Trzeba o tym pamiętać. Trzeba też pamiętać, że w owych dniach politycy polscy z bardzo różnych ugrupowań stanęli, w tym właśnie względzie, na wysokości zadania. Bierut i Mikołajczyk, Grabski i Osóbka-Morawski, Gomułka i Romer działali wspólnie w interesie Polski.

Dziś niestety mamy do czynienia z generalną negacją czynu zbrojnego oddziałów WP tworzonych na Wschodzie. Nie tak dawno jeden ze sterników MON chwalił się publicznie, że jego ojciec był dezertorem, bo po co miał służyć w takim wojsku. Kto dziś pamięta, że jedyną z flag zwycięskiej koalicji (poza radziecką), która zawisała na murach Reichstagu była flaga polska i że zawiesiła ją grupa żołnierzy polskich dowodzona przez ppor. Mikołaja Troickiego. Dla nas nie ma dnia zwycięstwa – jest za to dzień zniewolenia. Wyrazem takich postaw było zorganizowanie przez IPN w 2015 roku w Lublinie wystawy *Polska Armia Stalina*. To nie wymaga komentarza.

Jednym z ulubionych tematów manipulacji historycznej są Kresy. Zdradzili, sprzedali, sprzeniewierzyli się Polsce – tak określa się polskich powojennych działaczy państwowych, choć oczywiście głównym winowajcą jest Stalin i ZSRR. W tym kontekście można wspomnieć o takim kuriozalnym fakcie, iż radni jednego z miast podpisali ostatnio decyzję o zmianie nazwy ulicy Roosevelta, bowiem zdradził on Polskę w Jałcie. Temat jest chwytliwy nie tylko w środowisku ludzi starszych, wychowanych na Sienkiewiczowskiej *Trylogii* (do których się zaliczam), ale również i w młodych pokoleniach. Lwów i Wilno, Orłęta i Rossa, Nowogródek i Kamieniec Podolski to wciąż są źródła sentymentalnych rozmyślań. Ale rzeczywistość lat 1943–1945 była inna, a fakty mówią same za siebie. Lwów i Wilno – owe twierdze polskości były wówczas wyspami polskimi położonymi wśród wrogich żywiołów. Realnie nie było wówczas żadnych szans utrzymania Wilna w kontekście aspiracji Litwinów a także Białorusinów. Ukraina Zachodnia była sfaszycowana. Ludność polska trzymała się jedynie w miastach i miasteczkach, systematycznie przemieszczając się na Zachód. Utrzymanie tego terenu byłoby kwestią przesiedlenia co najmniej 1,5 miliona ludzi. To nie wchodziło w grę. Natomiast w przypadku utrzymania przy Polsce choćby połowy terenów ukraińskich w granicach z 1939 roku byłoby to ogromnym ciężarem dla z trudem odbudowującego się państwa polskiego. Nacjonalizm był tu wszechogarniający. Władze radzieckie dysponujące niewspółmiernie większymi możliwościami, a także potężnym aparatem represji, zmagaly się z tym problemem przez wiele lat. Przypominam, że ostatni faktycznie dowodzący zbrojnym podziemiem na Ukrainie Roman Szuchewycz (gen. Taras Czuprynka) został zlikwidowany w marcu 1950 roku. Polska w granicach z 1945 roku odziedziczyła mniejszość ukraińską liczącą nieco ponad 600 tys. W latach 1945–1946 w ramach repatriacji dobrowolnej lub wymuszonej wyjechało na Ukrainę ponad 450 tys. osób. Pozostało około 160 tys. A jednak jeszcze przez dwa lata na południowo-wschodnich granicach Polski trwały działania zbrojne – lała się krew. Kres temu położyła dopiero tak potężna dziś operacja „Wisła” w 1947 roku. Można spytać, co by było gdybyśmy w granicach Polski mieli półtora czy dwa miliony Ukraińców. Można by te krótkie uwagi spuentować tak: pamięć i kultywowanie tradycji tak, nieodpowiedzialne mrzonki – nie.

Kolejnym tematem eksploatowanym w licznych publikacjach są represje radzieckie wobec polskiego ruchu oporu na terenach rdzennie polskich. Wspominałem

wcześniej o tym, że na ziemiach radzieckich (za linią Curzona) obowiązywały proste zasady. Uczestników akcji „Burza” należało rozbroić i internować, zostawiając im alternatywę wstąpienia do Armii Berlinga. Tych, którzy pozostali z bronią w ręku – zniszczyć. Na ziemiach rdzennie polskich działania radzieckie były znacznie bardziej zróżnicowane. Internowano głównie kadrę dowódczą, a także pracowników terenowych delegatur państwa podziemnego, przy zastosowaniu pewnych ograniczeń. Na przykład nie wolno było aresztować duchownych. W stosunku do pozostających nadal w podziemiu oddziałów generalnie była stosowana zasada, że ich likwidacja należy do polskiego aparatu bezpieczeństwa, a bezpośredni udział oddziałów radzieckich w działaniach zaczepnych przeciwko podziemiu był każdorazowo uzgadniany z odpowiednimi władzami polskimi. Takie sytuacje miały miejsce w czasie walk bratobójczych na terenach północnego Nadsania, wschodniej części Rzeszowszczyzny, czy też w województwie lubelskim. Tak było na przykład po zbrodniczej pacyfikacji wsi Wierzchowiny w powiecie krasnostawskim (194 ofiary) przez połączone oddziały prawicowego podziemia, które zresztą wcześniej atakowały radzieckie lotnisko polowe. Nie dotyczyło to licznych starć i potyczek toczonych przez placówki porządkowo-ochronne, posterunki i patrole. Problem polegał na tym, że znaczna część dowództwa skrajnych ugrupowań podziemia, głównie na terenach Podlasia, Lubelszczyzny czy Podkarpacia nie tylko sankcjonowała, ale często wręcz organizowała napady na żołnierzy radzieckich, głównie formacji tyłowych, ale także NKWD.

Działalność tych formacji nie miała wiele wspólnego z AK. Większość z nich nie podporządkowała się akcji scaleniowej realizowanej w latach 1943–1944, a jeżeli już to miała ona charakter jedynie formalny. Jeśli chodzi o podziemie poakowskie, to ograniczano się z zasady do rozbijania więzień bądź ośrodków internowania. Wyjątek stanowiła tu część oddziałów przybyłych z zachodniej Białorusi (głównie zgrupowanie Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”), które próbowały wystąpić zaczepnych. Ten proceder był podwójnie bezmyślny. Po pierwsze dostarczano argumentów radzieckim władzom bezpieczeństwa (także w rozmowach z sojusznikami). Po drugie narażało to setki ludzi, również niewinnych na śmierć lub wieloletnią poniewierkę. Działania te były z reguły obustronnie brutalne. Szeroko komentowana tzw. obława augustowska i związana z nią zbrodnia w Gibach miała właśnie takie podłoże. Bez znajomości dokumentów radzieckich nie ma możliwości dokładnej oceny przyczyn tej tragedii, ale fakt, iż decyzję w tej sprawie podejmował naczelny dowódca organu Smiersz gen. Wiktor Abakumow świadczyć może, iż na tym terenie miały miejsce liczne starcia i potyczki. Jeden z nielicznych autorów z kręgu IPN, starający się zachować obiektywizm, Grzegorz Motyka¹ podaje przykład – relację

¹ G. Motyka, *Na Białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014, s. 232–238.

dowódcy jednego z oddziałów podległych Z. Szendzielarzowi „Łupaszcze”. Oto 7 lipca 1945 roku we wsi Brzeziny rozbrojono bez walki kilkunastu żołnierzy radzieckich z jednostki frontowej. Wśród nich byli oficer i kobieta (w ciąży). Wszystkich rozstrzelano. Autor relacji pisze, że rozplakał się, ale przecież „Łupaszką” wielokrotnie upominał podkomendnych, aby nie pobłażać nikomu. Ten przykład (nie jedyny) świadczy o tym, jak trudno jest w sposób jednoznaczny ocenić ludzkie działania z tego okresu. Jest rzeczą oczywistą, że takie czy inne działania nie mogą usprawiedliwiać podstępnego ujęcia w marcu 1945 roku, a potem sądenia przywódców polskiego państwa podziemnego. To nie było w strefie przyfrontowej, ale na obszarze wyłącznej jurysdykcji władz polskich.

Rozmiary niniejszego artykułu nie pozwoliły na charakterystykę wszystkich tematów związanych z problematyką tzw. „zniewolenia”. To pojęcie obejmuje przecież cały okres istnienia PRL do 1989 roku, łącznie z lansowaniem bardzo niebezpiecznej tezy o nieistnieniu niepodległego państwa polskiego przez 45 lat. Tak czy owak ta kampania informacyjno-propagandowa ma głównie charakter antyrosyjski.

Stosunki polsko-rosyjskie na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat nigdy nie były dobre. Ale to, co miało miejsce w ostatnich latach rządów koalicji PO-PSL i niestety trwa po zmianie władzy w Polsce jest szczególnie przykładem bezmyślności czy wręcz absurdu w stosunkach międzynarodowych. Niemala w tym rola byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego i jego najbliższego otoczenia. Po prostu przekroczono pewien rubikon w stosunkach wzajemnych, spoza którego powrót będzie bardzo trudny. Czy były w owym czasie jakieś przebłyski działań pozytywnych? Niewątpliwie tak. To była między innymi wizyta Władimira Putina na Westerplatte w 2009 roku oraz jego artykuł zamieszczony w „Gazecie Wyborczej” zatytułowany: *Karty historii – powrót do wzajemnych pretensji czy podstawa pojednania i partnerstwa*. Następnie był Katyń i wspólne wystąpienie Donalda Tuska i Władimira Putina w 2010 roku, a nieco później wizyta metropolity Cyryla (2012 r.) i wspólne przesłanie do narodów Polski i Rosji. Było też bardzo poprawne zachowanie się władz rosyjskich po katastrofie smoleńskiej. Ale reakcja przeciwników normalizacji zarówno w kraju, jak i zagranicą była natychmiastowa i niezwykle mocna. I oto mamy rozpętanie zagrożenia wojennego i powszechnej rusofobii z szerokim wykorzystaniem elementów historycznych i wielką ilością prowokacyjnych wydawnictw książkowych oraz artykułów prasowych, a także audycji telewizyjnych. W skutek tych działań nastąpiło storpedowanie wysiłków skierowanych na zbliżenie polsko-rosyjskie.

Myszę, że celowe będzie przytoczenie przynajmniej kilku podjętych inicjatyw czy działań ze strony polskiej, które szczególnie przyczyniły się do zaognienia wzajemnych relacji:

- a) Podjęto bezpardonowe, obraźliwe działania propagandowe o rzadko spotykanej skali przeciwko osobie W. Putina. To musiało zrobić wrażenie w kraju, gdzie

człowiek ten od lat cieszy się poparciem w wymiarze nieczęsto widywanym we współczesnym świecie.

- b) Co najmniej od kilkunastu lat kolejne ekipy rządowe w Polsce demonstrowały bezwzględne, bezwarunkowe poparcie dla ugrupowań nacjonalistycznych na Ukrainie. Apogeum nastąpiło w czasie „Majdanu” 2013–2014. Prawdziwe pielgrzymki polskich polityków różnych ugrupowań do Kijowa, kolejne spektakle propagandowe wewnątrz kraju, histeria wojenna i rusofobia to zjawiska powszechne. Bezwarunkowe poparcie dla ugrupowań nacjonalistycznych na Ukrainie w warunkach utrzymujących się nadal drastycznych różnic w podejściu do tragicznych zdarzeń z okresu II wojny światowej można określić jako działania sprzeczne z polską racją stanu. Warto sięgnąć w tym kontekście po artykuł Stefana Wojtali *Korzenie nienawiści* („Polityka Polska” nr 2 (10)/2016). W tym miejscu chciałbym przytoczyć jeden przykład. Oto czołowy apologeta działań OUN-UPA – prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko, który osobiście odsłaniał pomnik kata Wołynia Dmytra Klaczkiwskiego (ps. Kłym Sawur) został uhonorowany w Polsce: – Orderem Orła Białego, – tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Trudno o bardziej wyrazisty przykład zakłamania i ślepoty politycznej. Czy coś w tej materii się zmieniło, chyba nie. Otóż obecny ambasador RP w Kijowie Jan Piętko stwierdził: „Nie widzę nic dziwnego, że Ukraina chce uczcić tych, co walczyli z komunizmem” (OUN-UPA). I dalej: „poza Wołyniem UPA ma również piękne karty”. (wywiad dla „Dziennika Polskiego”).
- c) Podjęto przez oficjalne środki masowego przekazu próby dyskredytowania Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi. Wydarzenie to Rosja zorganizowała kosztem ogromnych środków. Stało się ono dla tego kraju przedmiotem dumy narodowej. Tymczasem u nas już przed rozpoczęciem igrzysk podjęto, głównie w prasie a następnie w TV, sterowane kampanie ich dyskredytowania. Były to seryjne artykuły ukazujące bezsens organizacji tego rodzaju imprezy w Rosji, ostrzegające przed terroryzmem („bombowa olimpiada”). A potem nastąpiło poszukiwanie rzekomych pałaców W. Putina, bezdomnych psów, rozwalających się szalasów, a także manipulacji dotyczących wyposażenia obiektów olimpijskich. Po interwencji Rosjan a także przedstawicieli MKOL przerwano ten proceder. Po rozpoczęciu się wydarzeń na Majdanie w Kijowie minister Grzegorz Schetyna zaapelował o niezwłoczne wycofanie naszej reprezentacji z Olimpiady, przy czym Ukraińcy pozostawili swoim sportowcom swobodę decyzji.
- d) Przyznanie nagrody im. Lecha Wałęsy dla odbywającego karę więzienia, głównie za przestępstwa kryminalne, oligarchy Michaiła Chodorkowskiego, a następnie nagrody „Solidarność” dla związanego z radykalnymi strukturami islamskimi przywódcy krymskich Tatarów Mustafy Dżemilewa.

- e) Prowokacyjne wystąpienia najpierw ministra G. Schetyny a potem prezydenta B. Komorowskiego w związku z rocznicą 70-lecia wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przy tej okazji warto odnotować fakt, iż w tym samym dniu w Bytomiu odbyły się uroczystości w intencji Ślązaków wywiezionych w styczniu 1945 roku na roboty przymusowe do Donbasu z udziałem szeregu oficjeli świeckich i duchownych. Faktycznie wywieziono wówczas około 10 tysięcy osób, w ogromnej większości tzw. „volksdeutców”, to znaczy ludzi, którzy wcześniej podpisali tzw. Niemiecką Listę Narodowościową, czyli zarówno w świetle prawa jak i faktycznie przestali być Polakami i jako obywatele Rzeszy odbywali służbę w Wehrmachcie, jednostkach policyjnych lub innych organizacjach. To jest jeden z tych problemów „wstydlivych” niechętnie podejmowany przez badaczy (kłania się IPN). Prawie równolegle podjęto w diecezji warmińsko-mazurskiej temat upamiętnienia, a w dalszej kolejności wyniesienia na ołtarze dwóch księży niemieckich zabitych w 1945 roku przez żołnierzy radzieckich. Niemcy w tej sprawie jak na razie milczą. Organizatorom tych akcji godzi się przypomnieć, że w nazistowskich kacetach zamordowano wiele tysięcy polskich kapłanów (prawie 30% stanu). Jak dotąd tylko jeden z nich, ojciec Maksymilian Kolbe został wyniesiony na ołtarze. Do dziś nie ma żadnego centrum pamięci czy dokumentacji dotyczącej martyrologii polskich kapłanów. Zostawmy, więc niemieckich bohaterów w spokoju. Problem jest szerszej natury. Otóż w ostatnich latach ukazało się wiele publikacji (w tym również filmów) traktujących o nadużyciach wojsk radzieckich w stosunku do niemieckiej ludności cywilnej. Niektóre są bardzo drastyczne. Sami Niemcy dość oszczędnie poruszają tę problematykę. Bardzo wygodne dla nich jest to, że ich w tym wyręczamy. To zresztą sprawia wrażenie większej autentyczności.
- f) W uzupełnieniu zasług B. Komorowskiego w prezentowanych kwestiach należy wspomnieć o: – publicznym stwierdzeniu, że zbrodni na Wołyniu dokonali „Sowiet”; – zorganizowaniu w maju 2015 roku spotkania z okazji zakończenia II wojny światowej, głównie z udziałem przywódców nacji kolaborujących z III Rzeszą; – wystąpieniu na forum ONZ z wnioskiem o pozbawienie Rosji stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Jak twierdzą niektórzy były prezydent bardzo solidnie zapracował na przyznaną mu nagrodę Rady Atlantyckiej.
- g) Realizowanie od ponad 20 lat działań zmierzających do destabilizowania sytuacji politycznej na Białorusi (wydawnictwa, telewizja Bielsat, pomoc organizacyjna i finansowa dla opozycji itp.). Jest to działanie póki co bezowocne, kosztujące nas słono i wywołujące bardzo nerwowe reakcje Rosji, dla której utrata wpływów na Białorusi byłaby bardzo groźna. Warto w tym kontekście przytoczyć przykład sponsorowanej przez nas laureatki Nagrody Nobla Swietłany Aleksijewicz, która niedawno na spotkaniu w Nowym Jorku stwierdziła, że Żydów najgorzej

traktowali Polacy, a księża wzywali do ich mordowania itp. Szczególny to rodzaj wdzięczności.

Odrębnym problemem bardzo drażliwym jest sprawa pomników, tablic i innych miejsc upamiętnień a także nekropolii żołnierzy radzieckich z okresu II wojny światowej. Spoczywa ich na ziemiach polskich co najmniej 630 tys. Do tego trzeba dodać co najmniej 700 tys., a może i ponad milion jeńców radzieckich z lat 1941–1942, którzy zginęli w różnego rodzaju obozach i miejscach masowych kaźni, głównie na terenie Podlasia, Lubelszczyzny i Podkarpacia. O tych ludzi władza radziecka właściwie nigdy się nie upomniała i śladów ich pobytu i martyrologii jest niewiele. Postępowanie w tych sprawach regulują dwa dokumenty: – Traktat z 22 września 1992 roku *O przyjaznej i dobrosąsiedzkiej współpracy*; – Umowa z 22 lutego 1994 roku regulująca współpracę wzajemną w zakresie rejestrowania oraz należytego utrzymania miejsc pamięci i spoczynku żołnierzy polskich w Rosji i rosyjskich w Polsce. Na ile można się zorientować miejsca masowej martyrologii na terenie Federacji Rosyjskiej są utrzymane, pielęgnowane i modernizowane. Dotyczy to nie tylko Katynia, ale także Starobielska, Tweru, Ostaszkowa, Workuty i wielu innych miejsc masowego spoczynku Polaków.

U nas od wielu lat trwa sterowana akcja usuwania pomników i innych elementów upamiętniających żołnierzy radzieckich zarówno indywidualnych (Koniew, Czerniachowski), jak i zbiorowych. Zdarzają się fakty dewastacji nekropolii dokonane oczywiście przez nieznaną sprawców. To na pewno szkodzi opinii Polski i Polaków. Obecnie przyjęto regulację pozwalającą na likwidację tych obiektów z mocy prawa. Specjalistom od likwidacji pamiątek wojennych i tzw. dekomunizacji wypada doradzić, aby przyjrzeni się licznym pomnikom niemieckim, głównie na Opolszczyźnie, a także ukraińskim w południowo-wschodniej Polsce. Oto np. napis na pomniku w Hruszowicach: „Chwała bohaterom UPA, którzy walczyli za wolną Ukrainę”. Chciałoby się krzyknąć: Panowie, opamiętajcie się!

W stosunkach wzajemnych bardzo ważna jest polityka informacyjna. Otóż obecnie mamy taką sytuację, że ponad 90% Polaków nigdy nie było w Rosji. W młodym pokoleniu ten procent jest jeszcze wyższy. Praktycznie nie istnieje wymiana turystyczna, młodzieżowa, kulturalna itp. Współczesna Rosja to dla ogromnej większości naszych rodaków *terra incognita*. Są skazani na informacje w prasie, telewizji, wydawnictwach różnego rodzaju itp. A tam prawie bez wyjątku można znaleźć takie doniesienia, że w Rosji dzieje się źle albo też bardzo źle. Na przykład była korespondentka TV publicznej Barbara Włodarczyk, biła rekordy, miesiącami nie znajdując żadnego pozytywnego zjawiska w Rosji. Podobnie czynili jej koledzy i następcy.

A oto dwa przykłady być może skrajne, z krajowego podwórka. W audycji telewizyjnej dwaj redaktorzy biadolą nad słabym przygotowaniem obronnym naszej młodzieży. Wreszcie jeden z nich, postać znana, proponuje, aby zakupywać półtusze wieprzowe, stemplować je godłem Federacji Rosyjskiej i uczyć na nich młodzież

władania białą bronią. Drugi przykład pochodzi z maja 2016 roku. TVP1 wyemitowała film dokumentalny pt. *Marsz wyzwolicieli*, w którym autorzy z uporem maniaków starają się udowodnić, że w 1941 roku to nie Hitler, a Stalin planował marsz na Europę. Niemcy tylko go uprzedzili. ZSRR miał szykować milion spadochronów (ogólna ilość spadochroniarzy we wszystkich wojujących stronach nie przekroczyła 140 tys.). Z tego powodu miało, według informacji w filmie, w ZSRR płótna na bieleznię osobistą dla kobiet (sic!). Ekspertem występującym w filmie był Aleksander Rezun – Ukrainiec, były oficer GRU, który po wybraniu wolności przed trzydziestu laty napisał dwie książki miernej wartości, a obecnie pod uszlachconym nazwiskiem Aleksander Suworow promuje taką oto wiedzę historyczną w polskiej TV. Decydnym wypadaloby przypomnieć, że Rosjanie, a na pewno ich personel przedstawicielski też telewizję polską oglądają.

Długotrwała propaganda akcentująca zagrożenie rosyjskie, niekiedy przeradzająca się wręcz w histerię wojenną, spowodowała ogólny wzrost nastrojów antyrosyjskich. W niektórych środowiskach, jak np. politycy, działacze społeczni, dziennikarze, kadra naukowa wyższych uczelni czy też urzędnicy państwowi, stało się to swoistą normą. Ci, którzy myślą inaczej i realnie oceniają sytuację są niekiedy izolowani, a w skrajnych przypadkach wręcz nazywani „V kolumną” czy „agenturą Putina”. Kiedyś w okresie częstych organizacji protestów, pikiet i innych manifestacji, pod ambasadą FR zapytano prominenta związkowego po co tu przyszedł. Odpowiedział szczerze, że nie bardzo wie, ale przychodzą tu wszyscy, wszyscy którzy powinni tu być.

Drugie nie mniej ważne spostrzeżenie to fakt, że poprzez uporczywą propagandę zagrożenia rosyjskiego oraz manipulacji faktami historycznymi następuje u części młodego pokolenia przewartościowanie ocen. Okazuje się, że właściwie to nie Niemcy a ZSRR był sprawcą największych nieszczęść naszego narodu, zaś jego spadkobierczyni Federacja Rosyjska stanowi stałe zagrożenie dla naszej suwerenności. Z Niemcami mogliśmy się dogadać i osłabić wzajemne pretensje, a ze wschodnim sąsiadem nie. W tej sytuacji takie pojęcia, jak: okupacja, represje, obozy, zniszczenia wojenne schodzą niejako na plan dalszy. Jeśli do tego dodamy degradację Górnego Śląska, emigrację do Niemiec (440 tys. w ciągu ostatnich 3 lat), coraz bardziej butną postawę nielicznych, ale głośniejszych organizacji autonomicznych, a ponadto stopień zależności nie tylko naszej gospodarki, ale również środków masowej komunikacji od niemieckich ośrodków decyzyjnych, to trzeba się zaniepokoić.

I wreszcie spostrzeżenie trzecie nie napawające optymizmem to trwająca negacja wszelkich inicjatyw politycznych oraz gospodarczych Rosji na arenie międzynarodowej. Jako przykład może posłużyć tu problem budowy drugiej nitki gazociągu północnego Nord Stream 2. Już przy budowie pierwszej Polska była największym oponentem. Między innymi nie zgadzano się na budowę odgałęzienia na południe (do Czech) „bo to narusza interesy Ukrainy”. Dziś straszy się szantażem, przysłowio-

wym zakręceniem kurka itp., tymczasem głównym zamiarem Rosji jest radykalne zmniejszenie tranzytu przez terytorium Ukrainy, uważanej przez nich za niesolidnego partnera. Trzeba tu przypomnieć, że mimo zróżnicowania dróg dostaw na Zachód nadal jeszcze ok 55% dostaw rosyjskiego gazu (ogólna pula ok 180 mld m³) przechodzi przez terytorium Ukrainy. A więc znowu przypadła nam rola adwokata. Przykłady możemy mnożyć: likwidacja małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim; brak porozumienia w sprawie upamiętnienia Sobiboru – miejsca masowej martyrologii szczególnie Żydów, głównie obywateli radzieckich; wojownicze wystąpienia ministra Waszczykowskiemu w czasie podróży po Kaukazie, w tym między innymi nie mieszczące się w kanonach dyplomatycznych stwierdzenia, że „niepokoją nas zbyt częste wizyty Putina na Węgrzech”. Jest niemalże regułą, aby prawie w każdej z licznie odbywających się zarówno centralnych jak i lokalnych imprez o charakterze rocznicowo-patriotycznym były eksponowane, niekiedy w sposób natrętny, treści antyrosyjskie bądź antyradzieckie. To wszystko nie uchodzi uwadze strony rosyjskiej.

Polityka historyczna Rosji

Próba podsumowania

- Polityka historyczna Rosji odegrała doniosłą rolę w procesie umacniania jedności narodowej i konsolidacji społeczeństwa rosyjskiego wokół celów określanych przez kierownictwo państwa zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej. Wyraża się to nie tylko w niezmiennie bardzo wysokim zaufaniu do prezydenta FR (ponad 80%), jak i w powszechnej akceptacji dla formy rządzenia w oparciu o system partii dominującej (*Jedinaja Rossija*), wspartej o szeroki ruch społeczny (Front Narodowy). Partie opozycyjne reprezentowane w Dumie (Sprawiedliwa Rosja, komuniści i nacjonałści W. Żyrinowskiego) spełniają rolę opozycji tylko w odniesieniu do problemów wewnątrz krajowych. W polityce zagranicznej konsensus jest całkowity i niepodważalny. Opozycja liberalna (np. Jabłoko) została zepchnięta do roli tzw. „partii kanapowych”. Ich czołowi przedstawiciele (Stankiewicz, Ryżkow, Hakamada itd.) jako przedstawiciele opozycji pozaparlamentarnej mają możliwość przedstawiania swych poglądów w programach publicystycznych, w prasie itp. Ale jest to przysłowiowy „kwiatek do kożucha”. Jeszcze mniejsze możliwości oddziaływania ma tzw. rosyjska opozycja zagraniczna suto sponsorowana, głównie przez licznego rodzaju organizacje pozarządowe, przede wszystkim z USA. W najbliższym okresie zapewne nic się w tej dziedzinie nie zmieni. Warto podkreślić, że dzieje się to w sytuacji trwających trudności gospodarczych spowodowanych sankcjami gospodarczymi, spadkiem cen surowców energetycznych, dewaluacji rubla o ponad 50% oraz trwającą wojną informacyjno-propagandową.

- Często w opracowaniach analitycznych i eksperckich pojawia się pytanie: czy Rosja zaczyna odbudowywać imperium na obszarze postradzieckim? Otóż nie. Będący obecnie u steru politycy rosyjscy są realistami i zdają sobie sprawę, że Rosja na kontynencie europejskim nadal znajduje się w defensywie. Jej obecne granice w Europie to są granice mniej więcej z połowy XVII wieku. Wskrzeszenie tradycji Imperium Romanowów i działanie w ramach kampanii *ruszkij mir* spełniło swoją rolę konsolidacyjną w odniesieniu do społeczeństwa Federacji Rosyjskiej oraz diaspory rosyjskiej, zarówno na terenie tzw. „bliskiej zagranicy”, jak i w skali światowej. Dziś diaspora ta w ogromnej większości identyfikuje się z polityką zagraniczną Rosji. Jest oczywiste, że FR będzie kontynuować te działania, starając się kształtować pożądane postawy zarówno wśród diaspory rosyjskiej, jak i społeczeństw tych krajów, a także zachować dla siebie rolę arbitra w rejonach konfliktowych (Naddniestrze, Donbas, Górny Karabach itp.).
- Dalsza presja w kierunku rozszerzenia NATO, przemieszczanie coraz to nowych elementów infrastruktury i baz w pobliże granic FR, a także nasilająca się ilość wzajemnych incydentów na morzu i w powietrzu będzie powodować w społeczeństwie rosyjskim wzrost syndromu „oblężonej twierdzy”, przed czym wielokrotnie przestrzegał między innymi Zbigniew Brzeziński. Dotyczy to też globalnego zwalczania międzynarodowego terroryzmu. Rosjanie doskonale pamiętają, że w czasie gdy ginęły setki dzieci w Biesłanie i mnożyły się akty terroru między innymi w Moskwie, organizatorzy tych akcji cieszyli się pełną swobodą działania w państwach NATO. Nikt wówczas zagranicą nie organizował pochodów protestacyjnych, nie składał kwiatów i nie palił zniczy. Od tego czasu zmieniło się niewiele. Nadal podział na „dobrych i złych” terrorystów istnieje, choć jest bardziej zawaolowany.
- Rosji trudno będzie powstrzymać ofensywę informacyjno-propagandową Zachodu. Niemniej będzie ona aktywnie jej przeciwdziała wykorzystując między innymi argumenty historyczne. W tej dziedzinie Rosja poniosła szereg porażek, ale również odnotowała pewne pozytywy. Można tu przykładowo wymienić duże zmiany w ocenie polityki rosyjskiej wobec Ukrainy, problemy sankcji gospodarczych czy też interwencji rosyjskiej na Bliskim Wschodzie. Dotyczy to nie tylko określonych grup polityków, ale przede wszystkim społeczeństwa szeregu krajów UE.
- Wieloletnie bezkrytyczne poparcie dla nacjonalistycznych ugrupowań na Ukrainie i w krajach nadbałtyckich, ingerowanie w sytuację wewnętrzną na Białorusi, wspieranie działań antyrosyjskich na Kaukazie, a także niemająca precedensu histeria wojenna i rusofobia sprawiły, że polska polityka wschodnia znalazła się w ślepych zaułku. Staliśmy się zakładnikami cudzych interesów. Naiwność i przysłowiowe chęć są grzechami ciężkimi w polityce zagranicznej. My możemy i powinniśmy dążyć do pełnej normalizacji stosunków z Litwą, choćby z uwagi na położenie tamtejszej mniejszości polskiej. Powinniśmy starać się o poprawę

wzajemnych relacji polsko-ukraińskich, choć nie za cenę jednostronnych gestów. Nie możemy natomiast oczekiwać wzmocnienia przyjaźni. W tym przypadku nie chodzi tylko o zaszłości historyczne, ale również o aktualną postawę tamtejszych elit i szczególnie system edukacyjny i propagandowy preferujący skrajny nacjonalizm. Rzesze młodzieży defilującej ulicami Kijowa czy Lwowa pod flagami i symbolami UPA, czy też krzykliwa uroczystość gloryfikująca litewskich szaulisów to poważne ostrzeżenie na przyszłość. Pozostają nam faszyzująca /zamiast tego; odwołujące się do formacji kolaborujących z Niemcami w czasie II wojny światowej/, Łotwa i Estonia, daleka nieco egzotyczna Gruzja oraz zwolennicy kaukaskiego kalifatu. To przykra perspektywa.

- W aktualnej sytuacji geopolitycznej dalsza izolacja Rosji i próby rozszerzenia NATO na wschód nie leżą w naszym interesie. Wykorzystywanie Polski jako swoistego klina między Europą Środkowo-Wschodnią a Rosją niesie ze sobą różnorakie zagrożenia dla naszego kraju. Swoiste zapętlenie historyczne i brak chociażby zbliżonych ocen dramatycznych czy wręcz tragicznych faktów i zjawisk z dziejów obydwu państw stanowi chyba najważniejszy hamulec w normalizacji wzajemnych stosunków. Bez postępu w tej dziedzinie jest ona wręcz niemożliwa.
- Niestety w Polsce nadal jest powszechna, a w pewnych okresach wręcz zaostrza się propaganda antyrosyjska. Wystarczy tu wspomnieć o pewnych zjawiskach mających miejsce podczas odbywającego się w Warszawie szczytu NATO, jak np. pojawienie się na murach stolicy niemieckojęzycznych plakatów stylizowanych na emblemat SS z Putinem w tle, czy też żenujące widowisko zorganizowane przez Ukraińców przed ambasadą FR. Nadal wręcz z absurdalnym uporem lansowana jest w niektórych środowiskach teoria zamachu w odniesieniu do katastrofy smoleńskiej.
- Politycy rosyjscy są pamiętliwi, ale w interesie Rosji nie leży dalsze zaostrzenie stosunków wzajemnych. Potrzeba częstszych wzajemnych kontaktów na różnych szczeblach i pewnych sygnałów pozytywnych. Takim sygnałem pozytywnym byłoby w miarę rzetelne informowanie naszego społeczeństwa o sytuacji wewnętrznej i polityce zagranicznej Rosji. Trzeba sobie uzmysłwić, że przyciąganie wschodnich sąsiadów do Europy nie powinno odbywać się kosztem Rosji. Jest to ogromnie ważne w obliczu narastających komplikacji w stosunkach polsko-ukraińskich, a także w związku z podjętymi przez obecną ekipę rządzącą próbami choćby częściowego osłabienia dyktatu Brukseli (z Niemcami w tle).

Michał Siekierka

„Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej”

W dniu 11 lipca 2017 r. w ramach obchodów, przygotowanych przez Instytut Pamięci Narodowej wraz z Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, przy współpracy Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów oraz Zarządu Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, odsłonięto tablicę informacyjną przy pomniku Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej. Należy przypomnieć, że owy monument, mieszczący się na Skwerze Wołyńskim w Warszawie od 2013 r. był pozbawiony inskrypcji. Pomnik wybudowany przez Radę Ochrony Pamięci i Męczeństwa (jego autorem jest rzeźbiarz Marek Moderau) liczy 160 metrów kwadratowych i składa się z dwóch części: Krzyża (liczącego 7 metrów wysokości) oraz 18 tablic z nazwami miejscowości z siedmiu przedwojennych województw II Rzeczypospolitej: wołyńskiego, poleskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, lwowskiego, oraz częściowo lubelskiego i krakowskiego. Na krucyfiksie umieszczono czarną figurę Jezusa Chrystusa pozbawioną rąk, co w założeniu mało unaocznic (uzmysłowić) odbiorcy okrucieństwo i bezwzględność z jaką ukraińscy nacjonałiści mordowali Polaków. W 2013 r. przypadała 70 rocznica ludobójstwa dokonanego na Polakach przez OUN – UPA, i to z tej okazji na Skwerze Wołyńskim w pobliżu pomnika 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK został wzniesiony przedmiotowy monument. Niestety, ówczesna koalicja rządząca PO – PSL nie zezwoliła na umieszczeniu na nim tablicy informującej w jakiej intencji owy pomnik powstał. Ten błąd został naprawiony w bieżącym roku. Finalny zapis na epitafium głosi: „Pomnik ofiar ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II RP na terenie województw południowo wschodnich w latach 1942 – 1947”, i znajduje się na bryle umiejscowionej przy tablicach z wyrytymi nazwa-

mi miejscowości. „Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej” w 2017 r. był obchodzony pierwszy raz od jego ustanowienia (tj. 22 lipca 2016 r.). Warto przy tej okazji zastanowić się nad znaczeniem słowa ludobójstwo, terminem który w przeszłości budził tak wiele kontrowersji i wywoływał ogromny sprzeciw nie tylko wśród części ukraińskiej ale i polskiej opinii publicznej. Z pozoru odpowiedź wydaje się być oczywista – ludobójstwo to pojęcie użyte przez polskiego prawnika Rafała Lemkina w wydanej w 1944 r. książce „Axis Rule in Occupied Europe” („Rządy Osi w okupowanej Europie”). Do języka prawnego termin ludobójstwo wszedł za sprawą Konwencji ONZ w sprawie Zapobiegania i Karania Zbrodni Ludobójstwa podpisanej 9 grudnia 1948 r., której wstępny projekt był współtworzony przez Lemkina. Konwencja ta wskazuje, że karane jest nie tylko ludobójstwo, ale także podżeganie do niego, współuczestnictwo, usiłowanie jego popełnienia oraz zmowa w celu jego popełnienia. ONZ w dniu 26 listopada 1968 r. zaliczyła ludobójstwo do zbrodni nieprzedejawnialnych. Tak więc czy chodziło wyłącznie o obawę, że winni zbrodni, która wydarzyła się 70 lat temu będą ścigani i sądzeni, tak jak ma to miejsce w przypadku byłych nazistów? Z pewnością tak, aczkolwiek nie jest to pełna odpowiedź. Ludobójstwo jest pojęciem jednoznacznym, nie pozostawiającym wątpliwości co do celu prowadzonych działań oraz wskazującym bezdyskusyjnie stronę winną. Stąd tak duży opór przed jego użyciem. W innych przypadkach możliwe jest doszukiwanie się symetrii, okoliczności łagodzących czy wręcz usprawiedliwiających. Przykładowo, przeanalizujmy semantyczne znaczenie słowa „zbrodnie”. Czym różni się „zbrodnie” od „ludobójstwa”? Godzi się stwierdzić, że wszystkim. „Zbrodnie” jest pojęciem nieostrym, niedopowiedzianym. Wskazuje na odstępstwo od pewnej normy, aberrację – czyn człowieka, który spotyka się ze szczególnym potępieniem ze strony społeczności. Dalej, odnosi się do działania niepowtarzalnego. Ofiary zbrodni mogą być przypadkowe a jej sprawcy działający w afekcie. Do zbrodni mogły doprowadzić różne okoliczności – zemsta, wcześniejsza prowokacja itp. „Zbrodnie” można dokonać kierując się różnymi przesłankami np. chęcią wzbogacenia się. Innymi słowy termin „zbrodnie na Polakach” może być poddany pod dyskusję – dopuszcza relatywizację w zależności od społecznych punktów odniesienia. Dlatego zważywszy na historyczne fakty, działania ukraińskich nacjonalistów należy nazywać zgodnie z prawdą ludobójstwem. Ludobójstwo różni się od „zbrodni” tym, że jest ukierunkowane na osiągnięcie konkretnego celu. Tym celem jest fizyczna eksterminacja przeciwnika, za względu na niego samego a nie cokolwiek innego. Nowoczesne ludobójstwo (a takim było ludobójstwo dokonane przez OUN – UPA) jest elementem inżynierii społecznej, którego celem jest radykalna (fizyczna) zmiana struktur otaczającego świata. Przede wszystkim jest świadomą, zaplanowaną zgodnie z oficjalnie głoszoną doktryną polityczną działalnością, nie odbiegającą od norm lecz tworzącą normy. Przykła-

dowo w nazistowskich Niemczech antysemickie prawa oraz chęć eksterminacji Żydów nie była odstępstwem od normy tylko normą (prawem III Rzeszy). „Zbrodnia” jest odstępstwem od normy, dlatego aby prawidłowo opisać los europejskich Żydów używa się terminu „Zagłada”, „Holokaust” lub „Shoah”. Działania banderowców były również oparte na politycznej doktrynie, której celem była „wielka Ukraina” – państwo utopijne, homogeniczne, składające się z obywateli wymyślonych w umysłach ludzi kierującymi zbrodniczą organizacją – OUN. W tym kontekście należy zwrócić uwagę, że zabijano również Ukraińców nieidentyfikujących się (a więc niepasujących) z ideologią nacjonalistyczną. Na III Konferencji Ukraińskich Nacjonalistów, która odbyła się w lutym 1943 r. zdecydowano o całkowitej likwidacji wszystkich „obcych” zajmujących tereny tzw. przyszłego państwa Ukraińskiego. W praktyce sprowadzało się to do fizycznej eliminacji Polaków na tym obszarze. Celami starannie zaplanowanych i zsynchronizowanych napadów stała się ludność cywilna. To nie była zbrodnia a właśnie ludobójstwo – świadoma, ciągła działalność eksterminacyjna. Termin ludobójstwo przekreśla wszelkie próby doszukiwania się symetrii oraz jednoznacznie wskazuje na sprawców. Nie może być niczym usprawiedliwione i nie znajduje okoliczności łagodzących. W związku z powyższym zamyka wszelkie dyskusje dotyczące lat 1939 – 1947 i to właśnie budziło i nadal budzi wielki sprzeciw środowisk, które identyfikują się z ideologią banderowską, relatywizują ją oraz działają na szkodę organizacji kresowo – kombatanckich. Na zakończenie warto pokusić się o refleksję dlaczego „ludobójstwo” a nie „czystka etniczna”? Otóż „czystka etniczna” zgodnie z rezolucji Komisji Praw Człowieka obejmuje deportację i przymusowe, masowe usuwanie lub wypędzanie osób z ich domów. Jest to wygodne stwierdzenie dla tych, którzy fałszują historię mówiąc, że Ukraińcy nacjonałiści nie dążyli do fizycznej anihilacji Polaków ale jedynie do ich usunięcia. Pojęcia tego nie można mylić z ludobójstwem, które jest hasłem o wiele szerszym ani też ze zbrodnią wojenną, która nie jest nakierowana na konkretną grupę etniczną, a popełniana jest przeciw ogółowi (nie wymaga planu politycznego). Niniejszy tekst dedykuję wszystkim tym, którzy uważają, że „bardziej adekwatnym i dyplomatycznym posunięciem byłoby ustanowienie dnia pamięci ofiar zbrodni wołyńskiej – nie obchodzimy przecież dni pamięci ofiar ludobójstwa niemieckiego...” (cyt. za G. Motyka, *Wołyń 34*, Warszawa 2016, s. 243.). Ale obchodzimy Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu – a czym jest Holokaust jak nie ludobójstwem?

Jacek Kędziński

Deja vu, albo „ziobrowe” psucie Kodeksu karnego

Do zagadnienia „sędziowski wymiar kary” podchodzę z wielkim sentymentem, jako że ponad ćwierć wieku temu „zrobiłem” na nim magistra... Ech, jak to mi szybko zleciało. Praca „Sędziowski wymiar kary – analiza prawnoporównawcza” była maratonem, którego trasa wiodła przez kodeks Makarewiczowski, kodeksy państw zachodnioeuropejskich, po czym nastąpiła „ekskursja” do Kraju Rad, by uchwycić co Sowiety wniosły do tej bardzo ważnej instytucji prawa karnego. Było to ważne, by uchwycić przyczyny zmian wprowadzonych *siła ciężkości* do tej instytucji w peerelowskim kodeksie karnym. Całość zwieńczyła analiza ówczesnych projektów zmian polskiego prawa karnego.

Przypomniałem sobie o czasach mojej młodości uniwersyteckiej, kiedy doczytałem o kolejnej reformie prawa karnego, w ramach której zreformowaniu uległ m.in. przepis o zasadach sędziowskiego wymiaru kary. Ta szczególnie interesująca mnie nowelizacja Kk weszła w życie 13 lipca 2017 r. (Dz. U. z 2017 r. poz. 773). Zreformowano paragraf 2. art. 53 kk, który po tym zabiegu ma treść następującą: *„Wymierzając karę, sąd uwzględnia w szczególności motywację i sposób zachowania się sprawcy, zwłaszcza w razie popełnienia przestępstwa na szkodę osoby nieporadnej ze względu na wiek lub stan zdrowia, popełnienie przestępstwa wspólnie z nieletnim, rodzaj i stopień naruszenia ciężących na sprawcy obowiązków, rodzaj i rozmiar ujemnych następstw przestępstwa, właściwości i warunki osobiste sprawcy, sposób życia przed popełnieniem przestępstwa i zachowanie się po jego popełnieniu, a zwłaszcza staranie o naprawienie szkody lub zadośćuczynienie w innej formie społecznemu poczuciu sprawiedliwości, a także zachowanie się pokrzywdzonego.”* Jak widać, zreformowany przepis zawiera nieco więcej niż jego pierwotna wersja, jako że w sposobie zachowania się sprawcy szczególnie nakazuje sądom zwracać uwagę zwłaszcza na *popełnienie przestępstwa na szkodę osoby nieporadnej ze względu na wiek lub stan zdrowia*.

Za sprawą judykatu SN, potwierdzonego stanowiskiem doktryny, przyjęto zasadę, że okoliczności strony przedmiotowej będące jednocześnie znamionami typu kwalifikowanego przestępstwa, a zatem skutkujące wyższym ustawowym wymiarem kary za przestępstwo, a także te okoliczności, które w ogóle budują typ danego przestępstwa, uwzględniane przez ustawodawcę jako okoliczności mające mieć wpływ na wymiar kary być nie powinny. Wszystko to w imię zasady, by sądy

dwakroć tego samego nie brały pod uwagę. Okoliczność taka, że *popelnienie przestępstwa nastąpiło na szkodę osoby nieporadnej ze względu na wiek lub stan zdrowia* należała jeszcze przed nowelizacją już, w nieco innym brzmieniu, do znamion kilku przestępstw czy to przeciwko wolności, zwłaszcza tej seksualnej, czy to przeciwko rodzinie, statuując bądź sam typ przestępstwa, bądź też typ kwalifikowany. Z tego powodu okoliczność taka nie powinna rzutować na sam wymiar kary. Mało tego, ta sama nowelizacja utworzyła dwa typy kwalifikowane przestępstw, w których znamiona takie występują. /Art. 189 § 2a. Jeżeli pozbawienie wolności, o którym mowa w § 2, dotyczy osoby nieporadnej ze względu na jej wiek, stan psychiczny lub fizyczny, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 12. Art. 207 § 1a. Kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą nieporadną ze względu na jej wiek, stan psychiczny lub fizyczny, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8. (w typach podstawowych od 3 miesięcy do 5 lat)/ Realizacja tych znamion skutkuje wyższym przedziałem kary pozbawienia wolności, a co za tym idzie znamion tych nie należy uwzględniać przy konkretnym wymiarze kary. Tymczasem Kk to nakazuje po ostatniej, zio browej nowelizacji.

Otóż, okoliczność taka, że *popelnienie przestępstwa nastąpiło na szkodę osoby nieporadnej ze względu na wiek lub stan zdrowia* należy już do znamion kilku przestępstw czy to przeciwko wolności, zwłaszcza tej seksualnej, czy to przeciwko rodzinie, statuując bądź sam typ przestępstwa, bądź też typ kwalifikowany. Z tego powodu okoliczność taka nie powinna rzutować na sam wymiar kary. Z resztą, jeżeli delikwent świadomie wybrał na swoją ofiarę osobę srebrnogłową albo chorą, to to już można uwzględnić w ramach motywacji sprawcy, bo prawdopodobnie do popelnienia czynu pchnęła go myśl, że z taką osobą *będzie mu łatwiej*, aniżeli ze stałym bywalcem salonu gimnastycznego. Sytuacja taka należy jednak do rzadkości. Zaś przymioty ofiary, z którymi zapoznał się w trakcie lub po dokonaniu czynu, czy nawet dopiero podczas postępowania nie powinny być zapisywane na jego koncie.

Istnieje adwokacki dowcip, opowiadany przez nestorów adwokatury, szkolących adeptów tego rzemiosła. Pewien mecenas bronił dwóch delikwentów, którzy stanowili zgrana parę włamaniową. Jeden był w wieku młodocianym, zaś jego towarzysz mógłby mu być dziadziusem. Tak młodość z rutyną spotkała się w tym fachu. I oto w mowie obrończej przewijają się dywagacje na temat ich wieku. O pierwszym adwokat pieje, że toż to dziecię jeszcze, że mleko pod nosem nie obeschło i jakże takiego za kraty, o drugim, że to starzec, chylący się ku ziemi i jakże go z kratki posyłać... Przerywa tę mowę sąd uwagą następującą: – *„Wychodzi na to mecenasie, że to Pan jest w wieku odpowiednim do takiego procederu jaki oni popelniali”*.

Pora na dowcipy na temat wieku ofiary przestępstwa.

Nie mogę pozytywnie ocenić ani zmian dokonanych już, ani też tych, które resort Ziobry zamierza wprowadzić do Kodeksu karnego. Nie pod i mnie, że już naruszenie

miru domowego ma uprawniać właściciela, czy może i tylko posiadacza mieszkania lub działki gruntu do zabicia człowieka. Resort sprawiedliwości forsuje wprowadzenie do Kk następującego przepisu.

„Nie podlega karze, kto przekracza granice obrony koniecznej, odpierając zamach polegający na wdarciu się do mieszkania, lokalu, domu albo ogrodzonego terenu przylegającego do mieszkania, lokalu, domu lub odpierając zamach poprzedzony wdarciem się do tych miejsc – chyba że przekroczenie granic obrony koniecznej było rażące” Byłby to, zgodnie z „Rządowym projektem ustawy o zmianie ustawy – Kodeks karny” § 2a dodany do art. 25 Kk, przewidującego uchylenie karalności czynu ekscententa w sytuacji, gdy przekroczenie granic obrony koniecznej nastąpi przy odpieraniu bezprawnego zamachu, polegającego na wdarciu się do mieszkania, lokalu, domu albo przylegającego do nich ogrodzonego terenu.

Samo wdarcie się określa art. 193. Kk: Kto wdziera się do cudzego domu, mieszkania, lokalu, pomieszczenia albo ogrodzonego terenu albo wbrew żądaniu osoby uprawnionej miejsca takiego nie opuszcza, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku. Z zagrożenia karnego wynika, że jest to „słaby” występki o niezbyt wielkiej szkodliwości społecznej. Zawsze zadaję sobie pytanie, czy takim „wdarciem się” jest przeskoczenie parkanu cudzej nieruchomości po to, by zabrać piłkę, która tam do ogrodu wpadła, bo poziom gry graczy był wysoki ale inaczej. Doktryna i judykatura nie dawały mi dotąd na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Pewnie nie, ale warto tu przywołać przypadek biblijnej Zuzanny, która samotna w ogródku brała kąpiel, nie zorientowawszy się, że w miejscu tym przebywają ukryte przed nią jeszcze inne osoby. Co z tego wynikło, odsyłam do źródła. Osoba taka na prawo, by na ten czas nikt postronny do jej ogródka nie zaglądał. Takie wdarcie się zawiera zatem element bezprawności. Pytanie, które tu się nasuwa odnosi się do dozwolonej reakcji posiadaczki ogrodu, biorącej kąpiel, choćby tylko słoneczną, w stroju wskazującym na pewność, że nikt jej nie widzi, po tym jak spostrzegła, że jednak ktoś ją obserwuje. Czy ma prawo sięgnąć do kosmetyczki po damski pustołek? Znana też jest scena z mojego ulubionego filmu „Kronika wypadków miłosnych”, w której niedojrzały amant wdarł się pod osłoną nocy na teren willi sanacyjnego oficera, by uprawiać z konar drzewa voyeurizm. Młodociany voyeurysta narobił hałasu, jako że konar nie wytrzymał naporu tego momentu. Obudzony sanacyjny oficer niewiele namyślając się użył dubeltówki. Dubeltówka wypaliła, a wypłute przez nią śruciny odczuł zmykający voyeurysta. Te sceny – biblijna i filmowa są znakomitym podłożem, pomocnym do roztrząsania na detale ziołowej reformy obrony koniecznej.

Dotychczas kontratyp obrony koniecznej uregulowany jest tak:

Art. 25. § 1. Nie popełnia przestępstwa, kto w obronie koniecznej odpiera bezpośredni, bezprawny zamach na jakiegokolwiek dobro chronione prawem. § 2. W razie przekroczenia

granic obrony koniecznej, w szczególności gdy sprawca zastosował sposób obrony niewspółmierny do niebezpieczeństwa zamachu, sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wymierzenia. § 3. Nie podlega karze, kto przekracza granice obrony koniecznej pod wpływem strachu lub wzburzenia usprawiedliwionych okolicznościami zamachu.

Do tych przepisów raczej nie mam nic, poza tym, że śmieszy mnie to, że strach lub wzburzenie mogą uwolnić od kary. Gdybym mógł coś tu zmienić, to uchyliłbym § trzeci tego artykułu. To on został dodany, by rozluźnić dozwolone granice obrony koniecznej. Teraz ma nastąpić rozluźnienie rozluźnienia. Ma do tego dojść przez zastąpienie istniejących przepisów formułą cytowaną na wstępie.

Kodeksowe uregulowanie obrony koniecznej nie implikuje, jak kontratyp stanu wyższej konieczności, proporcjonalności dóbr i to jest jej słaba strona. Niezmiernie istotny jest wymóg bezpośredniości zamachu. Bezpośredniość ta implikuje świadomość ofiary, że grozi jej lub innym osobom realne niebezpieczeństwo. Świadomość ta winna być oparta na racjonalnych przesłankach, nie zaś wypływać z nieracjonalnych stanów, jak strach, czy wzburzenie. Stąd śmieszy mnie przepis § 3. Zamachem jest przestępstwo jeszcze nie dokonane. Od strony sprawcy zamachu jest to zaledwie dynamiczne, gwałtowne zbliżanie się ku jego dokonaniu. Nie ma obrony koniecznej w razie ranienia lub pozbawienia życia sprawcy zabójstwa, w czasie gdy ten podjął ucieczkę. Jest to typowe przekroczenie granic obrony koniecznej, /eksces ekstensywny/, ekskulpujące całkowicie działania podjęte w chwili zamachu. Resortowa propozycja modyfikacji kontratypu obrony koniecznej miała, jak się wydaje zmierzać do ekskulpacji ekscesu intensywnego, który zajdzie, jeżeli sprawca zastosował sposób obrony niewspółmierny do niebezpieczeństwa zamachu. Zadać należy pytanie, czy samo wdarcie się do mieszkania, lokalu, domu albo ogrodzonego terenu przylegającego do mieszkania, lokalu, domu jest zamachem. Otóż, nie jest zamachem działanie polegające jedynie na całkowitej realizacji znamion przestępstwa, a w tym konkretnym przypadku naruszenia miru domowego. Jeżeli „sprawca” wdarł się na cudzą nieruchomość gruntową i tam stoi i np. patrzy na przelatujące ptactwo, to nie jest to zamach, lecz naruszenie miru domowego i do takiego delikwenta strzelać nie należy, a jedynie wezwać odpowiednie służby, by go usunęły. Samo „wdarcie się” za zamach bezpośredni i bezprawny uchodzić nie może. Tu tkwi podstawowy błąd resortowych zamierzeń wobec kodeksowej konstrukcji obrony koniecznej.

Deja vu to przecucie, że ktoś już kiedyś coś widział lub przeżywał. W przypadku „ziobrowania” obrony koniecznej właśnie takie przecucie mnie dręczy. Wydaje mi się, że resort po raz wtóry usiłuje wepchnąć nas, zwłaszcza nas kranistów do tej samej brudnej kałuży, w której usiłował nas wytaplać 10 lat temu. Rozwiązanie Sejmu RP usiłowaniami tym położyło kres. Mam przed sobą sejmowe opracowanie z tamtego okresu „Kodeks karny – projekt nowelizacji druk sejmowy 1756”, Warszawa, lipiec 2007

5/2007. Zawartość tej publikacji utwierdza mnie w przekonaniu co do trafności mojego *deja vu*. Jest tam analiza ówczesnych rządowych zamierzeń względem Kodeksu karnego autorstwa prof. A. Zolla /*OPINIA o projekcie ustawy o zmianie ustawy – Kodeks karny oraz niektórych innych ustaw (art. 10, 12, 25, 26, 66–84, 85–2, 26a) Kraków, 1 czerwca 2007 r. Str. 33 i nast./*. Nie myli mnie pamięć i poczucie *deja vu*. 10 lat temu rząd zamierzał wprowadzić w zakresie obrony koniecznej regulacje identyczne z tymi, w tegorocznych projektach. Tak je ocenił prof. A. Zoll: „Trudno uznać, że wtargnięcie, w szczególności na ogrodzony teren lub do pomieszczenia, musi się łączyć zawsze z użyciem bezprawnej przemocy wobec osoby. Przepis ten tak sformułowany może także stanowić zabezpieczenie dla funkcjonariuszy sił porządkowych przy np. usuwaniu blokad pomieszczeń i w tym kierunku może być nadużywany.” Oto zagrożenia dla obywateli, które może przynieść przeforsowanie wtórnika projektu midyfujacji obrony koniecznej.

„Nie da się rozszerzyć znamion kontratypu obrony koniecznej, aby nie popaść w rażąco sprzeczność ze zdrowym rozsądkiem. Podejmuje się więc próby rozszerzenia granic bezkarności w sytuacji przekroczenia granic obrony koniecznej, a więc popełnienia czynu zabronionego pod groźbą kary i bezprawnego. W odbiorze społecznym, nie bez udziału czynników rządowych, regulacja ta została odebrana jako rozszerzenie prawa do obrony koniecznej. Jedno z mediów wręcz podało, że będzie można zabić napastnika, który wtargnął do naszego mieszkania. Proponowany przepis w zakresie, w którym odparcie zamachu polegać będzie na pozbawieniu życia napastnika, pozostaje w sprzeczności z art. 2 lit. a europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Przepis ten stanowi: „Pozbawienie życia nie będzie uznane za sprzeczne z tym artykułem (art. 1 – dop. A. Z.), jeżeli nastąpi w wyniku bezwzględnie koniecznego użycia siły: a) w obronie jakiegokolwiek osoby przed bezprawną przemocą (...)”. Jest oczywiste, że w sytuacji, o której mowa w proponowanym przepisie, warunki z Konwencji nie muszą wystąpić. Przepis jest więc ujęty zbyt szeroko i podlegałby w tej formie zaskarżeniu do TK.”

Są o ludzie, którzy popełniają błędy, co bywa przyczyną porażki ale później cofają się myślami wstecz i błędy te analizują, by w przyszłości ich nie popełnić. Zbigniew Ziobro do takich ludzi zaliczyć nie można. Dziesięć lat temu, będąc ministrem sprawiedliwości popełniał straszliwe błędy. I dziś, kiedy ponownie zajmuje to stanowisko widzę, że niczego przez 8 lat przerwy nie zdołał się nauczyć. Są tacy ludzie, ludzie którzy przez lata nic nie zrozumieli, niczego się nie nauczyli. Zbigniewa Ziobro do nich zaliczam.

Jan Koziar

Projekt polskiego systemu własności pracowniczej.

I. Wprowadzenie

Obecny tekst jest zmodyfikowaną wersją streszczenia pełnego projektu, opublikowanego w Internecie w kwietniu 2017 roku i drukiem w listopadzie tego roku. Pełny projekt (o objętości 78 stron) jest dostępny pod adresem:

www.rp-gospodarna.pl/projekt_akcjonariatu.pdf oraz w postaci drukowanej w siedzibie „Miesięcznika Polityka Polska” – ul. Podwale 11, lok. 131 (I p.), 00-252 Warszawa, tel. 22 416-92-92 (odbiór na miejscu lub zamówienie wysyłki), www.politykapolska.pl.

Pełny projekt jest swego rodzaju skryptem zaznajamiającym jednocześnie z problematyką akcjonariatu pracowniczego. Dla ułatwienia zapoznania się z samym projektowanym systemem potrzebne było streszczenie, które wykonałem i zaprezentowałem w Internecie we wrześniu br. Jest ono dostępne pod adresem: www.rp-gospodarna.pl/projekt_streszczenie.pdf

Zmodyfikowanie streszczenia nastąpiło po konsultacji z twórcą National Center for Employee Ownership (Narodowego Centrum Własności Pracowniczej) w Stanach Zjednoczonych, dr Coreym Rosenem, z którym (zajmując się własnością pracowniczą) jestem w kontakcie od 1990 roku. Corey Rosen zaakceptował wprowadzenie dwuczłonowości pracowniczego funduszu inwestycyjnego, sposób finansowania akcjonariatu przez przedsiębiorstwo i wprowadzenie permanentnego, kolektywnego pakietu akcji darmowych przy pracowniczej prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Wyrzucił jednak wątpliwość czy pracownicy będą skłonni wpłacać minimum 5% swoich poborów do akcjonariatu. W związku z tym wprowadziłem drugi wariant, w którym zredukowałem minimalną wielkość wpłat pracowników do 3% i podwoiłem odpowiadającą im wpłatę przedsiębiorstwa.

Ponadto, dla lepszego zrozumienia całości, dodałem skrócony opis systemu ESOP i systemu „Gazolin”, co przybliży niniejszy tekst do pełnego tekstu projektu z kwietnia 2017 roku, zachowując jednak niewielką objętość (18 stron).

W rozdziale o prywatyzacji pracowniczej postawiłem ścieżkę inwestycyjną nad wykupową. Ponadto dodałem jeden rozdział o dywersyfikacji kapitału pracowniczego, przeredagowałem i rozbudowałem rozdział o pracowniczym współdecydo-

waniu oraz dodałem ostatni rozdział o koniecznej kolejności prac nad wprowadzaniem akcjonariatu w skali całego kraju, czyli – najpierw projekt systemu, potem projekt ustawy.

Tematyka rozdziałów o współzarządzaniu i o niezbędnym zaangażowaniu związków zawodowych w akcjonariat pracowniczy nie jest potrzebna do tworzenia ustawy o akcjonariacie. W omawianiu jednak samego systemu własności pracowniczej jest konieczna.

II. Amerykański system ESOP

Przy firmie, która uruchamia system ESOP, zakładany jest tzw. ESOP-trust. Gromadzi on kapitał pracowniczy, generowany wyłącznie przez firmę (nie przez pracowników). Mechanizm jest następujący: firma wpłaca rocznie do ESOP-trustu pewną kwotę, maksymalnie do 25 % funduszu płac¹. Sumę tę firma odlicza od podstawy opodatkowania². Trust nabywa za te pieniądze akcje firmy i przydziela je bezpłatnie pracownikom. Obrazowo mówiąc, **w systemie amerykańskim właściciel firmy przekazuje zwolnioną z opodatkowania darowiznę swojemu pracownikowi, a ten obowiązkowo inwestuje ją w tejsze firmie.**

Korzyść dla firmy polega na tym, że unika opodatkowania tej kwoty. Ulga podatkowa ma uzasadnienie inwestycyjne i emerytalne, jako że wpłata firmy do ESOP-u jest jednocześnie składką emerytalną płaconą pracownikowi przez zakład pracy (o czym dalej).

Korzyść dla pracowników polega na tym, że oprócz dodatkowego zabezpieczenia emerytalnego stają się właścicielami kapitału inwestowanego w ich zakład pracy.

Żelazną zasadą jest, że pracownik nie otrzymuje „do ręki” wspomnianej „darowizny”. Jest ona przekazywana bezpośrednio z funduszu firmy do ESOP-trustu. Akcje firmy są rozprowadzane w ESOP-truście na indywidualne konta pracowników, proporcjonalnie do ich zarobków – z ograniczeniem dla menedżerów, których zarobki są bardzo wysokie. Chodzi o to, by system generował akcjonariat pracowniczy, a nie menedżerski.

Przyznawane akcje są przechowywane w truście i niezbywalne w okresie zatrudnienia pracownika (drugie żelazne prawo). Staje się on ich właścicielem nie od razu, a dopiero po 5-7 latach, w których nabywa do nich prawo własności (*vesting*). Jeżeli zwolni się wcześniej, nie otrzymuje z ESOP-trustu nic. **Przy odchodzeniu pracow-**

¹ 25% funduszu płac oznacza jedynie miarę górnego pułapu wpłat firmy z funduszy własnych. Nie są to wpłaty dokonywane z funduszu płac, czyli wpłaty pracowników.

² Limit 25% funduszu płac jest limitem korzystania z ulg podatkowych w akcjonariatach amerykańskich.

nika z firmy, trust ma prawo pierwokupu akcji i otrzymana wówczas przez pracownika gotówka jest swego rodzaju pieniężną odprawą. Przy przechodzeniu na emeryturę kwota ta jest istotnym uzupełnieniem emerytalnego zabezpieczenia. Prawo Stanów Zjednoczonych zastrzega, że nie może to być zabezpieczenie jedyne, ze względu na ryzyko bankructwa firmy³. Badania wykazały jednak, że firmy ESOP-owe bankrutują rzadziej (ok. 3 razy rzadziej⁴) od tradycyjnych przedsiębiorstw prywatnych.

W systemie głosowania akcjonariuszy, pracownicze akcje są zablokowane a przypadającymi na nie głosami dysponuje zarząd trustu na Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy. Zarząd trustu stanowią często osoby spoza firmy. Pracownicy nie mają zatem w wielu wypadkach wpływu na sposób głosowania zarządu, za wyjątkiem tzw. ESOP-ów demokratycznych, gdzie wpływ ten jest zagwarantowany. Takimi są spółki pracownicze (ponad 50% pracowniczych udziałów) i ESOP-y, powstające z inicjatywy związków zawodowych.

Ważną cechą ESOP-trustu jest jego zdolność zaciągania kredytów, przy pomocy których pracownicy mogą skokowo wykupić znaczną część przedsiębiorstwa lub jego całość. Jest to tak zwany wykup wspomagany (*leveraged buyout*), czyli kredytowany. Mogą też przy pomocy kredytu dokonać znacznej inwestycji. Kredyt jest gwarantowany majątkiem przedsiębiorstwa. Spłata kredytów odbywa się ze wspomnianych corocznych, nieopodatkowanych wpłat firmy do ESOP-trustu. Banki kredytujące pracownicze wykupy przedsiębiorstw płacą tylko połowę podatku od dochodów z kredytu, są zatem motywowane do uczestniczenia w kreowaniu kapitału pracowniczego.

Wspomniana wcześniej górna granica wpłaty firmy do ESOP-u równa 25% funduszu płac, jest osiągnięta przy kredytowanych wykupach przedsiębiorstw. Praktyka wykazuje, że realne średnie wpłaty mieszczą się w granicach 5-10% funduszy płac.

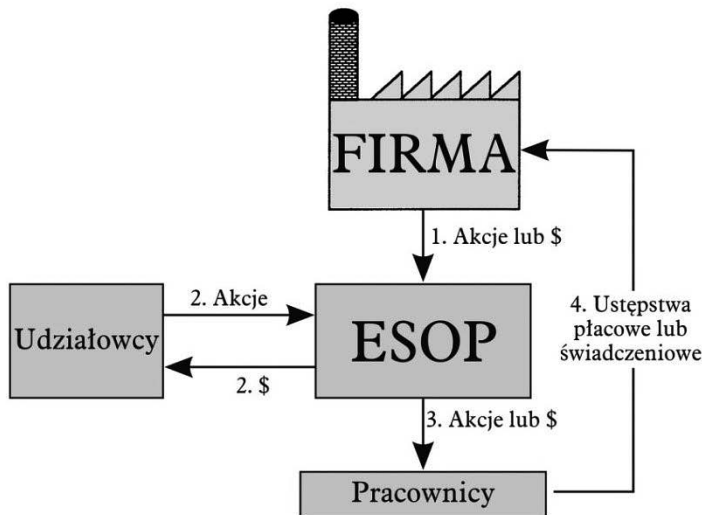
Jak widzimy, narastaniu kapitału pracowniczego w ESOP-ie nie towarzyszy żaden własny wkład pracowników. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, bo ułatwia wprowadzenie akcjonariatu. Złe, bo mniej wiąże pracownika z akcjonariatem i z firmą, nie zmusza go do oszczędzania (niski poziom oszczędzania jest w USA problemem), mniej zasila firmę w kapitał, w końcu – dostarcza argumentów przeciwnikom akcjonariatu.

Poniżej przedstawione są schematy działania ESOP-u niewspomagane (niekredytowanego) i wspomagane:

³ Ryzyko to idzie w parze (jak w większości przedsięwzięć) z możliwością wypracowania ponad przeciętnych zarobków i zabezpieczenia emerytalnego przy dużym zaangażowaniu pracowników, do czego ESOP motywuje.

⁴ *ESOP vs. Conventional LBOs: ESOPs Doing Better*, Employee Ownership Report 1991/3, s.1.

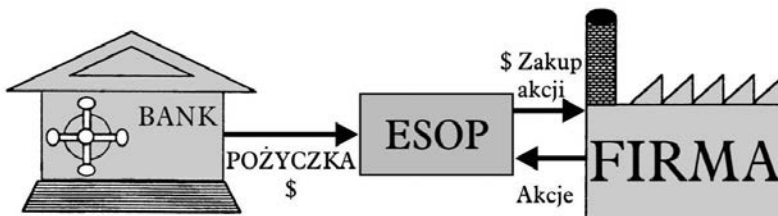
ESOP NIEKREDYTOWANY



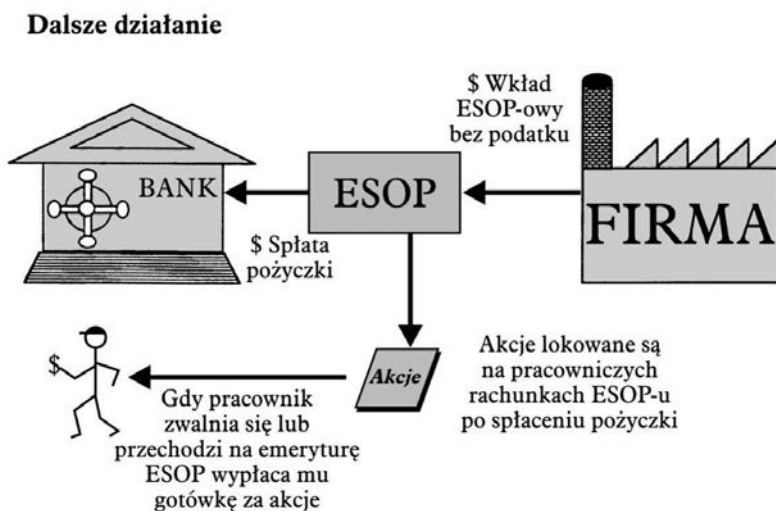
1. Przedsiębiorstwo dostarcza rocznych wkładów w gotówce lub w postaci akcji do trustu ESOP-u.
2. Gdy wpływa gotówka ESOP kupuje akcje od ich aktualnych właścicieli.
3. Pracownicy przejmują akcje lub gotówkę kiedy przechodzą na emeryturę lub opuszczają przedsiębiorstwo.
4. W niektórych przypadkach pracownicy czynią ustępstwa płacowe by pomóc wzrostowi konkurencyjności przedsiębiorstwa.

ESOP KREDYTOWANY

Początek działania



ESOP KREDYTOWANY



Źródło: Gary D. Hansen, Frank Adams, *ESOPs, Unions, & Rank and File*, Red Sun Press, Boston, 1989.

Tłumaczenie polskie: *ESOP a związki zawodowe*, Demokracja Gospodarcza nr 12, Wrocław, 1991.

III. Polski, przedwojenny system „Gazoliny”

Statut „Gazoliny”, opracowany przez jej założyciela inż. Mariana Wieleżyńskiego, dzielił pracowników na stałych i prowizorycznych. Pracownicy stali to ci, którzy włączyli się w akcjonariat i zostali współwłaścicielami firmy. Pracownicy prowizoryczni – to zwykli pracownicy najemni. Akcjonariat nie był obowiązkowy i nikogo się do niego nie przymuszało, a tylko zachęcało.

Każdy pracownik stały, o ile już się zdecydował żeby nim być, miał obowiązek corocznie zakupić akcje Gazoliny za swą jednomiesięczną pensję. Nie był to duży wysiłek finansowy, zważywszy, że Gazolina wypłacała – jak wiele innych firm – tzw. trzynastki. Podstawowy, obligatoryjny kapitał pracownika stałego narastał więc – zgodnie z o wiele późniejszą amerykańską zasadą – proporcjonalnie do zarobków. Jednak amerykański pracownik dostaje udziały od firmy za darmo, a pracownik Gazoliny musiał je kupić! Jak jednak dalej zobaczymy, spółka rekompensowała mu ten wydatek.

Akcje pracowników stałych były imienne i niezbywalne przez cały okres zatrudnienia ich posiadaczy. Jest to żelazne prawo akcjonariatu pracowniczego, szeroko dziś w świecie stosowane. Co więcej akcje te, nie mogły być przechowywa-

ne indywidualnie, ale składane były do **wspólnego depozytu**, którym opiekował się Syndykat Pracowników Spółki Akcyjnej „Gazolina”, czyli jej związek zawodowy. **Związek nabywał akcje dla pracowników, przechowywał je i nimi zarządzał.** Wieleżyński znalazł więc nową trafną funkcję dla związku zawodowego w zmienionych relacjach między pracą a kapitałem, wyprzedzając jednocześnie o ok. pół wieku wynalazek amerykańskiego ESOP-trustu.

Oprócz akcji nabywanych obowiązkowo, pracownicy stali mogli nabyć dowolną ilość dodatkowych niezwykłych akcji imiennych, i wielu z nich to robiło. Mogli też nabywać na giełdzie zbywalne akcje Gazoliny, ale było to prawie niemożliwe, bo mało kto je odsprzedawał ze względu na wysoką dywidendę. Poza tym nie opłacało im się to, bo cena na giełdzie była nawet trzykrotnie wyższa od ceny nominalnej i były to akcje zwykle z siłą jednego głosu, akcje imienne zaś były akcjami uprzywilejowanymi, z pięciokrotną siłą głosu. Kapitał pracowników stałych był zablokowany w depozycie i zablokowana była ich (jego) siła głosu. Corocznie wszyscy pracownicy stali wybierali swego przedstawiciela, reprezentującego zbiorczo ich (i ich łączny kapitał) na corocznym Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy. Dzięki swym akcjom uprzywilejowanym, pracownicy szybko uzyskali głos decydujący na tych zgromadzeniach.

Przy opuszczaniu firmy, pracownikom stałym przysługiwała specjalna, wysoka odprawa. Zagadnienie to może się wydać drugorzędne, ale właśnie sposób naliczania tej odprawy stanowi o istocie systemu akcjonariatu „Gazoliny”. Sens zasady Wieleżyńskiego jest prosty: pracownikowi stałemu przysługiwała odprawa w wysokości obowiązkowego wkładu własnego do depozytu. Innymi słowy, Gazolina dokładała odchodzącemu pracownikowi stałemu drugie tyle, ile on sam w nią obligatoryjnie zainwestował, podczas gdy zainwestowany kapitał pozostawał nadal jego własnością i odprawa nie była formą jego wykupu przez firmę. Taki prezent na rozstanie się, to dla pracownika duży zysk (i forma zabezpieczenia emerytalnego przy przechodzeniu w stan spoczynku), dlatego zasada „**tyle darmowo od firmy dostajesz, ile w nią obowiązkowo zainwestujesz**”, była główną sprężyną akcjonariatu „Gazoliny”.

Wieleżyński wprowadził istotne ograniczenie nie pozwalające korzystać z dobrodziejstwa nadzwyczajnych odpraw w sposób niezasłużony. Mianowicie, dyplomowany pracownik stały mógł korzystać z nich dopiero po przepracowaniu w Gazolinie pięciu lat w charakterze pracownika stałego, a pracownik stały, niedyplomowany – po dziesięciu latach. I tu znowu Wieleżyński wyprzedził Amerykanów, którzy też podobną zasadę wymyślili, ale o wiele później.

Odprawy były dla „Gazoliny” dużym obciążeniem, ale motywowały i nagradzały pracowniczą akumulację kapitału. Inwestowanie w przedsiębiorstwo – cudze czy swoje – to inwestycja wyższego ryzyka niż deponowanie pieniędzy w banku. Odprawa niwelowała to ryzyko. Robiła to na zasadzie stuprocentowej lokaty terminowej

w skali całego okresu zatrudnienia pracownika (niezależnie od otrzymywanych na bieżąco dywidend). Wreszcie odprawa nagradzała codzienne zaangażowanie pracownika czującego się współwłaścicielem. W sumie korzyści były obustronne.

IV. Nawiązania projektu polskiego systemu

1. Amerykańsko – polska synteza

Projekt ten jest syntezą amerykańskiego systemu ESOP i polskiego, przedwojennego systemu Gazoliny. Oprócz tego zawiera pewne nowe rozwiązania.

2. Elementy wspólne systemów: amerykańskiego i polskiego

Elementami wspólnymi są:

- zbiorczy depozyt indywidualnych akcji pracowniczych
- niemożność podejmowania akcji z depozytu przez pracownika przez cały okres jego zatrudnienia
- wkład firmy do akcjonariatu
- kilkuletni okres nabywania przez pracownika praw własności do wkładu firmy do akcjonariatu.

3. Specyficzne elementy amerykańskie

Specyficznymi elementami ESOP-u są:

- oparcie systemu na ustawowej regulacji państwowej
- ulgi podatkowe wspierające akcjonariat i sposób ustalania ich górnej granicy
- możliwość zaciągania pożyczki w banku przez depozyt kapitału pracowniczego.

4. Specyficzne elementy polskie

Specyficznymi elementami „Gazoliny” są:

- obowiązkowe i nieobowiązkowe wpłaty pracowników (w ESOP-ie wpłaty wnosi tylko firma)
- ustalenie minimalnej i zarazem obowiązkowej wielkości wpłat pracowników
- wprowadzenie stałej proporcji świadczeń firmy do obowiązkowych wpłat pracowników.

5. Elementy nowe

Elementami nowymi są:

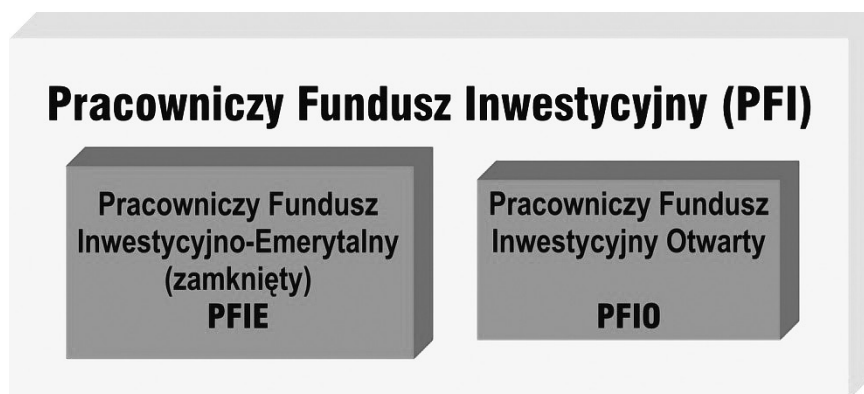
- uzupełnienie obowiązkowego depozytu akcji pracowniczych o pomocniczy pracowniczy fundusz inwestycyjny otwarty (**PFIO**) gromadzący dobrowolne, nieograniczone i nie zwolnione z podatku wpłaty, pochodzące z różnych źródeł
- sposób pracowniczej prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych.

III. Omówienie projektu polskiego systemu

System jest wprowadzany do przedsiębiorstwa dobrowolnie przy akceptacji właściciela (właścicieli) i minimum 51 % ogółu pracowników. Pozostali pracownicy mogą do niego nie wchodzić.

1. Dwuczłonowy „Pracowniczy Fundusz Inwestycyjny” (PFI)

W przedsiębiorstwie wprowadza się (niezależny od jego struktur i zarządzany przez pracowników-akcjonariuszy) dwuczłonowy Pracowniczy Fundusz Inwestycyjny (PFI), składający się z dwóch funduszy: Pracowniczego Funduszu Inwestycyjno-Emerytalnego (PFIE) i Pracowniczego Funduszu Inwestycyjnego Otwartego (PFIO).



2. Człon pierwszy – Pracowniczy Fundusz Inwestycyjno-Emerytalny (PFIE) i jego finansowanie

Fundusz ten jest głównym elementem akcjonariatu, ograniczonym (fundusz zamknięty) tylko do wpłat firmy, pracowników i zaciąganych kredytów.

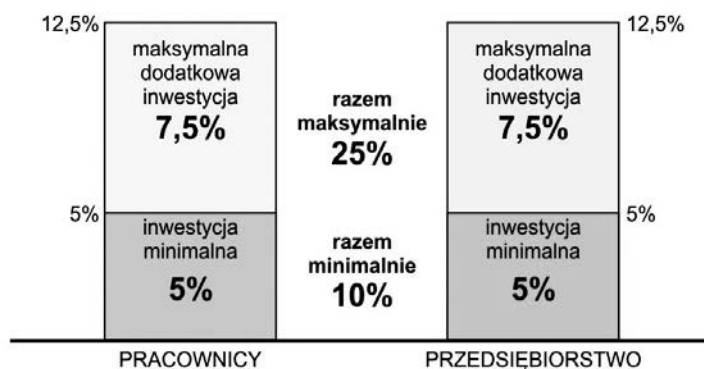
a. Wariant 1 (pierwotny)

Pracownicy wpłacają do PFIE na swe konta indywidualne obowiązkowo minimum 5% swoich poborów, potrącających bezpośrednio z funduszu płac. Tyle samo wpłaca im firma na subkonto wpłat firmy. Jedne i drugie wpłaty nie są opodatkowane. Uzasadnione jest to emerytalnym charakterem PFIE (o czym dalej) jak też istotnym wielokrotnym zwrotem środków do budżetu poprzez większą efektywność przedsiębiorstw z akcjonariatem, zachowywaniem i tworzeniem miejsc pracy i w związku z tym przekształcaniem biorców zasiłków dla bezrobotnych w płatników podatków.

Wysokość wpłat do PFIE może być corocznie dobrowolnie podnoszona (na zasadzie uzgodnienia między pracownikami-akcjonariuszami i firmą), lecz nie może łącznie przekroczyć 25% funduszu płac (12,5% wpłat pracowników i 12,5% wpłat firmy), co odpowiada limitowi zwolnień podatkowych w ESOP-ach. Wpłaty te mogą też być w danym roku zawieszane w przypadku np. przeinwestowania.

Wariant I

Rozmiary i rodzaj inwestycji pracowników i przedsiębiorstwa w PFIE



Miara procentowa odniesiona jest do wielkości rocznego funduszu płac

Wpłaty własne pracowników i wpłaty firmy są proporcjonalne do zarobków, co bez dodatkowej regulacji powodowałoby faworyzowanie (poprzez wysokie wpłaty firmy) pracowników najlepiej zarabiających z kadry kierowniczej. Dla uniknięcia takich podwójnych „kominów” wpłat i tym samym dla zapewnienia demokratycznej struktury akcjonariatu, wprowadza się górny limit obu wpłat na konto danego pracownika, równy obowiązującemu w danym roku procentowi funduszu płac, lecz odniesionego do dwukrotnego, średniego zarobku w firmie macierzystej.

Gromadzony w powyższy sposób kapitał inwestowany jest wyłącznie we własną firmę lub służy do jej wykupu (częściowego lub całkowitego) z rąk innych współwłaścicieli.

Pracownik nie może wycofywać swojego kapitału z PFIE przez cały okres zatrudnienia (żelazne prawo akcjonariatu). Otrzymuje go tylko w przypadku zmiany miejsca zatrudnienia i przy przejściu na emeryturę. W tym drugim przypadku stanowi on jego dodatkowe zabezpieczenie emerytalne (trzeci filar). W przypadku zmiany miejsca zatrudnienia pracownik nie otrzymuje kapitału pochodzącego z wpłat firmy o ile nie przepracował 5-ciu lat od momentu jego wpłacenia. W tym czasie zachodzi tzw. nabywanie przez pracownika prawa własności (am. „vesting period”) do wpłat firmy. Przy przejściu na emeryturę ograniczenie takie nie obowiązuje.

Dodatkowe ograniczenie prawa własności pracownika do wpłat firmy ma miejsce w przypadku spłaty kredytu zaciągniętego przez PFI (o czym dalej).

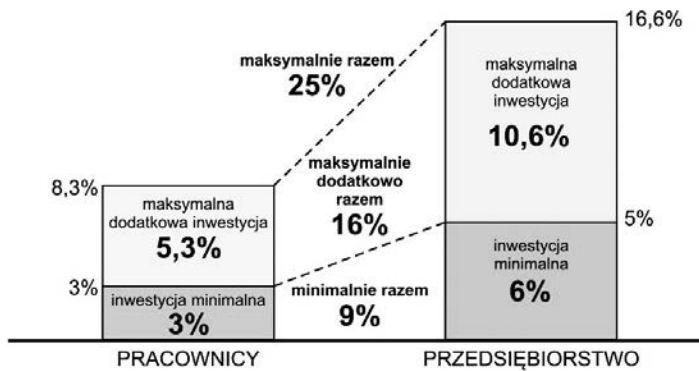
Kapitał gromadzony w PFIE daje indywidualne właścicielskie prawo głosu (o czym dalej) i uprawnia do pobierania dywidendy. Kapitałowi temu można nadawać siłę kilkukrotnego prawa głosu w stosunku do właścicieli zewnętrznych. Np. w Gazolinie akcje pracownicze miały pięciokrotną siłę głosu.

b. Wariant 2 (zmodyfikowany)

Wariant ten zachowuje wszystkie zasady wariantu pierwszego tylko zmienia się wysokość wpłat pracowniczych i przedsiębiorstwa oraz ich wzajemne proporcje. Zmiana ta została wprowadzona wyniku wspomnianych we wstępie obaw Coreya Rosena, czy pracownicy będą skłonni płacić obowiązkowo 5% swoich poborów (Corey Rosen proponował 2%). W związku z tą sugestią obowiązkowe wpłaty obniżone zostały do 3% a odpowiadające im wpłaty przedsiębiorstwa zostały podwojone (patrz poniższy schemat). W ten sposób wariant ten odbiega od systemu Gazolin w kierunku ESOP-ów.

Wariant 2

Rozmiary i rodzaj inwestycji pracowników i przedsiębiorstwa w PFIE



Miara procentowa odniesiona jest do wielkości rocznego funduszu płac

Uwzględniając 25-procentową barierę wszystkich wpłat, pracownicy mogą wpłacać dodatkowo maksymalnie 5,3 % swych dochodów a firma 10,6 % ich odpowiednika. Łączna obowiązkowa (minimalna) wpłata wyniesie 9%, co jest blisko górnej granicy zakresu średniej wpłaty do ESOP-ów (5 – 10%). Maksymalna zaś wpłata pracowników wyniesie 8,3% co odpowiada jednemu zarobkowi na rok, czyli obowiązkowym wpłatom pracowników w Gazolinie. Firma zaś nigdy nie wpłaca więcej niż 16,6%, co jest dla niej korzystniejsze niż w ESOP-ach, gdzie wpłaca nawet 25%.

3. Człon drugi – Pracowniczy Fundusz Inwestycyjny Otwarty (PFIO) i jego finansowanie

Jest to element nowy, nie występujący w innych typach akcjonariatu a spełniający w stosunku do PFIE ważną funkcję pomocniczą.

W Pracowniczy Fundusz Inwestycyjny Otwarty mogą inwestować dodatkowo i w sposób nieograniczony sami pracownicy przedsiębiorstwa, ich rodziny, inni członkowie społeczności lokalnej, kooperanci. Mogą też inwestować dowolne podmioty. Wpłaty te nie podlegają ulgom podatkowym (za jednym wyjątkiem omówionym w punkcie 6) i mogą być wycofywane, co dla pracowników przedsiębiorstwa spełnia funkcję zakładowej kasy oszczędności na wypadek szczególnych sytuacji życiowych. Gromadzone w ten sposób środki inwestowane są (tak jak poprzednio) wyłącznie we własną firmę lub służą do jej wykupu z rąk innych współwłaścicieli.

Wpłaty do Pracowniczego Funduszu Inwestycyjnego Otwartego nie dają żadnych uprawnień decyzyjnych a jedynie uprawniają do pobierania dywidendy.

4. Głosowanie, wybór władz PFI i jego zarządzanie

Głosowanie i wybór władz PFI odbywa się tylko w obrębie uczestników Pracowniczego Funduszu Inwestycyjno-Emerytalnego. Jego, w miarę wyrównany skład kapitałowy, pozwala (na wzór ESOP-ów demokratycznych) na wprowadzenie spółdzielczej zasady jeden człowiek – jeden głos, z tym, że każda dekada uczestnictwa w akcjonariacie zwiększa siłę głosowania o jeden głos. To również przedkłada w sposób spółdzielczy człowieka i pracę ponad kapitał.

Zgodnie z takimi zasadami głosowania uczestnicy akcjonariatu wybierają radę nadzorczą całego Pracowniczego Funduszu Inwestycyjnego (a więc obu jego funduszy składowych), ta zaś ustanawia jego zarządcę. Przy dużych akcjonariatach może to być fachowiec wynajęty spoza firmy. Niewskazane i sprzeczne z zasadami rozwoju kultury właścicielskiej (patrz rozdz. 7) jest zarządzanie funduszami pracowniczymi przez instytucje zewnętrzne.

Corocznie, przed walnym zgromadzeniem akcjonariuszy firmy (obejmującym również współwłaścicieli zewnętrznych), uczestnicy Pracowniczego Funduszu Inwestycyjno-Emerytalnego zwołują własne zebranie, gdzie przegłosowują własną strategię forsowaną później przez swojego przedstawiciela na zgromadzeniu walnym. Przedstawicielem może być zarządca, ale może być też doraźnie wybrany, inny przedstawiciel pracowników akcjonariuszy. Przedstawiciel ten na zgromadzeniu walnym dysponuje siłą głosu (w stosunku do udziałowców zewnętrznych) odpowiednią do sumy kapitału zgromadzonego w obu funduszach.

5. Zaciąganie i spłacanie kredytu przez PFI

PFI jest ustawowo uprawniony (na wzór ESOP-ów) do zaciągania kredytu. Można również (na wzór amerykański) wprowadzić ustawowo ulgi podatkowe dla banków kredytujących akcjonariat pracowniczy.

Pobraný kredyt wykorzystywany jest wyłącznie na inwestycje we własne przedsiębiorstwo lub na wykup jego akcji z rąk innych współwłaścicieli.

Splata kredytu odbywa się z opisanych wcześniej regularnych wpłat pracowników i firmy do PFIE. Prawo własności do pożyczonego kapitału, nabywa pracownik-akcjonariusz dopiero po spłacie zadłużenia.

Splaty mogą być również dokonywane z funduszy PFIO. W sytuacjach kryzysowych może nastąpić mobilizacja pracowników, ich rodzin i całej społeczności lokalnej (sytuacje znane z praktyki) i zasilenie PFIO znacznymi doraźnymi wpłatami.

6. Częściowa dywersyfikacja pracowniczego kapitału

Amerykańskie badania wykazały, że przedsiębiorstwa z akcjonariatem bankrutują ok. 3 razy rzadziej niż przedsiębiorstwa tradycyjne. Jednakże też bankrutują. Zatem kapitał pracowniczy skoncentrowany w jednym (własnym) przedsiębiorstwie nie może być jedynym zabezpieczeniem emerytalnym. Dlatego prawo amerykańskie wymaga dywersyfikacji wkładów kapitałowych pracowników-akcjonariuszy o dużym stażu pracy, czyli takim, którym trudno już wypracować od nowa jakieś większe rezerwy kapitałowe. W Polsce problem ten nie istnieje ze względu na współdziałanie I-go i III-go filaru zabezpieczenia emerytalnego. Jednakże unikać należy skutków bankructwa przedsiębiorstw pracowniczych o wysokiej akumulacji kapitału pracowniczego, czyli takich, które gromadziły go blisko 25-procentowej granicy funduszu płac. W tej sytuacji granicę wiekową pracownika powinno się połączyć z wysokością (do ustalenia) nagromadzonego kapitału. Przy osiągnięciu odpowiedniego stażu pracy, np. 10 lat do emerytury i ustalonej granicy wielkości zgromadzonego kapitału, wpłaty do PFIE przekierowuje się do PFIO innych przedsiębiorstw z akcjonariatem (np. trzech różnych). Ten strumień kapitału byłby dalej nieopodatkowany w ramach zakładowego limitu 25% funduszu płac.

Przekierowanie kapitału do innych akcjonariatów ma charakter praktyczny a nie ideologiczny, bo przedsiębiorstwa takie bankrutują rzadziej od przedsiębiorstw tradycyjnych. Rozwiązanie takie utrzyma kapitały pracownicze wewnątrz całej grupy przedsiębiorstw akcjonariatowych. Nie obniży natomiast pracowniczego zaangażowania we własne przedsiębiorstwo, gdyż kapitał wcześniej zgromadzony we własnym przedsiębiorstwie będzie przewyższał kapitał przekazywany do innych akcjonariatów. Ostatnią dekadę, w której taki pracownik nie zasila już PFIE własnego przedsiębiorstwa, powinno mu się wliczać w kumulację prawa głosu (1 głos za każdą dekadę pracy w akcjonariacie).

W niedalekiej przyszłości powinien nastąpić intensywny rozwój III-ciego filaru emerytalnego, związanego z akcjonariatem pracowniczym. W związku z tym można postulować wprowadzenie podstawowej, niewysokiej i równej dla wszystkich, obywatelskiej emerytury, finansowanej z podatków (bez ZUS-u), którą każdy obywatel uzupełniałby indywidualnie poprzez obecny III-ci i II-gi filar. W tym ostat-

nim powinny dominować fundusze branżowe, inwestujące w swoje branże.

7. Konieczność wprowadzenia systemu partycypacyjnego zarządzania przedsiębiorstwem (rozwój kultury właścicielskiej)

Kluczowym elementem akcjonariatu pracowniczego jest system pracowniczego współzarządzania przedsiębiorstwem. Samo wprowadzenie akcjonariatu niewiele zmienia, ale jest warunkiem koniecznym rozwinięcia tzw. kultury właścicielskiej (ownership culture), która decyduje o sukcesach przedsiębiorstw pracowniczych i ich sprawdzonej już przewadze nad przedsiębiorstwami tradycyjnymi. Sam zaś akcjonariat powinien być znaczny, lub mieć w perspektywie osiągnięcie znacznych udziałów, najlepiej większościowych.

Pracownicze współdecydowanie dotyczy głównie problemów na poziomie warsztatu pracy, na których pracownicy dobrze się znają, sięga jednak dalej. Od wielu już lat działa w St. Zjednoczonych tzw. „zarządzanie jawne” (open book management), w którym pracownicy zaznajamiają się z sytuacją finansową przedsiębiorstwa i tym w jaki sposób praca ich działu wpływa na wyniki ogólne. Co jakiś czas ustalane są wspólnie cele, jakie firma ma osiągnąć i wszyscy działają w tym kierunku, kontrolując i poprawiając wyniki własnego zespołu.

Kultura właścicielska załogi nie tylko zwiększa istotnie konkurencyjność przedsiębiorstwa, ale zamienia go w miejsce, w którym chce się pracować. Z ludzkiego punktu widzenia cel ten można postawić na pierwszym miejscu a wysoką efektywność ekonomiczną jako cel pożądany, ale uboczny. W pracy spędzamy prawie połowę swego dorosłego życia i nie może to być jedynie środek (w dodatku uciążliwy) do osiągnięcia innych celów.

Praca w dobrej atmosferze, bez ciągłego zagrożenia jej utraty, zmniejsza ilość schorzeń wywołanych stresem. To kolejny pozytywny efekt z czysto ludzkiego punktu widzenia. Natomiast związana z tym obniżka kosztów opieki zdrowotnej, to kolejny efekt ekonomiczny, który trzeba brać pod uwagę.

Innym pozaekonomicznym efektem jest podniesienie kultury domowej (stwierdzone w St. Zjednoczonych) a na dłuższą metę – kultury obywatelskiej całego społeczeństwa, co znowu ma pozytywne przełożenie zwrotne na ekonomię.

Wykształcenie kultury właścicielskiej jest zadaniem trudnym i czasochłonnym. Każde przedsiębiorstwo pracownicze wykształca swoją specyficzną formę współzarządzania, opartą na własnej praktyce. Nie można tu narzucać i kopiować w szczegółach jednego, wypracowanego w jednym miejscu systemu.

Wykształcenie kultury właścicielskiej to duże wyzwanie i obowiązek dla inicjatorów zaprowadzających akcjonariat pracowniczy większościowy lub zbliżony do większościowego. Powinni oni korzystać z pomocy wielu publikacji i instytucji zajmujących się tą problematyką, których jest wiele w St. Zjednoczonych a w Polsce zaś powinny się dopiero rozwijać.

Obecny projekt przewiduje, że działania w kierunku wykształcania kultury właścicielskiej będą podejmowane. Bez tego instytucja akcjonariatu pracowniczego nie może być skutecznie realizowana.

Odnosnie powyższej tematyki patrz:

www.rp-gospodarna.pl/stany_efektywnosc.htm i www.greatgame.com

8. Pracownicza prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych

Prywatyzacja pracownicza (na wzór Słowenii) była wielką i zmarnowaną szansą Polski w czasie transformacji ustrojowej. Pozostaje jednak nadal zabiegiem aktualnym dla niektórych istniejących jeszcze przedsiębiorstw państwowych, w szczególności dla niektórych kopalń. Zachowuje również duże znaczenie w przyszłości dla odkupowanych przez państwo przedsiębiorstw (repolonizowanych lub źle zarządzanych) jak też dla tworzonych przez państwo przedsiębiorstw nowych, potrzebnych gospodarce narodowej a z różnych względów będących poza zainteresowaniem czy możliwościami kapitału prywatnego (przykład COP-u). Formą docelową takiej prywatyzacji powinny być spółki pracownicze.

Przy obecnie obowiązujących regulacjach prawnych wszyscy pracownicy prywatyzowanego przedsiębiorstwa państwowego (tzw. drogą kapitałową) otrzymują darmowo 15% jego wartości. Kapitał ten, jak dotąd, nie budował żadnego akcjonariatu i był regularnie wyprzedawany i wykorzystywany do celów konsumpcyjnych.

Przyznawanie puli kapitału darmowego powinno zostać ograniczone tylko do tych przedsiębiorstw państwowych i ich załóg, które zdecydowały się (decyzją ponad 50% pracowników) utworzyć spółkę pracowniczą. A w ich ramach tylko do tych pracowników, którzy większościowo podjęli taką decyzję. W takiej sytuacji pakiet darmowy można podwyższyć do 20% a nawet 25% wartości przedsiębiorstwa.

W przedsiębiorstwie wprowadza się, tak jak poprzednio, dwuczłonowy Pracowniczy Fundusz Inwestycyjny i cały pakiet darmowy umieszcza się w jego PFIO. Traktowany jest on tam jako zbiorowa inwestycja pracowników w przedsiębiorstwo, zatem nie jest rozlokowywany na rachunki indywidualne. Pracownicy od razu uzyskują na jego bazie zbiorowe prawo głosu a dywidenda, jest dzielona równo między nimi, niezależnie od wysokości zarobków. Pakiet ten nigdy jednak nie staje się ich własnością w ścisłym tego słowa znaczeniu i nie bierze udziału w spłacaniu pracownika przy jego odchodzeniu z przedsiębiorstwa. Przechodzi natomiast jako własność zbiorowa (model spółdzielczy) na nowych pracowników, co ułatwia wymianę pokoleniową pracowników-właścicieli. W wyjątkowym przypadku sprzedaży przedsiębiorstwa, państwo odzyskuje prawo własności nad inicjalnym pakietem darmowym.

Indywidualną własność pracowniczą generuje tylko PFIE. Przy wykupowym znaczeniu kapitału pracowniczego wystarczy by osiągnął on ponad 30% (25%) wartości przedsiębiorstwa by stało się ono, w połączeniu z 20 (25) procentowym inicjalnym pakietem darmowym, spółką pracowniczą. Jednakże wskazane jest inwestycyjne uzy-

skiwanie przewagi kapitału pracowniczego. Po pierwsze, bo przedsiębiorstwo takie z reguły potrzebuje inwestycji, po drugie przemyślane inwestowanie doskonale współgra z rozwojem kultury właścicielskiej. Droga taka wymaga jednak większego nakładu kapitału. Przy 20-procentowym kapitale wyjściowym trzeba zainwestować dodatkowo kapitał równy 40% wyjściowej wartości przedsiębiorstwa, co jest trudno osiągalne. Natomiast przy 25-procentowym kapitale wyjściowym tylko 30% tej wartości. Zatem podniesienie wartości pakietu darmowego do 25% jest bardziej wskazane.

W związku ze wspomnianą wcześniej perspektywiczną funkcją państwa odbudowywania źle zarządzanych firm prywatnych, warto nadmienić, że w Stanach Zjednoczonych istnieją specjalne fundusze „KPS Special Situations Funds”, które wykupują zbankrutowane, ale ważne dla gospodarki przedsiębiorstwa, wymieniają zarząd, inwestują w nie, i wprowadzają istotny akcjonariat pracowniczy. Z reguły firmy te odzyskują rentowność⁵.

Przedstawiony wyżej pracowniczy sposób prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych nawiązuje do sposobu, proponowanego w 1944 roku przez Stanisława Grabskiego dla poniemieckich przedsiębiorstw na Ziemiach Odzyskanych⁶.

9. Konieczność zaangażowania związków zawodowych w akcjonariat pracowniczy

W Polsce rozpropagowano błędną opinię, że akcjonariat pracowniczy jest sprzeczny z instytucją związku zawodowego. Tymczasem zgodnie z doświadczeniami amerykańskimi związek zawodowy, angażując się w akcjonariat, poszerza swój zakres działania. Zachowując swe funkcje ochronne, związek zawodowy wchodzi w funkcje organizacji pracowników-właścicieli. Staje się przez to bardziej pracownikom potrzebny niż w swej tradycyjnej postaci. Patrz: www.rp-gospodarna.pl/stany_zwiazki.htm i www.rp-gospodarna.pl/zwiazki_szansa.pdf.

Dla efektywnego rozwoju akcjonariatu pracowniczego w Polsce niezbędne jest zaangażowanie się w niego związków zawodowych, w pierwszym rzędzie NSZZ „Solidarność”. Z drugiej strony przejście „Solidarności” na formułę związku współzarządzającego, współdziałającego z radami pracowników i z akcjonariatem, jest koniecznym warunkiem jej odnowienia i zwiększenia swej liczebności i znaczenia.

10. Niezbędna kolejność prac nad polskim akcjonariatem

Wprowadzenie w Polsce dobrze przemyślanego systemu własności pracowniczey ma wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju ekonomicznego naszego kraju. Dlatego należy najpierw działać zbiorowo nad wypracowaniem dobrego projektu systemu a dopiero później tworzyć, odpowiadający mu, projekt ustawy. Projekt ustawy jest

⁵ C. Rosen, J. Case, M. Staubus, „Własność pracownicza”, wyd. Kurhaus, Warszawa 2016, s. 52.

⁶ Stanisław Grabski „Myśli o dziejowej drodze Polski”, Książnica Polska, Glasgow, 1944.

już tylko stroną techniczną całego przedsięwzięcia.

Obecnie powyższa kolejność działań została zaniedbana, jako że tworzy się projekt ustawy przy mglistym charakterze samego systemu. Trzeba zatem zrealizować najpierw etap podstawowy, prowadzący do wypracowania zasad polskiego systemu akcjonariatu pracowniczego.

Autor jest:

- wieloletnim członkiem Narodowego Centrum Własności Pracowniczej w Stanach Zjednoczonych (National Center for Employee Ownership)
- ekspertem Polskiego Lobby Przemysłowego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w sprawach demokracji gospodarczej
- członkiem wspierającym Unii Własności Pracowniczej (Polska)
- wieloletnim propagatorem własności pracowniczej w Polsce
- odznaczony przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski
- odznaczony przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Wolności i Solidarności
- uhonorowany przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych legitymacją oraz Odznaką Działacza Opozycji Antykomunistycznej i Osoby Represjonowanej z Powodów Politycznych.

Jan Koziar, ur. w 1943 roku w Woli Mieleckiej. Szkoła podstawowa na Zaolziu. Matura w Gliwicach. Ukończył studia geologiczne w 1966 roku, w Uniwersytecie Wrocławskim, obejmując stanowisko pracownika naukowo-dydaktycznego w Instytucie Nauk Geologicznych UWr. Wspecjalizował się w geotektonice, rozwijając teorię ekspansji Ziemi. W latach 2001-2008 prowadził kursowe wykłady z tego zagadnienia, opierając się głównie na własnym dorobku naukowym. Z końcem 2008 przeszedł na emeryturę i założył Wrocławską Pracownię Geotektoniczną (www.wrocgeolab.pl), w której dalej prowadzi badania geotektoniczne.

Po wprowadzeniu stanu wojennego zorganizował we Wrocławiu akcję ulotkową „Solidarność Zwycięży”. W październiku 1982 zaczął się ukrywać ścigany listem gończym, rozwijając w ścisłym podziemiu działalność organizacyjną, studyjną, programową, publicystyczną i wydawniczą, specjalizując się w demokracji gospodarczej i przeciwstawiając się epidemii neoliberalizmu. Działalność tę kontynuował po ujawnieniu się w lutym 1989, współpracując z zarządkiem Regionu NSZZ Solidarność Dln. Śląsk i z wrocławskim Klubem Samorządu Pracowniczego.

Wydał 30 broszur w tysięcznych nakładach na temat demokracji gospodarczej, głównie własności pracowniczej i opublikował wiele artykułów w tym zakresie w różnych czasopiśmie. Część jego dorobku w tematyce społecznej prezentowana jest na stronie internetowej: www.rp-gospodarna.pl

- Jest wieloletnim członkiem Narodowego Centrum Własności Pracowniczej (NCEO)

w St. Zjednoczonych,

- ekspertem w zakresie demokracji gospodarczej Polskiego Lobby Przemysłowego im. E. Kwiatkowskiego,

- członkiem honorowym Unii Własności Pracowniczej
- wieloletnim propagatorem własności pracowniczej w Polsce,
- odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
- odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności.



POLSKIE LOBBY PRZEMYSŁOWE **im. Eugeniusza Kwiatkowskiego**

**Jest istniejącą od 1993 roku społeczną organizacją
opiniotwórczą i opiniodawczą**

- wpływającą na politykę przemysłową i obronną państwa oraz na przekształcenia własnościowe,
- artykułującą interesy i wyrażającą problemy polskiego przemysłu, zwłaszcza jego branż strategicznych i jego zaplecza badawczo-rozwojowego.

PODEJMUJE DZIAŁANIA W OBRONIE INTERESÓW POLSKIEGO PRZEMYSŁU

W działalności PLP uczestniczą

- stowarzyszenia inżynierskie
- związki zawodowe różnych orientacji
- jednostki badawczo-rozwojowe
- pracownicy naukowcy i eksperci

**PLP jest organizacją non profit,
uprawiającą społeczny lobbing**

www.plp.info.pl Adres: 00-050 Warszawa ul. Świątokrzyska
14 A pok. 540 (ZG SIMP) tel. 603 425 568

Piotr R. Jankowski

Memoriał do polityków polskich

Diagnoza

Narodowy Instytut Studiów Strategicznych stawia diagnozę, że chorobą, która zatruwa każdą tkankę organizmu społeczno-gospodarczego Polski jest brak suwerenności monetarnej wynikający ze sprywatyzowania pieniądza:

- **pieniądz na użytek realnej gospodarki i państwa jest kreowany, ze złamaniem zapisu art. 227 Konstytucji RP o monopolu emisyjnym NBP, przez głównie zagraniczne banki komercyjne, jako oprocentowany dług (pieniądz transfuzyjny).**
- Emitowany przez NBP pieniądz bazowy (M0) służy jedynie rozrachunkom międzybankowym i dostarcza płynności gotówkowej bankom komercyjnym. NBP tym samym pełni wobec nich służebną funkcję swego rodzaju bankomatu.
- Emisja ta jest ograniczona wielkością rezerw utrzymywanych przez bank centralny w postaci obligacji państw zachodnich, co w praktyce oznacza konieczność finansowania deficytu tych państw.
- Pieniądz jako podstawowa infrastruktura społeczna, krwioobieg gospodarki, powinien być emitowany przez państwo w formie pełnowartościowego (nieoprocentowanego) środka płatniczego, który przynosi korzyści społeczeństwu i państwu oraz zapewnia uczciwość i symetrię obrotu gospodarczego. **Pieniądz powinien służyć Polsce a nie Polska jemu!**

Skutki i powikłania

- Głód monetarny, czyli brak możliwości wykupienia przez społeczeństwo owoców swojej własnej pracy – wynosi ok. 40 % PKB. Wymusza to konieczność zadłużania się społeczeństwa w bankach.
- Pogłębiające się zadłużenie, przedsiębiorstw oraz rodzin i obywateli, skutkujące gigantyczną ilością postępowań komorniczych (12 mln na 16 mln zatrudnionych!), ogromnym wzrostem samobójstw, w ostatniej dekadzie (ok. 8 tys./rok – ponad dwukrotność ofiar wypadków samochodowych; liczba porównywalna z ilością ofiar wojny na Ukrainie od 2014 r.).
- Wzrost cen, w których skumulowane odsetki stanowią od 30 do 70 % (najwięcej w budownictwie, w którym odnotowano aż 20 % spadek produkcji!). (źródło: Margrit Kennedy *Pieniądz wolny od inflacji i odsetek*, Kraków 2004 r.)
- Presja fiskalna wymuszana przez rosnący dług publiczny, którego sama obsługa

stanowi kwotę zbliżoną do wpływów budżetu państwa z tytułu podatku PIT.

- Straty wynikające z różnicy oprocentowania polskich i zagranicznych papierów dłużnych oraz z gaszenia przez NBP nadpłynności sektora bankowego mogą dochodzić nawet do 20 mld (źródło: prof. Jan Czekaj, *Dlaczego NBP nie kupuje polskich obligacji*, Rzeczpospolita, 6 maja 2015 r.). W tym kontekście *detalem* wydają się być koszty utrzymanej od wielu lat elastycznej linii kredytowej MFW (blisko 200 mln/rok).
- Kuriozalna sytuacja zadłużania się banku centralnego w bankach komercyjnych (zakup bonów pieniężnych przez banki komercyjne).
- Ryzyko kursowe – 30 % długu publicznego jest denominowana w walutach obcych.
- **Roczne koszty ponoszone przez Polskę w wyniku posługiwania się niesuwerennym pieniądzem oblicza się na 200 mld (ponad trzykrotność dziury budżetowej)!!! Uzależnia to politycznie Polskę od zagranicznych wierzycieli!!!**
Terapią – Dwuwalutowość

Wymienialny pieniądz narodowy – emitowany przez bank centralny pod zabezpieczenie obligacji rządowych, które w zależności od sytuacji gospodarczej (deflacja, inflacja) będą umarzane albo spłacane – ściąganie, poprzez podatki, inflacyjnego pieniądza z rynku. (tak postępuje ostatnio centralny bank Węgier – MNB!). Wielkość finansowanego w ten sposób deficytu powinna być uzależniona od wzrostu PKB, który generuje potrzebę dostarczenia gospodarce nowych pieniędzy. Operację tą można przeprowadzać na rynku wtórnym, np. za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego, aby nie narażać się na zarzut łamania art. 220 Konstytucji. Podobnie postępuje już kilka banków centralnych na świecie. (Węgry, Japonia, USA). Wdrożenie nieoprotowanego pieniądza suwerennego i odebranie praw kreacji pieniądza bankom prywatnym postulują dwa ważne raporty: Jaromir Benes, Michael Kumhof, *The Chicago Plan Revisited*, Międzynarodowy Fundusz Walutowy 2012 r. oraz Frosti Sigurionsson, *Reforma monetarna. Lepszy system monetarny dla Islandii*, Warszawa 2015 r.

Niewymienialny i bezodsetkowy pieniądz społeczny – emitowany przez jednostki samorządu terytorialnego (zgodnie z zapisanymi w Konstytucji o zasadzie pomocniczości i społecznej gospodarki rynkowej). Wzorem tu może być emitowany od lat trzydziestych w Szwajcarii WIR Frank, który zapewnił temu krajowi bezprecedensową stabilność, bezpieczeństwo finansowe i dobrobyt. Obecnie jest on emitowany przez spółdzielczy WIR Bank, który jest instytucją dwuwalutową, udzielającą również kredytów w CHF (oprócz bezodsetkowych w WIR Franku). (patrz: Bernard Lietaer, Christian Arnspenger, Sally Goerner, Stefan Brunnhuber, *Money and Sustainability. The Missing Link*, raport Klubu Rzymskiego z 2012 r.)

Celem powołania waluty równoległej jest przede wszystkim zlikwidowanie wycieków pieniądza z systemu (import, oszczędności, kredyt, podatki, transfer zy-

sków), aby uruchomić niespożytkowane zasoby i możliwości, uspiiony potencjał rozwoju tkwiący w każdej społeczności lokalnej oraz rozbudować sieć relacji i powiązań stanowiący o jakości życia we wspólnocie.

Efekt ekonomiczno-społecznym będzie likwidacja bezrobocia, zapaści demograficznej (dotyczącej 80 % gmin w Polsce) wykluczenia społecznego i bezdomności oraz transfer socjalny odciążający budżet państwa i samorządów, a także wypłata każdemu mieszkańcowi dywidendy społecznej jako formy emisji pieniądza. Możliwość odciążenia budżetu i oddłużenia wiąże się z istotnym aspektem funkcjonowania waluty komplementarnej, jakim jest jej kilkukrotnie szybsza rotacja od pieniądza oficjalnego, co daje bardzo wysoką efektywność podatkową przy prostych, zautomatyzowanych i niedokuczliwych podatkach.

Najpilniejsze zalecenia

Aby rozpocząć jakiegokolwiek działania zmierzające do powszechnego oddłużenia Polski i Polaków i skierowania kraju na szybką ścieżkę rozwoju jest wyczyszczenie przedpola – tzn. usunięcie barier i hamulców po poprzedniej ekipie rządowej.

Najpoważniejszym problemem są tu kredyty pseudowalutowe, które wtłoczyły ok. 600 tys. polskich rodzin w dramatyczną pułapkę niespłacalnego zadłużenia, które generuje mnóstwo problemów społecznych:

- zamrożenie dużej części rynku mieszkaniowego,
- niemożność spłaty czy zamiany mieszkania na większe,
- poczucie frustracji i beznadziei,
- absolutną utratę zaufania do państwa, które broni interesów łamiących prawo banków.

Zadłużenie to powoduje spadek PKB o co najmniej 1,2 % i ubytek podatkowy co najmniej 4 mld (za co można by objąć programem 500+ każde pierwsze dziecko bez ograniczeń dochodowych. **Jakakolwiek polityka prorodzinna bez oddania sprawiedliwości, oszukany przez banki frankowiczom będzie odczytywana przez tą grupę społeczną jako polityczna hipokryzja, co prędzej czy później będzie miało poważne konsekwencje wyborcze.**

Rozwiązanie: Jedynym rozwiązaniem tego problemu, bez kompromitacji państwa polskiego, jest odwalutowanie tych pseudokredytów po kursie z dnia podpisania umowy i przekształcenie ich w kredyty złotówkowe w pełnym tego słowa znaczeniu.

Po likwidacji kredytów pseudowalutowych na rynku pozostaną jedynie kredyty złotówkowe. Wobec nich należy zastosować zasadę powszechnej restrukturyzacji polegającej na wyemitowaniu przez NBP pieniędzy, za pomocą których zostaną wykupione jeszcze niespłacone kapitałowe zobowiązania klientów wobec banków komercyjnych (monetyzacja istniejących i zakupionych dóbr).

Spłata zobowiązań dłużników będzie w przyszłości następować wobec NBP, bez odsetek (z możliwością negocjacji korzystnych harmonogramów).

Bank centralny powinien te spłaty wyksięgować z systemu, by nie powstał pieniądz inflacyjny. Podobna operacja powinna nastąpić względem umów wypowiedzianych i odsprzedanych firmom windykacyjnym (oczywiście w cenie zakupu długu z niewielką marżą).

Rozwiązanie to nie niesie zagrożenia wykreowania konfliktu między frankowiczami i złotówkowiczami oraz jest korzystna dla banków, ponieważ zasila je jednorazowo w pełnowartościowy pieniądz.

Paradoksem jest, że program 500+ jest realizowany przez zadłużanie się państwa, a trafiając do rodzin uwikłanych w kredyty pseudowalutowe zasila banki. Działa więc w dwójnasób na korzyść sektora finansowego.

Tym działaniom towarzyszyć powinno wprowadzenie zakazu handlu długami jako zasada ustrojowa oraz upaństwowienie zawodu komornika (windykacja długów powinna zostać jedynie w gestii państwa).

NBP powinien rozpocząć aktywną politykę emisyjną zmierzającą do likwidacji (wykupowania) długu publicznego, w pierwszej kolejności zewnętrznego. Jeśli ktoś straszy skutkami tzw. dodruku pieniądza, powinien zdać sobie sprawę, że podobny mechanizm emisyjny już w Polsce istnieje: NBP tworzy pieniądze pod aktywa w postaci obligacji państw zachodnich kupowanych za euro pochodzące z dotacji unijnych, **pomniejszając w ten sposób ich deficyt.**

NBP powinien również aktywnie wesprzeć powołanie w Polsce sieci banków komunalnych (np. w Niemczech stanowią one 30 % sektora bankowego), które, funkcjonując w ramach starej architektury finansowej, będą kreować pieniądz dla wspólnot lokalnych pro publico bono, transparentnie i eliminując drenaż kapitału za granicę. Jedynie rodzimość i społeczny charakter instytucji finansowych gwarantuje ich uczciwą służbę społeczeństwu. Wydaje się to być szczególnie istotne w świetle zbliżających się wyborów samorządowych, w których należy podjąć ideę waluty lokalnej i banku komunalnego.

Korzyści. Powyższe wdrożenia dadzą możliwość:

- oddłużenie budżetu państwa i samorządu czyli likwidacja długu publicznego.
- pozyskania ogromnego elektoratu, w Polsce funkcjonuje 2,2 mln kredytów mieszkaniowych (w tym kredyty pseudowalutowe to: ilościowo 30 %, wartościowo 42 %), co daje wraz z rodzinami liczbę ok. 8 mln osób.
- na poziomie lokalnym istnieje możliwość uzyskania znacznego wzrostu poparcia dzięki uruchomieniu transferów waluty równoległej na cele socjalne, zdrowotne, edukacyjne czy kulturalne oraz wypłacie dywidendy społecznej dla każdego.

Piotr R. Jankowski jest ekspertem Narodowego Instytutu Studiów Strategicznych, Wykładowcą Nowej Ekonomii na kierunku studiów podyplomowych Nawigatorzy Jutra (Warszawska Szkoła Zarządzania – Szkoła Wyższa).

*Narodowy Instytut Studiów Strategicznych: Siedziba: ul. Wiktorska 89/95, 02-582 Warszawa;
Biuro Instytutu: ul. Nowogrodzka 48/7,
Warszawa. Tel: +48 531 220 191 Tel/fax.: 22 415 43 30 www.niss.org.pl Alior Bank
03249000050000453025567288*

Ryszard Styczyński

Stratedzy czy pionki? Czyli o taktyce Rządu Polski w ochronie obywateli

Państwo polskie wydaje się prowadzić niezwykle trudną rozgrywkę z przedstawicielami sektora bankowego, którzy dekadę temu utracili kontakt z rzeczywistością Państwa prawa. Pomimo podejmowanych prób, żaden prawnik nie może się skutecznie przeciwstawić oczywistemu łamaniu prawa, szczególnie w zakresie ochrony konsumenta. Tutaj, niestety na nic się zdadzą intelektualne sztuczki. Prawo wspólnotowe w tym zakresie jest proste i czytelne. Wyroki Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej mają moc tzw. prejudykatu i nie podlegają zaskarżeniu, co skutecznie neutralizuje wygłupy nawet najtęższych prawniczych głów. Z drugiej jednak strony, sytuacja jest niezwykle delikatna i musi prowadzić do wypracowania rozwiązania sprawiedliwego, oraz wolnego od dyskryminacji którejkolwiek ze stron. Niniejszy tekst jest próbą analizy tego sporu.

Taktyka

Po blisko dwóch latach od rozpoczęcia negocjacji Rządu Polski z reprezentantami sektora bankowego, przedstawiciel strony rządowej - przewodniczący sejmowej komisji finansów Poseł Jacek Sasin, zadeklarował publicznie zmianę taktyki [1]. Rząd Polski wydaje się być zaskoczonym brakiem podjęcia jakichkolwiek negocjacji przez sektor bankowy, oraz jego agresywnym powoływaniem się na międzynarodowe traktaty o wzajemnej ochronie inwestycji. Po pierwszych miesiącach oczekiwania, strona bankowa pokazała swoją arogancję, pewność swojej siły i pogardę dla prawa krajowego oraz międzynarodowego. W tej iście szachowej rozgrywce czekamy teraz na kolejny ruch strony rządowej, która prowadzi tą perfekcyjną grę.

Inwestycje międzynarodowe

Naturalny proces rozwoju rynków lokalnych jak i ekspansji przedsiębiorczości składa się z przepływu kapitałów i inwestycji. Każde państwo zabiega o inwestycje pochodzące z zagranicy. Każde odpowiednio duże przedsiębiorstwo zabiega o możliwość inwestycji w innych krajach. Należy jednak zauważyć, że zagraniczny inwestor, w zależności od stopnia rozwoju kraju inwestycji jest na pozycji nadrzędnej lub też podporządkowanej. Kraje o ni-

skim poziomie rozwoju są *de facto* na straconej pozycji w starciu z korporacjami. Ich system prawny oraz elity nie są przygotowane na starcie z ekspansywnym i typowo agresywnym przedsiębiorstwem. Z drugiej jednak strony, przedsiębiorstwo inwestujące w kraju średnio lub też wysoko rozwiniętym jest na dużo słabszej pozycji względem obywateli obcego mu kraju. Dzieje się tak, ponieważ obywatele prowadzący przedsiębiorstwa są chronieni nie tylko przez przepisy prawa krajowego ale także przez Konstytucję.

Stosunkowo nowatorskim, rozwiązaniem tej zaskakującej dysproporcji są traktaty międzynarodowe, zawierane pomiędzy państwami transferującymi inwestycje. Pierwszy traktat typu tzw. *Bilateral Investment Treaties* (BIT) zawarła Niemiecka Republika Federalna z Pakistanem w 1969 r. [26] Należy uznać więc, że jest stosunkowo młody sposób na wzajemne gwarancje uczciwego traktowania. W telegraficznym skrócie, celem traktatów jest nadanie inwestorom zagranicznym, praw i obowiązków, zrównujących ich w jak największej mierze z konkurentami krajowymi. Traktaty nadają zagranicznym inwestorom pewności, że ich podstawowe prawa zostaną uszanowane.

Mądry i racjonalny ustawodawca stara się wabić kapitał z krajów zagranicznych wraz z którym podążają także ludzie, wiedza oraz cały zestaw zachowań gospodarczo-społecznych, pozwalając nie tylko zyskać kapitał, czyli środki produkcji ale także stymulując rozwój społeczeństwa. Starając się stworzyć atrakcyjne otoczenie dla przedstawicieli krajów bardziej rozwiniętych, ustawodawca tworzy nie tylko przejrzyste i czytelne przepisy prawa ale także gwarantuje równe i sprawiedliwe traktowanie zagranicznych inwestorów, oraz powstrzymanie się od dyskryminacji ich posunięć gospodarczych w jakikolwiek sposób. Traktaty międzynarodowe gwarantują także powstrzymanie się państw od wywłaszczenia, a w sytuacji wyższej konieczności zapłaty stosownego odszkodowania.

Z drugiej strony otwarcie rynku dla inwestorów zagranicznych nakłada na nich obowiązek przestrzegania norm lokalnych kraju goszczącego. Jest to wyrażone w typowej dla każdego traktatu klauzuli „*nie mniej korzystnego traktowania inwestorów zagranicznych niż krajowych*”.

W przypadku nieprzestrzegania traktatów, strony zobowiązują się do podjęcia drogi dyplomatycznej, a w przypadku braku porozumienia, zgadzają się na międzynarodowy arbitraż. W ramach tej procedury rozstrzygania sporów, niezależna grupa arbitrów, rozważa racje stron biorąc pod uwagę prawo lokalne oraz zawarte traktaty o ochronie inwestycji. Należy tutaj zauważyć, że arbitraż jest bardzo kosztowną formą rozstrzygania sporów inwestycyjnych, świat nie wypracował jednak innej formy ponadnarodowego trybu sądniczego.

Treść zwartych przez Polskę traktatów, nie zawiera w żadnej mierze jakichkolwiek gwarancji dla zagranicznego inwestora na bycie ponad prawem krajowym. Traktaty stawiają go na równi z innymi uczestnikami życia gospodarczego, czasem nadając mu specjalne uprawnienia w sferze podatkowej. Żaden traktat nie może jednak nadać prawa gwałcenia norm krajowych czy też międzynarodowych. Co więcej, inwestor wykazujący się dobrą

wolą nie powinien zanadto wykorzystywać zacofania legislacyjnego kraju docelowego, starając się inwestować na partnerskiej zasadzie. Zharmonizowana i wzajemnie korzystna współpraca, może także prowadzić do rozwoju systemu prawnego, co pozwoli na stabilizację przyszłych stosunków gospodarczych, gwarantując długofalowe prowadzenie przedsiębiorstwa oraz oczywiście stabilny zysk.

Tutaj pojawia się jednak ryzyko drenażu kapitału, spowodowane skłonnością inwestorów zagranicznych do bezwarunkowego maksymalizowania swoich zysków. Należy przypuszczać, że brak związania z kulturą kraju goszczącego, nijako zwalnia ich moralnie z obowiązku dbania o długofalowe interesy gospodarza. Tutaj znajduje się obszar w którym rząd państwa goszczącego musi wykazać się ogólnie zrozumiałą dbałością o interes suwerena, a lokalna kadra zarządzająca najwyższym poziomem moralności oraz związania ogólnie rozumianym interesem społecznym. Nie zawsze jest to niestety realizowane. Przypomnę tutaj niewątpliwie naganną postawę jednego z czołowych polskich menedżerów, celebrytów - C.Stypułkowskiego, który zarządzając majątkiem inwestorów niemieckich, otwarcie mówi o drenażu 14% zysku z kapitału pracującego w Polsce [25]. Ogólnie znanym jest także operowanie tego przedsiębiorstwa na granicy prawa, lub też poza prawem, a także notoryczne wprowadzanie w błąd klientów składających reklamacje. Jest to przykład naganny i obrazujący negatywne skutki inwestycji zagranicznych, które zamiast współtworzyć dobrobyt kraju goszczącego, drenują nie tylko kapitał, ale także niszczą stosunki społeczne oraz doprowadzają do destrukcji system prawnego.

Finansowanie mieszkalnictwa w Polsce

Banki zagraniczne operujące w Polsce, doprowadziły do niespotykanej w skali światowej skali emisji umów kredytowych odnoszonych do kursu waluty obcej. Stało się to w ramach akcji kredytowej zainicjowanej przez partię rządzącą, która upatrywała w tym kroku, jedyną możliwość dla rozwoju budownictwa mieszkaniowego, a także docelowego rozwoju gospodarki w sferze usług, poprzez przetransferowanie wielkich mas ludzkich z obszarów wiejskich do miast. Cele polityczne określone przez wizjonerów wraz z naszkicowaną formą finansowania z pomocą kapitału zagranicznego, były niezwykle ryzykowne, co rozumieli specjaliści.

Ciekawe jest zachowanie sektora bankowego, który w 2005 roku z jednej strony gremialnie opowiada się za zakazem udzielania kredytów walutowych. Z drugiej jednak strony, mniejsze banki upatrują w tym możliwości przejęcia znacznej części rynku. Z ankiety przeprowadzonej przez Związek Banków Polskich (ZBP) w trakcie spotkania zespołu roboczego 15 listopada 2005 roku, część banków: Santander, BGŻ, BOŚ, oraz Millenium wykazały otwarte zainteresowanie kredytami walutowymi. Pozostałe banki w mniejszym bądź większym stopniu wyraziły swój sprzeciw. Jest kwestią otwartą na ile ten sprzeciw wynikał z uczciwości, a na ile z rozgrywki taktycznej. Sytuację podejmowania decyzji przedstawił ZBP w publikacji z marca 2015 r. *“Biała księga kredytów*

frankowych w Polsce” [15]. Należy dodać, że ZBP zrobił to w sposób obiektywny.

Ryzyko systemowe związane z tzw. *dolaryzacją* długu rozumieli także specjaliści zajmujący się nadzorem nad sektorem bankowym. Wiedzieli oni, że oderwanie długu od waluty krajowej jest krokiem niezwykle ryzykownym, ponieważ od lat 70. charakter rynku walut jest czysto spekulacyjny. To co było możliwe i praktyczne przed II wojną światową, będąc jednocześnie podstawą polskiej myśli waloryzacyjnej w doktrynie prawa, stało się niemożliwym po oderwaniu walut światowych od pokrycia w złocie. Reagując na nieuniknioną falę spekulacji na rynku konsumenckim, regulator w ramach okiełznania apetytów i nadmiernej skłonności świata polityki do ryzyka na cudzy rachunek, wydaje rekomendację dla sektora bankowego, w której wyraża dosyć rygorystyczne warunki związane z kontrolą ryzyka oraz zwiększonymi wymogami informacyjnymi względem klientów. Rekomendacja S [17] staje się efektywnie obowiązującym zestawem dobrych praktyk z dniem 1 lipca 2006 r. t.j. w momencie nasilonej już akcji kredytowej.

Świat polityki równie agresywnie, co bezmyślnie reaguje na ten krok, doprowadzając finalnie do likwidacji nadzoru bankowego, pod pretekstem przeniesienia tej funkcji do Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego, integrującego nadzór nad różnymi sektorami świata finansów i ubezpieczeń. Nowo utworzony urząd przejął zadania regulatora sektora bankowego 1 stycznia 2008 r. t.j. u szczytu akcji kredytowej. Nowy, słaby urząd nie mógł nijak powstrzymać sektora bankowego, przed jego arcy-agresywnym działaniem nastawionym tylko i wyłącznie na swój zysk z jednoczesnym przerzuceniem całego ryzyka kontraktowego na klientów.

Do agitowania na rzecz kredytów odnoszonych do walut obcych włączyły się także media. Do najbardziej znanej akcji zaliczana jest aktywność propagandowa serwisu money.pl który przeprowadził w połowie 2006 r. akcję walki o możliwość zawierania umów walutowych. Na ile była to akcja spontaniczna, a na ile planowana operacja marketingowa pozostaje kwestią otwartą. Ważne jest aby pamiętać, że po kilku miesiącach od tego wydarzenia, serwis ten przechodzi pod kontrolę właściciela niemieckiego [18]. Do procesu włączył się także Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta (UOKiK), który otwarcie wyrażał opinię o braku możliwości ograniczenia kredytów walutowych z uwagi na ochronę konkurencji. Podobną opinię wyraził także organ nadzorczy - Komisja Nadzoru Bankowego, wyrażająca opinię, że nie ma możliwości wydania zakazu udzielania kredytów walutowych [16], o ile zostaną one udzielane zgodnie z przepisami Prawa bankowego, oraz Prawa dewizowego. Sytuacja była więc bardzo złożona.

Próba zrozumienia kryzysu

Aby opanować i zrozumieć tak skomplikowaną sytuację należy zastosować metodę tzw. brzytwy Ockhama, doprowadzając skomplikowany system do możliwie prostego modelu. Całość kryzysu kredytowego z lat 2005-2008 należy ogołocić z bezmiaru nieuczciwości w kontaktach z klientami, agresywnej sprzedaży, manipulacji w zdobywaniu pasywów przez

banki, nagonki medialnej, itp. Postępując tak, odrzucić należy rzeczy niezmiernie ważne, ale nie kluczowe z perspektywy weryfikacji przestrzegania prawa.

W dyskusji prowadzonej z perspektywy przepisów prawa krajowego, oraz traktatów międzynarodowych, należy zwrócić uwagę na następujące spostrzeżenia:

Po pierwsze. Należy uwypuklić przedziwną wręcz sytuację, w której banki, będące profesjonalnymi i zaufanym elementem systemu finansowego Państwa polskiego, podlegając pod jednoznaczny przepis art.69 Prawa bankowego, stosują kilka różnych wzorców umowy, zbudowanych na bazie zupełnie różnych interpretacji prawa krajowego. Dla porządku przypomnę, że są to umowy typu denominowanego, indeksowanego, oraz waloryzowanego. Wymieniając te rodzaje umów, nie mogę nie wspomnieć o nierozłącznym problemie tzw. *spread'u*, który wydaje się być głównym elementem zrozumiałym dla świata polityki. Sprawa jest jednak o wiele bardziej skomplikowana, lub też (patrząc z innej perspektywy) znacznie prostsza. Tak czy inaczej różnorodność kontraktowa pokazuje zamierzone operowanie sektora bankowego na pograniczu prawa. Po latach wiemy, że prawnicy sektora bankowego wkroczyli na obszar poza granicami wyznaczonymi przez ustawy, operując w przestrzeni bezprawia.

Po drugie Z dokumentacji ZBP wynika, że sektor pokładał niezwykle dużą wiarę w nowelizację Prawa dewizowego z 2002 roku, nadającą bankom możliwość zawierania kontraktów doprowadzających do obrotu dewizowego, nawet jeżeli druga strona umowy nie posiada wymaganego wcześniej zezwolenia. Ustawodawca w ten sposób okazał najwyższe zaufanie sektorowi bankowemu, będącego komercyjnym elementem państwowego systemu finansowego. Niestety sektor bankowy zaufanie to zawiódł. Banki oferując tzw. umowy denominowane w walucie obcej, nie doprowadzając do rzeczywistego obrotu dewizowego, banki złamały prawo. Przez ten szczególnie wybieg, umowy nie weszły w zakres Prawa dewizowego, co skutkuje złamaniem zasady walutowości, czyli bezwzględnie obowiązującej przed 2009 rokiem konieczności wyrażania zobowiązań pieniężnych w pieniądzu polskim.

Po trzecie. Część banków, zdając sobie sprawę z ograniczeń Prawa dewizowego, lub też nie posiadając stabilnego finansowania w walucie obcej, sięgnęła po mechanizm znany z praktyki bankowej, a polegający na połączeniu długu z wartością waluty obcej. Ta wypracowana przez sektor bankowy praktyka spekulacyjna miała na celu *de facto* obejście zasady walutowości. Podkreślenia wymaga kwestia pogwałcenia przez banki znaczenia ogólnie znanych określeń pochodzących z języka potocznego oraz specjalistycznego oraz przededefiniowanie ich sensu według swojego zapotrzebowania. Naginając prawo do swych potrzeb, przedstawiciele sektora bankowego, pod ogólnie przyjętymi nazwami *indeksacji* oraz *waloryzacji*, umieścili swoje własne konstrukcje prawne, sprzeniewierzające się znaczeniu tych słów [22]. Czy można to zachowanie sektora bankowego nazwać uczciwością? Moim zdaniem nie. Postępowanie takie należy nazwać wprost złamaniem prawa, które jasno określa zasady nominalizmu oraz daje narzędzia dążące do utrzymania wartości zobowiązań pieniężnych. Nie dopuszcza jednak kontraktów spekulacyjnych.

Po czwarte. Umowy oferowane przez sektor bankowy zawierają znaczną ilość tzw. *klauzul niedozwolonych*, co w świetle polskiego oraz wspólnotowego prawa ochrony konsumenta jest czynem zabronionym z sankcją bezwzględnego usunięcia tych zapisów z umowy.

Należy przyznać, że przepisy ochrony konsumenta wyrażone przez ustawodawcę unijnego w dyrektywie Rady 93/13/Ewg z 1993 r. zostały zaimplementowane w prawie polskim dopiero w 2000 r. będąc znaczną modyfikacją dotychczasowych przepisów z tego zakresu. Polscy przedsiębiorcy mogą zaśłaniać się brakiem zrozumienia znowelizowanego prawa, aczkolwiek byłaby to argumentacja nietrafiona, znając dorobek intelektualny E.Łętowskiej (1973), E.Rutkowskiej (2002), czy M.Bednarek (2006). Argumentu takiego nie mogą w żadnej mierze podnieść przedstawiciele inwestorów zagranicznych, którzy z oczywistych względów doskonale znali treść artykułów wchodzących w skład dyrektywy 93/13/Ewg. Postępowanie takie należy nazwać wprost złamaniem prawa wspólnotowego, które jasno definiuje zasady kontraktowe na styku przedsiębiorcy i masowego klienta.

Po piąte. Organy Państwa Polskiego, zgodnie z obowiązującym prawem, wyraziły brak możliwości ograniczenia akcji kredytowej [16]. Należy zaznaczyć, że nie było to do końca szczerze, ponieważ Komisja Nadzoru Bankowego (KNB) posiadała uprawnienia do np. zwiększenia wymogów kapitałowych.

Nieszczęściem należy nazwać to, że nadzór bankowy, skoncentrowany na celach kontroli makro ostrożnościowej, generalnie aprobował tego typu operacje, nakładając na banki jedynie konieczność skutecznego zbilansowania ksiąg. Nie jest to jednak kluczowe, nadzór wydaje decyzje typu rekomendacyjnego tzw. *soft law*. Obowiązkiem spółek prawa handlowego było i jest przestrzegania prawa w jego całej rozciągłości. Oczywistym jest, że banki operowały na granicy prawa lub też to prawo łamały na własny rachunek i własne ryzyko.

Po szóste. Rekomendacja S z marca 2006 roku [17], wydana przez KNB, specyfikuje szereg wymogów informacyjnych oraz ostrożnościowych, z których banki wybrały sobie te elementy, które chronią tylko i wyłącznie ich interesy. Przewrotnie, zaśłaniając się właśnie Rekomendacją S, banki zdobywały podstępnie oświadczenie klienta o świadomości ryzyka kursowego. Robiąc to, ignorowały jednak pozostałe rekomendacje, nakładające na nie określone wymogi [Rekomendacja 19]. Podawanie całkowitego kosztu kredytu lub tzw. RRSO zostały przez banki w większości zignorowane. Takie wybiórcze stosowanie implementacji należy nazwać złamaniem dobrych obyczajów przynależnych instytucji zaufania publicznego lub wręcz prawa z uwagi łamanie kodeksu najlepszych praktyk, za jaką można uznać Rekomendację nadzorczy.

Po siódme. Analizując obraz sytuacji, szczególnie komunikat KNB mówiący o szansie dla mniejszych banków finansujących się z pożyczek międzybankowych [16], należy dostrzec problem z zakresu uczciwej konkurencji. Okazuje się, że duże banki nie mające problemów z zasobami kapitału i nie chcące podejmować ryzykownej akcji kredytowej opartej na zasobach kapitału zagranicznego, były zmuszone do konkurowania z mniejszymi graczami, dla których była to szansa na wybitcie się na rynku. Takim niskowym bankiem

by na pewno Millennium oraz Getin, które wyrosły podczas akcji kredytowej na banki średniej wielkości.

Banki większe, nie chcąc tracić rynku musiały zdecydować się na wzięcie udziału w tym zabójczym wyścigu o klienta hipotecznego. Stawką było pozyskanie klienta na średnio 30 lat, co jest stawką niebagatelną. Największe, będące z mniejszości, banki nie podjęły wyzwania, będąc pewnym, że zarówno nie muszą podejmować takiego ryzyka, a także wiedząc, że nikt nie może zagrozić ich pozycji, pomimo zdobycia znacznej części rynku.

Wygląda na to, że wyścig o klienta stał się iście zabójczą grą. Banki konkurując ze sobą, operowały poza granicą bezpiecznej interpretacji prawa. Nie potrafię powiedzieć jak do tego doszło, ale banki w swoim szaleńczym festiwalu chciwości wbudowały w umowę kredytu bankowego, klauzule kantorowe gwarantujące im pobieranie przez cały okres umowy zysku z handlu walutą bazującego na standardowych tabelach. Abstrahując od oczywistej nieuczciwości pobierania jakiegokolwiek zysku z handlu walutą, w umowach indeksowanych oraz waloryzowanych, które z definicji nie doprowadzały do obrotu dewizowego, należy zauważyć, że jest sprawą niespotykaną aby zawrzeć 30 letnią umowę na handel walutą bez zaoferowania preferencyjnych warunków. Banki typowo pobierają 6% zysku, dobry kantor, dostępny w każdym mieście, podaje cenę z narzutem 2% i podlega to negocjacom dla większych kwot. Kantory internetowe oferują jeszcze lepsze warunki. Czy można to zachowanie sektora bankowego nazwać uczciwością lub też zgodnością z dobrymi obyczajami? Moim zdaniem nie.

Po ósme. Sytuacja wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że Związek Banków Polskich, pomimo zrzeszania najważniejszych banków operujących w Polsce, nie był w stanie wywrzeć wpływu na swoich członków. Dopuszczenie do wolnej konkurencji w ramach niezwykle nagiętej interpretacji obowiązującego prawa, spowodowało swoisty wyścig szczurów świata finansów, które zaczęły, walcząc o udział w rynku, pożerać własne zasady oraz konkurentów. Czy walka z konkurencją, stosując techniki oparte na łamaniu zasad i prawa można uznać za działanie zgodne z prawem? Moim zdaniem nie.

Strategia Państwa Polskiego

Powyższe osiem punktów obnaża działanie przedstawicieli sektora bankowego w walce o krociowe zyski. Powyższe argumenty, a nie niezwykle nieszczęśliwe opowiadanie o „pomocy” powinny być podstawą rządowej narracji w walce z kryzysem kredytowym lat 2005-2008.

Przedstawiciele organów państwa stosując aktualną narrację „pomocy kredytobiorcom” prowadzą Polskę wprost do trybunałów arbitrażowych. Należy podkreślić z całą stanowczością, że przedstawiciele sektora bankowego mają rację, oskarżając Polskę o próbę łamania międzynarodowych traktatów. Argumenty strony bankowej można odleźć w pismach skierowanych do Rządu Polski w trakcie procedowania nad jedną z ustaw „pomocowych”; warto ten materiał przeczytać [2].

Polska, będąc członkiem społeczności międzynarodowej, podpisała szereg traktatów o ochronie inwestycji. Są to przeważnie standardowe umowy tzw. *Bilateral Investment Treaties* (BIT), posiadające dosyć naturalne postulaty gwarantujące równe traktowanie podmiotów stron na rynkach lokalnych, ochronie inwestycji, zakazie wywłaszczenia, a także trybie rozwiązywania sporów. Traktaty te są tak proste, zawierając raptem kilkanaście artykułów, że należy uznać aktualne działania rządu za ruchy taktyczne, mające na celu poznanie taktyki przeciwnika. Należy przyzna, że jest to ruch mistrzowski. Rząd Polski postępuje niczym mistrz szachowy, lub też wybitny strateg wojenny.

Swoim pozornie nierozważnym posunięciem, przynależnym raczej sloniowi w składzie porcelany, przedstawiciele Rządu doprowadzili drugą stronę do okazania swojej taktyki, która okazała się opartą na kłamstwie i szantażu. Odpowiadając na pociski smugowe Rządu Polski, przedstawiciele sześciu banków: Millenium [4], Deutsche Bank [8], GE Capital [5], Raiffeissen Bank [7], Bank BGŻ BNP PARIBAS [9], oraz Commerzbank [6], skierowali do Rządu Polski dosyć agresywne, jednak w swojej treści zgodne z traktatami w sprawie popierania i ochrony inwestycji, pisma informujące o groźbie skierowania ustaw „pomocowych” do arbitrażu międzynarodowego, który Polska niewątpliwie przegra. Część banków rozpoczęła także zgodnie z traktatami procedurą negocjacji GE Capital [5].

Należy tutaj zaznaczyć, że traktaty gwarantują inwestorom równe i sprawiedliwe traktowanie. Tak przykładowo brzmią art.2 oraz art.3 traktatu z RFN [10]; podobnie brzmienie ma art.3 ust.3 a także art.7 traktatu z USA [11]. Identyczne gwarancje znajdziemy w traktacie NAFTA art.1102 [23], co oznacza że są to zapisy typowe, znane dla każdego globalnego inwestora. Zapisy te podkreślają jednocześnie moc prawa lokalnego państwa goszczącego. Inwestorzy w żadnej mierze nie są uprawnieni do działania wbrew ustawom krajowym czy też wspólnotowym. Robiąc to podlegają pod sankcje prawa lokalnego a także sankcje wynikające z umów BIT, co nie jest zapisem martwym - należy tutaj przywołać znane przypadki, w których rząd państwa goszczącego wygrał arbitraż z globalnym inwestorem [24] z powodu łamania norm prawa krajowego. Czyż nie jest to podobne do znanego nam przypadku zachowania przedstawicieli systemu bankowego? Jestem pewien, że pracownicy Prokuraturii Generalnej są tego faktu świadomi i poinformowali o tym przedstawiciele Rządu rozgrywającego tę niezmiernie delikatną grę.

Łamanie zasady walutowości, sprzeniewierzenie się zasadzie waloryzacji świadczeń pieniężnych, działanie wbrew prawu bankowemu, są to niezwykle poważne zarzuty. Sprytny prawnik, wynajęty przez stronę inwestorów, może co prawda naginać te bezwzględnie obowiązujące zasady prawa lokalnego, wykazując to i owo. Mamy niestety ostatnio istny festiwal uganiania się przez przedstawiciele palestry i świata nauk prawa za pieniędzmi sektora bankowego, powiązany z isticie cyrkowymi wygłupami [19]. Robiąc to prawnicy, kompromitują się jednak niemilosiernie, przy okazji psują stosunki prawne Rzeczypospolitej.

Pomimo podejmowanych prób, żaden prawnik nie może się jednak przeciwstawić oczywistemu łamaniu prawa ochrony konsumenta będącego bezpośrednią i dokładną implementacją przepisów unijnych. Tutaj na nic się niestety zdadzą intelektualne sztuczki. Prawo wspólnotowe

w zakresie ochrony konsumenta jest proste i czytelne. Posiada także stabilną i pro konsumentką linię orzeczniczą Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Wyroki TSUE mają moc tzw. prejudykatu (czyli *de facto* określają jednoznacznie interpretację przepisów) i nie podlegają zaskarżeniu, co skutecznie neutralizuje wygłupy nawet najtęższych prawniczych głów. Możemy rozważyć oczywiście tzw. scenariusz bułgarski [20], jednak oznaczać to będzie odejście od zasad wspólnotowych i dryfowanie w kierunku wschodniej pogardy do zasad prawa oraz ochrony jednostki. Oznaczać to także będzie odejście od zasad Konstytucji RP, która poprzez art.76 zobowiązuje władze publiczne do ochrony konsumentów przed przed nieuczciwymi praktykami rynkowymi.

Stanowisko sektora bankowego

Pan dr hab. Krzysztof Kalicki, Prezes Zarządu Deutsche Bank Polska, przedstawił bardzo racjonalne stanowisko podczas debaty „*Bezpieczne rozwiązanie problemu kredytów walutowych*” zorganizowanej przez Kancelarię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej 9 czerwca 2016 [12]. Pan Kalicki zgadza się, że w przypadku łamania prawa przez banki, osoby odpowiedzialne powinny trafić do więzienia [13.10] [14.10]. Z drugiej jednak strony broni się także, że kredyty „*walutowe*” to nie instrumenty pochodne [13.20], pomijając jednak całe spektrum złamania prawa. Powołuje się on także na traktaty o ochronie inwestycji [13.60] [14.20].

Pan Kalicki apeluje także aby dojść do porozumienia [14.40]. Słowa te wypowiedział 9 miesięcy temu. Od tej pory sektor bankowy nie wykonał żadnego kroku zmierzającego do uczciwego i sprawiedliwego rozwiązania problemu, a sektor bankowy szczyli się kolejnym okresem rekordowych zysków. Nie można tego nazwać zaangażowaniem w rozwiązaniem kryzysu.

Jesteśmy gotowi do decydującej rozgrywki

Okres ostatnich miesięcy został owocnie wykorzystany przez kredytobiorców, którzy równoległe do zaufania okazanego przedstawicielom polityki, poświęcili ten czas na rozwój wiedzy prawniczej w zakresie niezbędnym do przeprowadzenia skutecznej argumentacji sądowej zarówno w ramach systemu prawa krajowego jak również w ramach przepisów międzynarodowych. Ilość zebranych argumentów, a także stopień poznania prawa pozwala nie tylko skutecznie bronić się przed nieuczciwością banków w sytuacji rozwiązywania umów, ale także wytaczać skuteczne procesy. Linia argumentacyjna pełnomocników klientów banków, walczących o swoje prawa a często i po prostu godność, wydaje się być dopracowaną i kolejne grupy prawników dowiadują się jak skutecznie argumentowa. To co było niemożliwym dwa lata temu, z powodu niskiego poziomu edukacji prawniczej, staje się faktem, wpływając skutecznie na kształtowanie się świadomości Sądów powszechnych i stabilizację tzw. linii orzeczniczej. Szala sprawiedliwości przechyla się na stronę prawa i ochrony konsumentów.

W kolejnym kroku Państwo Polskie powinno rozpocząć procedurę polubowną i dyplomatyczną zdefiniowaną przez traktaty. Równoległe do negocjacji wyciągnięte powinny zostać

wszelkie konsekwencje wynikające z systemu prawnego krajowego oraz wspólnotowego, łącznie z rozpoczęciem procedur karnych. Fiasko negocjacji będzie skutkowało skierowaniem sporu do arbitrażu międzynarodowego, który obiektywnie oceni czy inwestor ma prawo łamać przepisy prawa krajowego a także gwałcić wspólnotowe normy ochrony konsumenta.

Jak postąpią przedstawiciele władz Polski dowiemy się już w najbliższych miesiącach. Czy postąpią jak mężowie stanu? Czy też raczej dołączą do cyrkowej grupy kukiełek podrygujących w rytm melodii medialnej wystukiwanej przez, będących wstydlwym dowodem na błędy strategii negocjacji z komunistami sprzed 25 lat, ludzi pokroju Prezesa mBank S.A. - Pana Cezarego Stypułkowskiego vel. TW Michał [21]?

Czy partii rządzącej uda się zerwać więź polskiej bankowości z komunistycznymi korzeniami i sowiecką pogardą dla człowieka? Przekonamy się już niedługo. Przyszłość pokaże czy żyjemy pod rządami Prawa i Sprawiedliwości czy też Bezprawia i Bankokracji.

Referencje

- 1 Wywiad J.Sasin, <http://serwisy.gazetaprawna.pl/finanse-osobiste/artykuly/1022898,-sasin-nadal-dazymy-do-celu-jakim-jest-przewalutowanie-kredytow-frankowych.html>
- 2 Dokumentacja prac nad drukiem 1048, http://www.senat.gov.pl/download/gfx/senat/pl/senatkomisjeposiedzenia/6081/stenogram/253bfp_egz_2.pdf także <http://www.senat.gov.pl/prace/komisje-senackie/posiedzenia,1,2,komisja-budzetu-i-finansow-publicznych.html>
- 3 Projekt ustawy o szczególnych zasadach restrukturyzacji walutowych kredytów mieszkaniowych w związku ze zmianą kursu walut obcych do waluty polskiej z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/dokumenty/druki/1000/1048.pdf
- 4 Stanowisko banku Millenium w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_m.pdf
- 5 Stanowisko banku General Electric Company w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_gec.pdf
- 6 Stanowisko banku Commerzbank w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_c.pdf
- 7 Stanowisko banku Raiffeisen Bank w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_rb.pdf
- 8 Stanowisko banku Deutsche Bank w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_dbank.pdf
- 9 Stanowisko banku Bank BGŻ BNP PARIBAS w sprawie ustawy z dnia 5 sierpnia 2015, http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/userfiles/_public/k8/komisje/2015/kbfp/materialy/1048_bgz.pdf

- 10 Dz.U. 1991 nr 27 poz. 116 Umowa między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec w sprawie popierania i wzajemnej ochrony inwestycji, sporządzona w Warszawie dnia 10 listopada 1989 r., <http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=W-DU19910270116>
- 11 Dz.U. 1994 nr 97 poz. 467 Traktat o stosunkach handlowych i gospodarczych między Rzeczpospolitą Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki, sporządzony w Waszyngtonie dnia 21 marca 1990 r., <http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=W-DU19940970467>
- 12 Debata KPRP „Bezpieczne rozwiązanie problemu kredytów walutowych”, <http://www.prezydent.pl/kancelaria/dzialalnosc-kancelarii/art,28,debata-kprp-bezpieczne-rozwiazanie-problemu-kredytow-walutowych.html>
- 13 Debata KPRP. Dyskusja. 3.6 Kalicki, <http://styczynski.blogspot.com/p/debata-kprp-diskusja-36-kalicki.html>
- 14 Debata KPRP. Dyskusja. 3.14 Kalicki, <http://styczynski.blogspot.com/p/debata-kprp-diskusja-314-kalicki.html>
- 15 Biała księga kredytów CHF w Polsce, <https://zbp.pl/wydarzenia/archiwum/wydarzenia/2015/marzec/biala-ksiega-kredytow-chf-w-polsce>
- 16 Pismo KNB do ZBP, Biała księga kredytów CHF w Polsce, str.35, https://mozilla.github.io/pdf.js/web/viewer.html?file=https%3A%2F%2Fcors-anywhere.herokuapp.com%2Fhttps%3A%2F%2Fzbp.pl%2Fpublic%2Frepozytorium%2Fwydarzenia%2Fimages%2Fmarzec_2015%2FBIAA_OST_2_4_marca_2015_small_.pdf#page=35
- 17 Rekomendacja S, 2006, https://www.knf.gov.pl/Images/rekomendacja_s_tcm75-8566.pdf
- 18 <http://www.krs-online.com.pl/msig-2510-107585.html>
- 19 Felietony na temat cyrkowych wygłupów przedstawicieli świata prawa, <http://styczynski.blogspot.com/search/label/cyrkowe%20wyglupy>
- 20 Wiewiórowska-Domagalska A., Bułgarski standard, <http://prawo.gazetaprawna.pl/artykuly/889585,bulgarski-standard.html>
- 21 Kim Pan jesteś Panie Stypułkowski?, <http://styczynski.blogspot.com/2017/01/kim-pan-jestes-panie-stypulkowski.html>
- 22 Słowniki zawierające definicje słów indeksacja, waloryzacja, denominacja, https://drive.google.com/drive/folders/0ByDcOdN-T_PVTVV1RlZYbW1TNUE?usp=sharing
- 23 North American Free Trade Agreement, [http://www.italaw.com/sites/default/files/laws/italaw6187\(4\)_0.pdf](http://www.italaw.com/sites/default/files/laws/italaw6187(4)_0.pdf)
- 24 Investor-state dispute settlement - cases won by government, https://en.wikipedia.org/wiki/Investor-state_dispute_settlement#Cases_won_by_government
- 25 Prezes mBanku: Zarabiam 3 miliony, tyle co piłkarz, <http://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,18361837,prezes-mbanku-zarabiam-3-miliony-tyle-co-pilkarz.html>
- 26 Bilateral investment treaty, https://en.wikipedia.org/wiki/Bilateral_investment_treaty

Bogusław Lustyk

Pride of Poland – zamordowana legenda.

12 sierpnia 2017 roku, w dniu jubileuszu 200 rocznicy powstania Stadniny Koni Arabskich w Janowie Podlaskim, z wielką pompą pod hasłem *Pride of Poland* zamordowano legendę Polskiego Konia Arabskiego. Wydarzenie tak kuriozalne, że nie mieści się w kategoriach racjonalnego myślenia. Jest to efekt braku wyobraźni, głupoty, złej woli, pazerności na stanowiska bez względu na kwalifikacje i chęci zmieniać wszystko co było dobre.

Polski koń Arabski był jedyną znaną i cenioną na całym świecie polską marką. Fenomen ten należy rozpatrywać w kilku aspektach: patriotycznym, estetycznym, prestiżowym. Na historii konia arabskiego w Polsce złożyła się praca i poświęcenie wielu pokoleń. Jako przykład uporów Polaków w ratowaniu koni arabskich niech posłuży ocalenie po rewolucji 1917 roku i sprowadzenie z narażeniem życia do Polski resztek cennych hodowli kresowych, a pod koniec drugiej wojny światowej, w czasie największego bombardowania Drezna uratowanie przez masztalerzy najcenniejszych koni Janowskich. Tyle oddania, tyle miłości do tych pięknych zwierząt zapoczątkowało bezprecedensowym odtworzeniem hodowli polskich arabsów. Przez lata wytrwale budowano jej pozycję w drodze na szczyt hodowli światowych. Świadczyły o tym liczne championaty na pokazach i ceny koni wielokrotnie przewyższające inne znane hodowle światowe. Aby to osiągnąć trzeba było nieprzeciętnych talentów, hodowlanych i artystycznych. Na polskiego konia arabskiego trzeba patrzeć jak na dzieło sztuki, a na hodowcę jak na artystę. Oprócz gruntownej znajomości tajników hodowli trzeba mieć talent artysty, wyobraźnię artystyczną, wizję, i ten dar od Boga który tworzy arcydzieła. Ofir, Bask, El Paso, Bandos, Bandola, Pilarka Pianissima i wiele innych, to arcydzieła hodowli i piękna. To jest nieosiągalne dla zootechnika, ani nawet profesora zootechniki. W sztuce tylko nieliczni tworzą arcydzieła.

Ale, żeby te arcydzieła były docenione na świecie potrzebna była systematyczna budowa renomy. Przez 50 lat obserwowałem konsekwentne zabiegi Dyrektora Krzyształowicza i Dyrektora Jaworowskiego, aby znaleźć i wychować sobie równie utalentowanych następców, przekazać im wiedzę hodowlaną, znajomości, kontakty i przyjaźnie wśród światowych hodowców będących ambasadorami Polskiego Araba. W czasie kilkunastu lat w Stanach Zjednoczonych mogłem się przekonać z jaką

estymą odnoszono się do polskich koni i polskich hodowców – Jerzego Białoboka i Marka Treli. O ich sukcesach świadczyła niezliczona liczba championatów w USA i Kanadzie, a także na Salonach Konia w Paryżu i innych pokazach europejskich.

I nagle ktoś stwierdził, że trzeba zniszczyć autorytety. Że to nie sztuka zapłodnić klacz, bo każdy kto studiował zootechnikę wie jak to się robi. Wielka miotła wymiotła wybitnych hodowców artystów. Wymiotła razem z kontaktami (a tu nie wystarczy książka adresowa). etosem i szansą wychowania utalentowanych następców.

Skończyło się to katastrofą finansową i prestiżową. Duma Polski (Pride of Poland) przestała istnieć. Nie widzę szans na jej powrót. Na to trzeba lat, talentów i miłości do koni, a nie do stanowisk.

W tym roku poskąpiono pieniędzy na wysłanie naszych koni na Salon du Cheval w Paryżu. Dano światu sygnał, że nie mamy co pokazać i że nas ten ich świat nie interesuje. Jakie to zaściankowe i małe.

Bogusław Lustyk, artysta malarz od lat z wiązany z końmi. blustyk@gmail.com

Recenzja książki **Georg May: „Kirchenkampf oder Katholikenverfolgung? Ein Beitrag zu dem gegenseitigen Verhältnis von Nationalsozialismus und christlichen Bekenntnissen“**, Stein am Rhein, Christiana-Verlag 1991. „Walka kościelna czy prześladowanie katolików? Wkład we wzajemne relacje między narodowym socjalizmem a chrześcijańskimi wyznaniem”, Stein am Rhein, Christiana-Verlag rok 1991.

[*Kirchenkampf (Walka kościelna) to termin używany do sytuacji kościołów chrześcijańskich w Niemczech w czasie reżimu nazistowskiego – przyp. red.*]

Autor recenzji: Georg Schwaiger, tłum. A. Wolska

Od czasu zakończenia drugiej wojny światowej pojawiło się wiele wydań źródłowych i opracowań na temat „Kościoły a narodowy socjalizm”. Ich wartość jest różna. Do najnowszych prac, które znacznie poszerzają i systematyzują wiedzę w tym zakresie, należą obszerne, starannie udokumentowane badania Georga Maya, ur. w 1926 w Legnicy (Śląsku), od 1960r. profesora w zakresie prawa kościelnego, prawa wyznaniowego oraz historii prawa kościelnego na Katolickim Wydziale Teologicznym Uniwersytetu w Moguncji. „W dyskusji na temat drogi Kościoła katolickiego w czasach po Soborze Watykańskim II interweniował w wielu pismach i wykładach” (str. VI). Kompetencji i namiętnej miłości do prawdy nie mogli odmówić mu nawet przeciwnicy. To, co opisuje w swojej najnowszej pracy na temat tak zwanej współczesnej historii kościelnej, będzie dla wielu niewygodne, ale czy historyczne poszukiwanie prawdy – i co za tym idzie – jej wynik, były i jest kiedykolwiek wygodne?

Autor tak pisze w swoim wstępie, wartym głębszego namysłu (S. XVI) o źródłach swych prac: <<Dzieło, które zostało tutaj przekazane czytelnikom, to efekt konfliktu między moimi osobistymi doświadczeniami z okresu III Rzeszy, a większością relacji z dziejów „walki kościelnej”. Wstępne studium ma na celu podkreślenie różnic między postawą kościołów protestanckiego i katolickiego, między stosunkiem protestantów i katolików wobec państwa i partii NSDAP, i vice versa. Nie było moim zamiarem napisanie heroicznej epepei katolików w czasach Trzeciej Rzeszy. Nie było to możliwe, ponieważ także wśród katolików nie brakowało winowajców, czy współpracowników systemu. Krótko mówiąc, chodzi o to, by porównać, jak lojalni wobec Kościoła katolicy i związani z kościołem protestanci zachowywali się w obliczu wyzwania narodowego socjalizmu. Nawet z tym ograniczeniem, daleki jestem od uczyńnienia z wierzących i praktykujących katolików „bojowników kościelnych”. Wiem, że także po stronie katolickiej był lęk tak wśród biskupów, kapłanów jak i świeckich, lękliwość i niepokój, obawa o utratę dochodów, pozycji czy wolności. Staraniem moim było pokazanie, iż także po stronie katolickiej nie brakowało złudzeń, prze-

sadnych reakcji, szaleństw i słabości. Chodziło jednak przede wszystkim o to, aby zobrazować, jak zachowywali się w tamtym czasie katolicy i protestanci. Tylko przez takie porównanie można było pokazać, na co ludzie znajdujący się w podobnym położeniu mogą lub nie mogą sobie pozwolić, lub też co gotowi byli uczynić. >>

Tworzenie mitów, takich przykładowo jak ten o Martinie Niemöllerze i „Kościele wyznającym” (niem. Bekennende Kirche), znacznie przyczyniło się do tworzenia zniekształconego obrazu tak zwanej walki kościelnej. Fakty są odmienne. Do 1938r. katolicy stanowili około dwie trzecie społeczeństwa niemieckiego. Ulrich von Hehl przedłożył w 1984 r. staranne badania biograficzne i statystyczne: „Kapłani pod ostrzałem Hitlera” (publikacje Komisji ds. Historii współczesnej, Seria A: Quellen, t. 37, Mainz 1984, 1985). Statystyka pokazuje 8021 przypadków księży katolickich w Rzeszy Niemieckiej (bez Austrii), dotkniętych środkami represji nazistowskiego reżimu z powodów politycznych i religijnych w latach 1933-1945, co daje średnio 35,9% kleru. Szczególnie wśród młodych duchownych była duża liczba osób przesładowanych, podczas gdy – ogólnie rzecz biorąc – narodowy socjalizm nieco łagodniej obszedł się ze starszymi duchownymi. Oprócz kary śmierci najsilniejszą bronią reżimu była zsyłka do obozu koncentracyjnego. Większość księży trafiała do obozu koncentracyjnego w Dachau. W latach 1934-1945 więziono w nim ogółem 2806 duchownych. Spośród nich 94,7% było katolikami, 3,8% protestantami. Warto nadmienić, że większość więzionych katolickich księży stanowili, już po wybuchu wojny w 1939r., Polacy. Jednak także 418 niemieckich księży zostało wysłanych do obozów koncentracyjnych, a 110 z nich zginęło. 59 księży katolickich w III Rzeszy zostało straconych lub zamordowanych poza obozami lub zmarło w aresztach. W zestawieniach są pewne różnice, ale tylko nieznaczne. Według statystyk, które obejmują także Austrię, w obozach koncentracyjnych przebywało 447 niemieckich duchownych, w tym 411 katolików i 36 protestantów; jak widać stosunek ten wynosił 92% do 8% (May str. 388). Ulrich von Hehl dochodzi przy tym do wniosku, że poza katolickim duchowieństwem nie istniała żadna inna grupa o porównywalnej wielkości, „która w tak masowy sposób została wystawiona na restrykcje narodowo socjalistycznych organów nadzoru” (Hehl S.LXIII). Ten sam obraz pojawia się w badaniach nad przesładowaniem Kościoła i oporem kościelnym w poszczególnych diecezjach Niemiec, np. dla Archidiecezji Monachium i Freising (Archidiecezja Monachium i Freising w okresie rządów narodowych socjalistów, 2 vols., wyd. Georg Schwaiger, Monachium-Zurych 1984). To jest tylko jeden statystyczny przykład obok wielu innych.

Opracowanie Maya można podzielić na dwie wyraźne części:

Pierwsza obejmuje stosunek Hitlera do sfery transcendencji (światopogląd i religia, stosunek do Boga, chrześcijaństwa i kościołów);

Druga dotyczy przeciwieństw między ruchem nazistowskim i jego rządami a wyznaniem chrześcijańskimi, która zawiera szczegóły dotyczące m.in. procesu wybor-

czego i systemu partyjnego, nastawienia i zachowania biskupów katolickich i protestanckich przywódców kościelnych; odmiennego traktowania osób, grup i wydarzeń religijnych; walki o młodzież i szkołę, traktowania mniejszości, podobieństw i różnic w kwestii ataku i sposobach obrony, wreszcie innych trwałych różnic).

W swoich bezkompromisowych sformułowaniach (s. 627-632), autor dochodzi, pod koniec swego dzieła, do następujących stwierdzeń:

„1. Jeśli idzie o walkę nazizmu przeciw chrześcijaństwu i kościołowi orzeczenie jest jednoznaczne: partia NSDAP i zdominowane przez nią struktury państwa podjęły zdecydowaną walkę z chrześcijaństwem utożsamianym przede wszystkim z kościołem katolickim i katolicyzmem. Funkcjonariusze NS reżimu widzieli właśnie w tym kościele i jego społecznych agendach głównego przeciwnika, stąd koncentrowali dostępne siły i środki na walce z nim, a nie innymi wspólnotami religijnymi ...

2. Wobec ataku narodowych socjalistów na kościoły chrześcijańskie protestanci i protestanckie struktury kościelne w landach związkowych popadły w wewnętrzną kłótnię. Korzenie tego konfliktu leżały w odmiennym podejściu teologicznym, dlatego bezpośrednio nie dotyczył on działania nazistów... Wymienione fakty wymuszają wyraźne rozgraniczenie pojęć wewnętrznej „walki kościelnej” (Kirchenkampf) wśród niemieckich protestantów i prześladowania katolików przez reżim. Słowo „walka kościelna” jest niewłaściwe jeśliby chcieć opisać relacje narodowego socjalizmu tak wobec kościoła katolickiego, jak i protestantyzmu. Nastawienie wobec pierwszego i drugiego były bowiem tak odmiennie, że próba objęcia ich tym samym wyrażeniem zasadniczo mija się z rzeczywistością. Termin „walka kościelna” powinien być zarezerwowany dla oceny wewnętrznych konfliktów w łonie protestantyzmu. To była prawdziwa walka w kościele o kształt kościoła. Termin ten jest również nieodpowiedni do opisanego wzajemnych stosunków reżimu nazistowskiego i protestantyzmu w czasie III Rzeszy. Całkowicie termin ten nie pasuje do starcia kościoła katolickiego z nazizmem, jedynym odpowiednim określeniem pozostaje ‘prześladowanie’, tak samego kościoła, jak i katolików.

3. Relacje i proporcje wobec siebie państwa i NSDAP z jednej strony, wspólnot religijnych z drugiej strony zostały często i trwale opisane w opracowaniach na temat „walki kościelnej”. Rezultatem jest swoista „legenda o walce kościoła” („Kirchenkampflegende”), której przegranymi byli Niemieccy Chrześcijanie (Deutsche Christen) lojalne wobec reżimu, a zwycięzcami byli Wyznający Chrześcijanie (Bekennende Christen). Jednak zdaniem autora rola wewnętrznej opozycji w postaci Kościoła Wyznającego (BK) została znacznie przeceniona, jego prawdziwa natura nie zawsze właściwie uchwycona, a jej praca przereklamowana. Dla kontrastu Niemieccy Chrześcijanie (DK – Deutsche Christen) byli opisywani jako niszczyciele wiary i konstytucji Kościoła, poplecznicy reżimu narodowo-socjalistycznego i jako wyznawcy niesprawiedliwości i przemocy. Ta ocena stanowiła alibi, by odwrócić

uwagę od faktu, że tzw. Kościół Wyznający (BK) sam był bardzo daleki od wyraźnego oporu wobec narodowego socjalizmu. W czwartym i ostatnim punkcie autor nawiązuje do często cytowanego tzw. stuttgarckiego wyznania winy, sformułowanego przez niemieckich protestantów tuż po upadku Trzeciej Rzeszy. W jego przekonaniu Deklaracja Stuttgarcka wydana przez Radę Kościoła Ewangelickiego w Niemczech w dniu 18/19 października 1945 r. jest „pełnym frazesów dokumentem, który niczego nie tłumaczy i niczego nie usprawiedliwia, będąc jedynie formą usprawiedliwienia zaniechań i braku sprzeciwu”.

Wśród prawdziwej fali publikacji na temat, o czym wspomniano na początku, przegląd zatytułowany „Źródła i literatura” (633-677), ujęty przez autora, stanowi prawdopodobnie najlepszy wybór, który jest obecnie dostępny. Każdy, kto długo i szczegółowo studiował „Kościoły a narodowy socjalizm”, nie będzie zaskoczony złożonymi wypowiedziami i porównaniami autora. Ale prawda historyczna jest często zniekształcana w opinii publicznej i dostępnych publikacjach. Dzieło, choć czasami pisane surowym językiem, służy przybliżeniu prawdy historycznej, dorównując poziomem najważniejszym publikacjom w tym obszarze, nawet jeśli dla niektórych będzie niewygodne. Może się też przyczynić do skorygowania jednostronnego obrazu funkcjonowania dwóch głównych kościołów w okresie reżimu nazistowskiego, jaki często dominuje w mediach.

Źródło: <https://mthz.ub.lmu.de/index.php/MThZ/article/viewFile/3711/4545>